

**José Saramago**

# **Wszystkie imiona**

**(Przełożyła Elżbieta Milewska)**

*Znasz imię, które ci nadano,  
nie znasz imienia, które masz.*

Księga Prawd Oczywistych

Nad framugą drzwi wisi podłużna metalowa tabliczka pokryta emalią. Na białym tle widnieje czarny napis: Archiwum Główne Akt Stanu Cywilnego. Emalia jest porysowana i miejscami odpada. Drzwi są stare, zabytkowe, spod płatów łuszczącej się niczym popękana skóra brązowej farby wyzierają słoje drewna. Od frontu budynek ma pięć okien. Już od progu pachnie starymi papierami. Wprawdzie każdego dnia napływają do Archiwum nowe dokumenty osobników płci męskiej i żeńskiej, którzy bez przerwy się rodzą, lecz zapach się nie zmienia, po pierwsze dlatego, że każdy papier natychmiast po opuszczeniu fabryki zaczyna się starzeć, a po wtóre dlatego, że na ogół na starym papierze, choć bywa, że i na nowym, codziennie odnotowuje się zgony, ich przyczynę, miejsce oraz datę i każdy papier ma swój zapach, nie zawsze przykry dla służówki nosa, czego dowodem są chociażby unoszące się niekiedy w Archiwum subtelne wonne powiewy, przez co wrażliwsze nosy określane jako kompozycja róży i chryzantemy.

Za progiem znajduje się przedsionek z wysokimi, dwuskrzydłowymi, przeszklonymi drzwiami, które prowadzą do wielkiej prostokątnej sali, gdzie pracują urzędnicy, oddzieleni od interesantów długą, biegnącą od ściany do ściany barierką, na jednym końcu podnoszoną, co umożliwia wejście do środka. Rozmieszczenie stanowisk pracy odpowiada oczywiście hierarchii służbowej, przy czym harmonia biurokratyczna, która, miejmy nadzieję, jest tu zachowana, odpowiada harmonii geometrycznej, co stanowi dowód na to, że nie istnieje nieodwracalna sprzeczność między estetyką a władzą. W pierwszym rzędzie, równoległe do barierki, znajdują się biurka ośmiu kancelistów, którzy obsługują klientów. W następnym rzędzie, podobnie jak w pierwszym symetrycznie do osi środkowej, która biegnie od drzwi i ginie w mrocznej głębi budynku, stoją cztery biurka. Tu pracują referenci. Za nimi siedzi dwóch kierowników. W końcu oddzielnie, samotnie, jak przystoi, urzęduje kustosz, potocznie zwany szefem.

Podział pracy w tym zespole odbywa się według prostej zasady sprowadzającej się do tego, że urzędnicy każdego szczebla wykonują maksimum pracy, tak aby tylko minimalna jej część przypadła zwierzchnikom. To oznacza, że kanceliści muszą pracować bez wytchnienia od rana do wieczora, referenci od czasu do czasu, kierownicy bardzo rzadko, a kustosz prawie nigdy. Bezustanna krzątanina ośmiu pracowników z pierwszego rzędu, którzy co i rusz wstają, siadają, w kółko biegają od biurka do barierki,

od barierki do kartoteki, od kartoteki do archiwum lub odwrotnie, czemu najobojętniej w świecie przyglądają się przełożeni wszystkich szczebli, stanowi klucz do zrozumienia okoliczności nie tylko umożliwiających, lecz wręcz ułatwiających godne pożałowania nadużycia, wykroczenia i fałszerstwa, które stanowią główny temat niniejszej relacji.

Żeby nie zgubić się w zawilosciach tej jakże doniosłej sprawy, zaczniemy od opisu rozmieszczenia i funkcjonowania archiwów i kartotek. Z przyczyn strukturalnych i merytorycznych lub, mówiąc prościej, zgodnie z prawem natury są one podzielone na dwa różne zbiory, a mianowicie kartotekę i archiwum zmarłych oraz kartotekę i archiwum żywych. Papiery zmarłych są w jakim takim porządku składowane w głębi budynku, którego tylna ściana, z powodu bezustannie rosnącej liczby zmarłych, musi być od czasu do czasu burzona i przesuwana o parę metrów dalej. Jak łatwo się domyślić, problemy z ulokowaniem żywych, jakkolwiek też poważne, gdyż ludzie ciągle się rodzą, nie są tak palące i jak dotąd udaje się je rozwiązywać, w archiwum przez ugniatanie teczek osobowych leżących na półkach, w kartotece zaś przez zastosowanie cienkich i supercienkich kartoników. Mimo wspomnianej wyżej kłopotliwej kwestii tylnej ściany budynku, trzeba jednak pochwalić dawnych architektów za to, że mimo sprzeciwów ograniczonych konserwatystów zaprojektowali i przeforsowali instalację pięciu gigantycznych, sięgających sufitu regałów stojących za biurkami urzędników, najdalej cofnięty jest środkowy regał, którego boczna ścianka prawie przylega do fotela szefa, w pobliżu barierki mają swój początek regały stojące pod ścianami, dwa pozostałe zaś są usytuowane, by tak rzec, w połowie drogi. Te konstrukcje, powszechnie uważane za imponujące i nadludzkie, ciągną się w głąb budynku znacznie dalej, niż sięga wzrok, bowiem od pewnego miejsca panuje tam ciemność, a światło zapala się tylko wówczas, gdy trzeba zajrzeć do jakiejś teczki. Na tych regałach spoczywa ciężar żywych. Zmarli, to znaczy ich papiery, są składowane w głębi, w warunkach nie spełniających wymogów należnego im szacunku, toteż jeśli ktoś z rodziny, notariusz bądź urzędnik sądowy zażąda jakiegoś zaświadczenia lub odpisu dawnych dokumentów, ich odnalezienie nastęrcza sporo trudności. Dezorganizację tej części archiwum dodatkowo pogłębia fakt, że najstarsze dokumenty zmarłych znajdują się najbliżej strefy zwanej aktywną, bezpośrednio za żywymi, stanowiąc, jak inteligentnie to ujął szef, podwójnie martwy balast, jako że prawie nikt się nimi nie interesuje, ewentualnie, z rzadka, jakiś ekscentryczny badacz mało znaczących historycznych drobiazgów. Jeżeli pewnego dnia

nie zapadnie decyzja o rozdzieleniu żywych i umarłych poprzez wybudowanie specjalnego archiwum dla tych ostatnich, nie się z tym nie da zrobić, o czym można się było przekonać, kiedy jeden z kierowników wystąpił z niefortunną propozycją, żeby dokumenty zmarłych układać w odwrotnym porządku, to znaczy im starsze, tym dalej, a im nowsze, tym bliżej, w celu, jak się wyraził, łatwiejszego dostępu do współczesnych nieboszczyków, którzy, jak wiadomo, są spadkodawcami i autorami testamentów, częstokroć wywołujących spory i protesty, zanim ciało zdąży ostygnąć. Kustosz potraktował tę propozycję sarkastycznie i wyraził zgodę, pod warunkiem, że wnioskodawca sam zajmie się przenoszeniem w głąb budynku ogromnej masy teczek dawnych zmarłych, by w ich miejsce można było składać dokumentację niedawnych zgonów. Chcąc jak najprędzej wymazać z pamięci fatalny i niewykonalny pomysł, kierownik poprosił kancelistów, żeby mu dali coś do roboty, zakłócając w ten sposób oddolnie i odgórnie uświęcony tradycją ład. Z powodu tego incydentu wzrosła opieszałość, pogłębiło się niedbalstwo i niepewność, w rezultacie czego pewnego dnia w labiryncie archiwum zmarłych zaginął pewien badacz, który parę miesięcy po tej niedorzecznej propozycji zjawił się w Archiwum celem przeprowadzenia kwerendy heraldycznej, którą mu zlecono. Gdy po tygodniu został cudem odnaleziony, był kompletnie wyczerpany, półprzytomny, wygłodniały i spragniony, przeżył jedynie dzięki temu, że rozpaczliwie walcząc o życie, jadł niesamowite ilości starych papierów, których nawet nie musiał gryźć, gdyż od razu rozsypywały się w ustach, przez co nie pozostawały długo w żołądku i nie zaspokajały głodu. Kustosz, który już kazał sobie przynieść kartę i teczkę nierozważnego historyka, żeby uznać go za zmarłego, postanowił przymknąć oczy na szkody, oficjalnie przypisane szczurom, i wydał polecenie służbowe, które pod groźbą grzywny i zawieszenia płacy nakładało na wszystkich udających się do archiwum zmarłych obowiązek używania nici Ariadny.

Nie zapominajmy wszakże o tym, że i żywi mają swoje kłopoty. Nie ulega wątpliwości, że śmierć, zarówno z racji wrodzonej niekompetencji, jak i nabytej z doświadczeniem złośliwości, nie wybiera ofiar stosownie do liczby przeżytych lat, czego paradoksalnym efektem psychologicznym, zrodzonym w wyniku różnorodnych, niekiedy sprzecznych mechanizmów, jest intelektualna sublimacja naturalnego strachu przed śmiercią, tak przynajmniej twierdzą filozoficzne i religijne autorytety zabierające głos w tej kwestii. Ale wracając do tematu, jednego śmierci z pewnością nie można zarzucić, a

mianowicie nigdy nie trzyma na świecie jakiegoś starego człowieka przez zapomnienie, bez wyraźnego powodu, niezasłużenie, tylko po to, żeby coraz bardziej się starzał. Wszak wiadomo, że choćby człowiek żył nie wiem jak długo, zawsze nadejdzie jego godzina. Nie ma dnia, żeby kanceliści nie zabierali teczek z półek żywych i nie przenosili ich do składu na tyłach budynku, nie ma dnia, żeby nie przekładali tych, którzy jeszcze trwają przy życiu, na najwyższe półki, niekiedy, dziwnym zrządzeniem losu, tylko na jeden dzień. Zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy przeniesienie na szczyt półki oznacza znużenie losu i bliski koniec drogi. Tak więc najwyższa półka jest pod każdym względem początkiem upadku. Zdarzają się jednak takie tecki, które, nie wiedzieć czemu, niezmiennie tkwią na krawędzi przepaści, nieczule na ostatni zawrót głowy, o wiele lat przekraczając zalecaną długość ludzkiej egzystencji. Na początku takie tecki wzbudzają w urzędnikach zawodową ciekawość, która powoli ustępuje miejsca zniecierpliwieniu, jakby to im samym bezczelny upór matuzaleatów skracał, zjadał, pożerał perspektywy życiowe. W tym przesądnym podejściu do sprawy jest jednak trochę racji, zważywszy na liczne przypadki urzędników różnych szczebli, których tecki przedwcześnie opuściły archiwum żywych, podczas gdy będące na wylocie papiery upartych starców coraz bardziej żółkły, zamieniając się w końcu w ciemne i nieestetyczne plamy, rażące oczy interesantów. W takich przypadkach szef Archiwum Głównego zwykle mówi do jednego z kancelistów, Panie José, proszę wymienić te tecki.

\*

Prócz imienia pan José ma również nazwisko, zwyczajne, pospolite, bez żadnych onomastycznych ekstrawagancji, zgodnie z naszym zwyczajem składające się z połączonych nazwisk matki i ojca, które legalnie po nich odziedziczył, co w razie potrzeby można sprawdzić w akcie urodzenia znajdującym się w Archiwum, jeżeli ktoś zechce zadać sobie trud sprawdzania czegoś, co już wie. Mimo to, ilekroć go pytają, jak się nazywa, lub gdy sytuacja zmusza go do przedstawienia się, nie wiedzieć czemu, być może z racji jego skromnej pozycji, rozmówca nigdy nie zapamiętuje całego nazwiska, jedynie imię, José, do którego ewentualnie dodaje słowo pan, w zależności od tego, jak go traktuje, poufale czy oficjalnie, grzecznie czy bezceremonialnie. Aczkolwiek, powiedzmy

to sobie szczerze, słowo pan wcale nie jest tak jednoznaczne, jak mogłoby się wydawać, w każdym razie nie w Archiwum Głównym, gdzie wprawdzie wszyscy tak się do siebie zwracają, począwszy od kustosa, a kończąc na najmłodszym kanceliście, jednakże w praktyce urzędniczej to małe słówko miewa różny wydźwięk w zależności od tonu, pozycji służbowej, humoru czy intencji mówiącego, może więc wyrażać zarówno politowanie, irytację i pogardę, jak też pokorę i pochlebstwo, co dowodzi, że jedna sylaba, na pierwszy rzut oka jednoznaczna, może zawierać bardzo różne treści. Podobnie sprawa się ma z trzema sylabami składającymi się na zwrot pan José. Jeśli ktoś zwraca się tymi słowami do wyżej wymienionego, czy to w Archiwum, czy poza nim, zawsze w nich pobrzmiewa nutka pogardy lub ironii, irytacji bądź politowania. Natomiast słodko brzmiące tony pokory czy pochlebstwa nigdy nie dźwięczą w uszach kancelisty pana José, nie mieszczą się bowiem w gamie uczuć, jakie wzbudza. Warto jednak zaznaczyć, że o ile dwa ostatnie z wymienionych uczuć są jednoznaczne i prymitywne, o tyle pozostałe bywają o wiele bardziej złożone. Kiedy na przykład kustosz rzuca rozkaz, Panie José, proszę wymienić te teczki, baczne i wyczulone ucho wyłowi w jego głosie coś, co - bez względu na oczywistą nieprzystawalność pojęć - można by określić mianem władczej obojętności, czyli władzy tak dalece zadufanej w sobie, że nie tylko ignoruje osobę, do której się zwraca, nie racząc nawet na nią spojrzeć, ale zarazem daje do zrozumienia, że nie zniży się do sprawdzenia, czy polecenie zostało wykonane. Żeby sięgnąć najwyższych półek, niemal dotykających sufitu, pan José musiał korzystać z drabiny, a ponieważ na swoje nieszczęście cierpiał na przykrą nerwicę zwaną pospolicie lękiem wysokości, chcąc uniknąć upadku na kamienną posadzkę, nie miał innego wyjścia, jak przywiązywać się mocnym pasem do drabiny. Żadnemu z kolegów, nie mówiąc już o przełożonych, nawet przez myśl nie przeszło, żeby spojrzeć w górę i upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Zakładali, że tak, usprawiedliwiając tym samym własną obojętność.

Zgodnie z odwiecznym zwyczajem urzędnicy mieszkali w Archiwum Głównym. Nie znaczy to jednak, że byli stłoczeni w jednym pomieszczeniu, zajmowali bowiem skromne domki, przylegające do bocznych ścian gmachu niczym kruche kapliczki do potężnej bryły katedry. Domki miały dwa wejścia, jedno normalne, od strony ulicy i drugie ukryte, niewidoczne, prowadzące bezpośrednio do głównej nawy Archiwum, co przez długi czas uważano za niezmiernie korzystne dla organizacji pracy, gdyż urzędnicy nie tracili czasu na przejazdy i w wypadku spóźnienia nie mogli tłumaczyć się korkami

ulicznymi. Prócz zalet logistycznych inną dobrą stroną tej sytuacji była łatwość kontrolowania pracowników nieobecnych jakoby z powodu choroby. Niestety, z uwagi na nowe plany urbanistyczne dzielnicy te oryginalne domki zostały zburzone, z wyjątkiem jednego, który stosowne władze postanowiły zachować jako zabytek architektoniczny, a zarazem świadectwo dawnej organizacji i warunków pracy, które, choć obecnie krytykowane, miały też swoje zalety. Właśnie w tym pozostawionym domku mieszka pan José. Nie znaczy to jednak, że i jego zostawiono celowo, jako relikwium przeszłości, tak się bowiem złożyło, że z uwagi na swoje usytuowanie jego dom nie psuł nowej linii ulicy, nie była to więc ani żadna kara, ani nagroda, gdyż pan José nie zasługuje ani na jedno, ani na drugie, po prostu pozwolono mu dalej tam mieszkać, to wszystko. Jednakże na znak, że czasy się zmieniły, i żeby nie było podejrzeń o jakieś przywileje, wewnętrzne drzwi zostały zamknięte na klucz i panu José zakazano korzystania z nich. Z tego właśnie powodu jest zmuszony, jak wszyscy inni, codziennie wchodzić i wychodzić głównym wejściem, nawet w wypadku rzęsistej ulewy. Rozumiejąc wszakże zasadę równości, choć w tym wypadku działającą na jego niekorzyść, pan José bez szemrania stosuje się do tego i innych poleceń, chociaż prawdę mówiąc, wolałby, żeby wymianą starych teczek nie zajmował się wyłącznie on sam, choćby z uwagi na wspomniany już lęk wysokości. Pan José odznacza się chwalebą skromnością, nie opowiada na prawo i lewo o swoich prawdziwych czy urojonych zaburzeniach nerwowych bądź psychicznych, nigdy więc nie wspominał kolegom o tej dolegliwości, w przeciwnym razie na pewno bez przerwy zerkaliby w górę w obawie, że mimo pasa bezpieczeństwa spadnie im na głowy. Kiedy wreszcie skołowany pan José schodzi z drabiny, starając się ukryć swój stan, żaden z kolegów, a tym bardziej przełożonych, nawet nie podejrzewa, co mu groziło.

Trzeba jednak wyjaśnić, że mimo wydłużonej drogi do Archiwum, pan José z ulgą i zadowoleniem przyjął polecenie zamknięcia wewnętrznych drzwi. Nie miał bowiem zwyczaju przyjmować kolegów w porze obiadowej, a w wypadku choroby zawsze sam, z własnej woli, meldował się u swojego kierownika, unikając przez to podejrzeń o niesumienność i ewentualnej kontroli w sypialni. Zamknięcie drzwi dodatkowo zmniejszało szansę niepożądanego najścia w domowym zaciszu na przykład w chwili, gdy wyłożył na stół owoc wieloletnich trudów, czyli sporą kolekcję wycinków dotyczących osób, które w kraju cieszą się jakąś sławą, tak dobrą, jak i złą. Zagraniczne sławy, bez względu na wielkość, nie interesowały go, gdyż ich papiery znajdowały się w odległych



archiwach, były sporządzone według nie znanych mu zasad, w językach, których nie potrafiłby rozszyfrować, można by więc rzec, że nawet najwyższa drabina nie dałaby mu do nich dostępu. Osoby takie jak pan José wypełniają sobie wolny czas, zbierając znaczki, monety, medale, wazony, pocztówki, pudełka od zapalek, książki, zegarki, koszulki sportowe, autografy, kamienie, gliniane figurki, puszki po napojach, aniołki, kaktusy, programy operowe, zapalniczki, długopisy, sowy, pozytywki, butelki, obrazy, kubki, fajki, kryształowe obeliski, porcelanowe kaczkę, stare zabawki, karnawałowe maski i robią to prawdopodobnie z powodu jakiegoś metafizycznego lęku, być może nie chcą pogodzić się z myślą, że światem rządzi wyłącznie chaos, dlatego też próbują na własną rękę, bez boskiej pomocy, zaprowadzić jakiś ład, co na pewien czas im się udaje, póki panują nad kolekcją, bowiem w dniu, gdy kolekcja ulega rozproszeniu, co zawsze nieuchronnie następuje czy to z racji śmierci czy zmęczenia kolekcjonera, wszystko wraca do stanu poprzedniego galimatiasu.

Jakkolwiek konik pana José jest najzupełniej niewinny, nie wiedzieć czemu, pan José pilnie baczy, by nikt nie odkrył, że zbiera wycinki z prasy z artykułami i zdjęciami sławnych ludzi, przy czym sława jest tu jedynym kryterium, gdyż jest mu obojętne, czy jest to polityk, generał, aktor, architekt, muzyk, piłkarz, kolarz, pisarz, spekulant, tancerka, morderca, bankier, oszust czy miss piękności. Nie zawsze był taki zamknięty w sobie. Wprawdzie nigdy nie zwierzył się ze swojego hobby nielicznym kolegom, z którymi łączy go pewna zażyłość, lecz był to raczej wynik jego skrytej natury niż obawy przed śmiesznością. Przesadna dbałość o ochronę własnej prywatności pojawiła się w nim dopiero po zburzeniu domów przylegających do Archiwum, a dokładnie po tym, jak dowiedział się, że nie będzie mógł korzystać z wewnętrznych drzwi. Może to tylko zwykły zbieg okoliczności, jakich przecież w życiu nie brak, trudno bowiem doszukać się bezpośredniego czy choćby bliskiego związku między tym faktem a nagłą potrzebą zachowania tajemnicy, choć skądinąd wiadomo, że ludzki umysł podejmuje na pozór niezrozumiałe decyzje, będące wynikiem niezwykle szybkich (niemożliwych do odtworzenia) operacji myślowych. Tak czy inaczej, pewnego razu, gdy późną nocą najspokojniej w świecie zajmował się aktualizacją danych pewnego biskupa, doznał olśnienia, które całkowicie odmieniło jego życie.

Być może poczuł nagły niepokój na myśl, że po drugiej stronie grubego muru znajduje się Archiwum, a w nim ogromne regały pełne żywych i umarłych, błada lampka

paląca się dzień i noc nad biurkiem kustosza, gęsty mrok w korytarzach między regałami, egipskie ciemności w głębi gmachu, samotność, cisza i być może na skutek tego niepokoju w jego umyśle zaszły te dziwne procesy, o których przed chwilą wspomnieliśmy, i w rezultacie uświadomił sobie, że w jego kolekcji brak czegoś bardzo istotnego, a mianowicie pochodzenia, korzeni, źródła, innymi słowy zwykłego aktu urodzenia sławnych ludzi, którymi się interesuje. Dla przykładu nie wiedział, jak nazywali się ojciec, matka i rodzice chrzestni biskupa, nie znał też dokładnego miejsca urodzenia, ulicy, domu, piętra, nie mówiąc już o dacie urodzenia, którą wprawdzie wymieniono w jednym z wycinków, ale jedynym wiarygodnym źródłem mogła tu być tylko metryka znajdująca się w Archiwum, wiadomo wszak, że na prasie nie można polegać, dziennikarz mógł się przesłyszeć lub źle zanotować, a korektor poprzestawiać cyfry, historia korekty zna takie przypadki. A przecież rozwiązanie problemu leżało w zasięgu ręki. Szef Archiwum był święcie przekonany, że każde jego polecenie jest wykonywane przez podwładnych niesłychanie skrupulatnie i gorliwie, bez ociągania się i bez szemrania, dlatego też nie odebrano panu José klucza od wewnętrznych drzwi, on zaś wcale nie zamierzał go wyjmować z szuflady, a tym bardziej używać, aż do chwili, gdy stwierdził, że jako biograf-amator będzie niewiarygodny, jeżeli nie wzbogaci swojej kolekcji oficjalnymi dokumentami lub ich wiernymi kopiami.

Kiedy po raz pierwszy otworzył zakazane drzwi, był bardzo zdenerwowany i podniecony, po plecach przebiegł mu zimny dreszcz, jakby postawił stopę na progu grobowca jakiegoś bóstwa, którego moc, w przeciwieństwie do tradycyjnych wyobrażeń, pochodzi nie z faktu zmartwychwstania, lecz z odrzucenia tej możliwości. Jedyne martwy bóg na zawsze pozostaje bogiem. Groźne widma wypełnionych papierami regałów zdawały się przenikać przez niewidzialny sufit i ginąć w czarnym niebie, a blada lampka nad biurkiem szefa robiła wrażenie odległej, przyćmionej gwiazdy. Gdy ochłonął z pierwszego wrażenia, zrozumiał, że mimo dobrej znajomości terenu, będzie mu potrzebna latarka, która pozwoli szybko i bez wpadania na meble odnaleźć dokumenty biskupa, najpierw kartę, a potem teczkę. W szufladzie, gdzie trzymał klucz, miał też latarkę, po którą wrócił. Światło latarki dodało mu odwagi i już pewnym krokiem przeszedł między biurkami aż do barierki, wzdłuż której stała obszerna kartoteka żywych. Szybko odnalazł fiszkę biskupa i z ulgą stwierdził, że półka z teczką osobową znajduje się w zasięgu ręki. A więc na szczęście nie musiał wchodzić na drabinę, już sama myśl

wspinania się gdzieś pod czarne sklepienie przejmowała go grozą.

Otworzył szafę z drukami, wyjął po jednym z każdego rodzaju i wrócił do domu, zostawiając otwarte drzwi. Usiadł przy stole i lekko drżącą ręką zaczął przepisywać na czyste blankiety szczegółowe dane osobowe biskupa, pełne nazwisko, z wszystkimi członami i partykułami, następnie nazwiska ojca, matki, rodziców chrzestnych, proboszcza, który go ochrzcił, a także urzędnika Archiwum Głównego, który sporządził kartę, jednym słowem spisał wszystkie możliwe imiona i nazwiska. Gdy skończył, był kompletnie wyczerpany, miał spocone ręce i wstrząsały nim dreszcze, wiedział bowiem, że złamał przepisy służbowe, a nie bardziej człowieka nie męczy niż walka, może nie tyle z samym sobą, co z abstrakcją. Wgląd w papiery biskupa był wykroczeniem przeciwko dyscyplinie i etyce zawodowej, a może nawet przeciwko prawu. Wprawdzie zawarte w nich informacje nie były tajne, każdy bowiem, bez wyjaśniania powodu, mógł zwrócić się do Archiwum z prośbą o odpis czy świadectwo, lecz pan José nie zachował wymaganej procedury służbowej i działał bez polecenia zwierzchników. Przez chwilę miał chęć wycofać się, naprawić błąd, niszcząc trefne odpisy i zwracając klucz kustoszowi choćby pod takim oto pretekstem, Panie szefie, nie chcę odpowiadać, jak coś zginie z Archiwum, a następnie raz na zawsze zapomnieć o doprawdy wspaniałych chwilach, jakie dopiero co przeżył. Jednak przeważało zadowolenie i duma z tego, że dowiedział się wszystkiego o biskupie, tak właśnie sobie pomyślał, Wiem wszystko o biskupie. Spojrzał na szafę, w której trzymał pudła z wycinkami, i uśmiechnął się z satysfakcją na myśl o pracy, która go czeka, o nocnych wypadach, o systematycznym przeglądaniu dokumentów i sporządzaniu starannych kopii, to wszystko było tak pociągające, że nie zniechęciła go nawet perspektywa wspinania się po drabinie. Wrócił do Archiwum i odłożył na miejsce dokumenty biskupa. Następnie, z pewnością siebie, jakiej nigdy przedtem nie doświadczył, zatoczył krąg światłem latarki, jakby biorąc we władanie coś, co zawsze było jego własnością, lecz dopiero teraz sobie to uświadomił. Na chwilę zatrzymał wzrok na biurku szefa oświetlonym sączącym się z góry bladym światłem i poczuł, że musi usiąść na jego miejscu, gdyż od dziś to on będzie prawdziwym panem Archiwum, pracującym tu za dnia z konieczności, nocą zaś z własnej woli, podczas gdy słońce i księżyc będą niezmordowanie krążyć wokół Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, które jest całym światem i zarazem pępkiem świata. Kiedy się mówi o początkach czegoś, zawsze wspomina się pierwszy dzień, podczas gdy powinna się liczyć pierwsza noc, gdyż

to ona warunkuje dzień, gdyby nie noc, panowałaby wieczna noc. Pan José usiadł na krześle kustosa i przesiedział tak do świtu, słuchając głuchego szelestu papierów żywych i grobowego milczenia papierów zmarłych. Kiedy pogasły miejskie latarnie i pojaśniały szyby pięciu okien nad głównym wejściem, wstał, wrócił do siebie i zamknął drzwi. Umył się, ogolił, zjadł śniadanie, schował osobno papiery biskupa, włożył najlepsze ubranie, w stosownym czasie wyszedł na ulicę, obszedł budynek i wkroczył do Archiwum. Żaden z kolegów nie zauważył, kto naprawdę przyszedł, jak zwykle odpowiadali mu, Dzień dobry, panie José, nie zdając sobie sprawy z tego, do kogo mówią.

\*

Na szczęście nie ma zbyt wielu sławnych ludzi. Nawet przy tak liberalnych i eklektycznych kryteriach, jakie stosuje pan José, nie jest wcale łatwo, szczególnie w małym kraju, doliczyć się okrągłej setki osobistości naprawdę sławnych, nie popadając w relatywizm właściwy autorom różnych antologii, takich jak sto najlepszych sonetów miłosnych lub sto najsmutniejszych elegii, które wzbudzają uzasadnione podejrzenia, że ostatecznie pozycje zostały wybrane tylko z uwagi na zaokrąglenie liczby. Kolekcja znakomitości pana José grubo wykraczała ponad setkę, choć dla niego, podobnie jak dla autorów antologii, cyfra sto również stanowiła górną granicę, *limit nec plus ultra*, czyli mówiąc zwyczajnie, była niczym litrowa butelka, która mimo wszelkich usiłowań, nie zmieści więcej niż litr płynu. Takie rozumienie sławy można by nazwać dynamicznym, gdyż kolekcja pana José siłą rzeczy dzieli się na dwie części, w pierwszej znajduje się setka najślawniejszych, w drugiej zaś ci mniej sławni, a na granicy między nimi panuje bezustanny ruch, jako że sława jest, niestety, zmienna jak chmury lub chorągiewka na wietrze, toteż równie dobrze jakiś szary człowiek raptem może stać się sławny, jak i ktoś chodzący w glorii sławy zniecka popaść w całkowite zapomnienie. Stosownie do tej smutnej prawdy również w kolekcji pana José zdarzają się zarówno efektowne wzloty, jak i dramatyczne upadki, na przykład ktoś z grupy rezerwowych przechodzi do kadry, podczas gdy ktoś inny zostaje wylany, bo nie zmieścił się w butelce, zupełnie jak w życiu.

Dzięki wyteżonej pracy, niekiedy do białego rana, co oczywiście musiało negatywnie odbić się na wydajności w normalnych godzinach funkcjonowania biura, pan

José zdołał w niespełna dwa tygodnie skompletować dane dotyczące pochodzenia stu najślawniejszych ludzi z kolekcji. Za każdym razem, kiedy musiał wchodzić na szczyt drabiny, przeżywał chwile niewypowiedzianej grozy i to nie tylko z powodu zawrotów głowy, miał bowiem wrażenie, że wszystkie pająki Archiwum Głównego sprzysięgły się, żeby właśnie w tym miejscu snuć najgrubsze, najbardziej lepkie i najbardziej zakurzone pajęczyny, jakie kiedykolwiek dotykały ludzkiej twarzy. Ten odrażający dotyk napępiał go takim wstrętem i przerażeniem, że machał na oślep rękami, toteż mimo pasa bezpieczeństwa parę razy mało brakowało, żeby runął razem z drabiną, w chmurze historycznego kurzu i deszczu spadających papierów. W jednej z takich krytycznych chwil, kiedy wyobraził sobie, jaką hańbą okryłby swoje imię, gdyby następnego ranka szef znalazł między regałami trupa przywiązanego do drabiny, z roztrzaskaną głową i mózgiem na wierzchu, pomyślał, że z dwojga złego lepiej spaść luzem. Później jednak zastanowił się i doszedł do wniosku, że rezygnacja z pasa uchroni go jedynie od śmieszności, a nie od śmierci, więc nie warto tego robić. Walcząc z wrodzoną bojaźliwością, stopniowo tak udoskonalił metody pracy, że pod koniec znajdował potrzebne dokumenty prawie po omacku, w ciągu kilku sekund. Pierwsze wejście na drabinę bez użycia pasa w skromnym życiorysie kancelisty urosło do rangi wiekopomnego zwyczajstwa. Kiedy ostatnia znakomitość, sklasyfikowana na setnym miejscu, została opisana zgodnie ze wszystkimi zasadami Archiwum Głównego i spoczęła w stosownym pudle, był już ledwie żywy z niewyspania, wyczerpany nerwowo, ale zarazem szczęśliwy jak nigdy w życiu. Pomyślał wówczas, że po tak wielkim wysiłku należy trochę odpocząć, a jako że zbliżał się koniec tygodnia, postanowił dopiero w poniedziałek przystąpić do drugiego etapu pracy, to znaczy nadać status urzędowej dokumentacji pozostałych czterdziestu paru pomniejszych sław, czekających na swoją kolej. Nie podejrzewał, że przytrafi mu się coś znacznie poważniejszego niż upadek z drabiny. Wynikiem upadku mogła być utrata życia, co bez wątpienia miało jakieś znaczenie tak dla niego, jak i dla statystyki, jednakże tego, co mu się przytrafiło, statystyki nie odnotują, gdyż z biologicznego punktu widzenia zachował życie, nadal miał te same komórki, rysy twarzy, wzrost, spojrzenie i sposób bycia, a mimo to stał się zupełnie innym człowiekiem.

Sobota i niedziela dłużyły mu się bez końca. Zabijał czas, robiąc nowe wycinki i parę razy otwierał wewnętrzne drzwi, żeby podziwiać dostojęństwo pogrążonego w ciszy

Archiwum Głównego. Czuł, że coraz bardziej lubi swoją pracę, dzięki której miał wgląd w prywatność sławnych ludzi i odkrywał różne fakty, które starali się ukryć, jak choćby to, że byli dziećmi nieznanego ojca czy matki, albo że wbrew temu, co twierdzą, wcale nie urodzili się w stolicy powiatu czy województwa, lecz w jakiejś zapadłej dziurze, w jakimś grajdołku o strasznej nazwie lub, co gorsza, w jakiejś wiosce cuchnącej oborą i chlewem, która z powodzeniem mogła się obejść bez żadnej nazwy. Te i tym podobne sceptyczne myśli snuły się po głowie panu José podczas weekendu, w poniedziałek zaś poczuł, że wrócił do formy po ostatnich wysiłkach, toteż mimo napięcia nerwowego wywołanego bezustanną rozterką między chęcią a boją się, postanowił kontynuować nocne wyprawy i śmiało wspinaczki. Dzień jednak zaczął się źle. Kierownik pełniący funkcję intendenta doniósł kustoszowi, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni zużycie kart i teczek wzrosło niewspółmiernie do liczby nowych aktów urodzenia i przyjętego marginesu błędów przy ich wypisywaniu. Kustosz zapytał, jakie środki zastosowano w celu wyjaśnienia przyczyn oraz uniknięcia podobnych przypadków w przyszłości. Intendent skromnie odparł, że nie ośmielił się wyrobić sobie zdania ani powziąć żadnych decyzji bez uprzedniego powiadomienia szefa. Na co kustosz odparł jak zwykle sucho, Już pan powiadomił, teraz proszę działać, nie chcę więcej słyszeć o tej sprawie. Intendent wrócił na swoje miejsce, myślał przez jakąś godzinę, po czym zaniósł szefowi notatkę służbową z propozycją zamknięcia szafy z drukami na klucz, który byłby wyłącznie w jego władaniu. Kustosz napisał, Zgoda, wówczas intendent ostentacyjnie, żeby wszyscy zauważyli, zamknął szafę na klucz, a pan José, na którego w pierwszej chwili padł blady strach, z ulgą skonstatował, że zdążył wykonać zasadniczą część pracy i usiłował sobie przypomnieć, ile czystych kart zostało mu w domu, chyba jakieś dwanaście lub piętnaście. A więc nie jest tak źle, gdyż zabraknie mu tylko około trzydziestu druków, które można przecież zastąpić zwykłymi kartkami, na czym ucierpi jedynie estetyka. Pocieszył się jednak tym, że nie zawsze można mieć wszystko naraz.

Nie było żadnego powodu, dla którego pan José miałby być bardziej podejrzany o podkradanie druków niż pozostali kanceliści, których zadaniem było wypisywanie kart i zakładanie teczek osobowych. Miał on jednak słabe nerwy i dlatego cały dzień drżał z obawy, żeby się nie zdradzić. Mimo to znakomicie spisał się podczas przesłuchania, któremu go poddano. Ze stosownym do sytuacji wyrazem twarzy i odpowiednim tonem oświadczył, że niezwykle sumiennie podchodzi do sprawy zużycia druków, co wynika

zarówno z jego natury, jak i ze świadomości, że papier używany w Archiwum kupowany jest za publiczne pieniądze, pochodzące z podatków płaconych przez obywateli, nierzadko kosztem wyrzeczeń, dlatego on, jako urzędnik państwowy, uważa za swój obowiązek gospodarować nim rozważnie i oszczędnie. Tak treść, jak i forma tego oświadczenia spodobały się zwierzchnikom, toteż następni przesłuchiwani powtarzali je z niewielkimi zmianami, tym bardziej, że kustosz, człowiek o niezwyklej osobowości, zdołał wpoić podwładnym zasadę, przez wszystkich zgodnie akceptowaną, że choćby nie wiem co się działo w Archiwum, praca ma się toczyć swoim trybem, i chyba głównie z tego powodu nikt nie zwrócił uwagi na to, że w ciągu wieloletniej pracy pan José nigdy nie wypowiedział tylu słów jednym tchem. Gdyby zastępca szefa znał podstawy psychologii stosowanej, kłamliwa argumentacja pana José natychmiast by się rozsypała niczym domek z kart, w których król pik jest kuternogą lub runęłaby jak człowiek cierpiący na zawroty głowy spada z chwiejnej drabiny. Z obawy, że kierownik, zastanowiwszy się nieco, może odkryć, gdzie jest pies pogrzebany, pan José postanowił nie prowokować losu i tego wieczoru zostać w domu. Nie ruszy się nawet na krok, nie wejdzie do Archiwum, choćby mu obiecywano krocie za odnalezienie najbardziej poszukiwanego dokumentu wszech czasów, a mianowicie aktu urodzenia Pana Boga. Powiadają, że przezorność jest miarą mądrości i jeśli idzie o pana José, to trzeba przyznać, że mimo ostatnich wybryków nie jest on pozbawiony czegoś w rodzaju mimowolnej mądrości, której źródłem może być zarówno wdychane powietrze, jak i promień słońca muskający głowę, nie jest to więc mądrość, której można by zazdrościć. Tak czy inaczej, postanowił tym razem posłuchać głosu rozsądku i pozostać wieczorem w domu. Zawieszenie rozpoczętych poszukiwań na tydzień lub dwa pomoże mu wyzbyć się wyrazu lęku i niepokoju, malującego się ostatnio na jego twarzy. Po zjedzeniu skromnej jak zwykle kolacji, stwierdził jednak, że nie wie, co począć z wolnym wieczorem. Przez jakieś pół godziny przeglądał dokumentację kilku największych sław i dorzucił parę nowych wycinków, lecz jego myśli błądziły po mrocznych zakamarkach Archiwum niczym czarny pies, który złapał trop niezgłębionej tajemnicy. Pomyślał, że nic się nie stanie, jeśli na zapasowe fiszki skopiuje ze trzy lub cztery karty, po prostu dla zabicia czasu, żeby potem lepiej spać. Przezorność próbowała go powstrzymać, chwytając za rękaw, ale jak wszyscy dobrze wiedzą, a jeśli nie, to powinni wiedzieć, że bywamy przezorni tylko wówczas, gdy dana sprawa jest nam całkiem obojętna, wszak nic się nie

stanie, jeśli otworzy drzwi, szybko wyciągnie ze cztery karty, no może pięć dla łatwiejszej rachuby, natomiast teczki osobowe zostawi na inną okazję, żeby już dziś nie wchodzić na drabinę. Ten argument ostatecznie zaważył na jego decyzji. Wszedł do ciemnej czeluści Archiwum, trzymając latarkę w drżącej ręce i skierował się do kartoteki. Był bardziej zdenerwowany, niż mógł przypuszczać, kręcił głową w prawo i lewo, jakby w obawie, że z mrocznych korytarzy między regałami śledzą go tysiące oczu. Jeszcze się nie otrząsnął z porannego szoku. Najszybciej, jak na to pozwalały drżące palce, zaczął otwierać i zamykać szufladki, szukając kolejnych liter alfabetu, parę razy się pomylił, lecz w końcu zdołał wyjąć karty pięciu sław drugiej kategorii. Był naprawdę przestraszony, pobiegł do domu z sercem w gardle, czuł się jak dziecko, które zakradło się do spiżarni po słodycze i potem ucieka, jakby ścigały je wszystkie duchy ciemności. Pan José zatrzasnął im drzwi przed nosem, dwa razy przekręcił klucz w zamku i wołał nie myśleć o tym, że niebawem będzie musiał tam wrócić, żeby wstawić karty na miejsce. Dla dodania sobie animuszu pociągnął łyk wódki z butelki, którą trzymał na złe i na dobre okazje, a że zrobił to pośpiesznie i brak mu było wprawy, bowiem w jego szarym życiu tak złe, jak i dobre okazje były rzadkością, więc się zachłysnął, zakrztusił, zaczął kaszleć i z tego wszystkiego wypuścił z ręki pięć, jak mu się zdawało, kart, które rozsypały się po podłodze i wtedy okazało się, że jest ich sześć, proszę bardzo, każdy może policzyć, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, przecież jeden łyk wódki nie mógł tak na niego podziałać.

Gdy wreszcie złapał oddech, schylił się, żeby pozbierać karty, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, rzeczywiście, sześć, lecz tylko na pięciu widniały nazwiska sławnych ludzi. Szósta karta po prostu przyczepiła się do jednej z pozostałych, czego nie zauważył w nerwowym pośpiechu, gdyż z powodu bardzo cienkiego papieru różnica grubości była ledwie wyczuwalna. Przepisanie, nawet najstaranniejszym pismem, danych z pięciu kart nie zajmuje zbyt wiele czasu. Toteż w pół godziny pan José wykonał całą pracę przewidzianą na ten wieczór i nadeszła chwila ponownego otwarcia drzwi. Niechętnie zebrał wszystkie sześć kart i wstał z krzesła. Nie miał najmniejszej ochoty wracać do Archiwum, ale nie było innego wyjścia, gdyż następnego dnia rano wszystkie karty musiały być na miejscu. Gdyby przypadkiem odkryto ich brak, sprawa mogłaby przyjąć zły obrót. Zrodziłyby się wątpliwości, podejrzenia i od słowa do słowa ktoś na pewno by wspomniał o tym, że pan José mieszka przez ścianę z Archiwum, pozbawionym, jak dobrze wiemy, nocnego stróża, przypomniano by też sobie o kluczu, którego nie zwrócił.



Co ma być, to będzie, pomyślał niezbyt odkrywco pan José i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się jednak w pół drogi. Ciekawe, nawet nie pamiętam, czy ta szósta karta dotyczy mężczyzny czy kobiety. Zawrócił i usiadł przy stole, co się odwlecze, to nie uciecze. Była to karta kobiety, urodzonej przed trzydziestu sześciu laty w tym samym mieście i prócz wpisu dotyczącego urodzenia zawierała jeszcze informacje o małżeństwie i o rozwodzie. Z pewnością podobnych kart jest w Archiwum setki, a nawet tysiące, trudno zatem pojąć, czemu pan José ma taką dziwną minę, czemu przygląda się tej karcie uważnym, niespokojnym, a zarazem pustym wzrokiem, jakby nagle ziemia osunęła mu się pod nogami i nie wiedział, czego się chwycić. Ktoś mógłby powiedzieć, że uwaga, niepokój i pustka nie przystają do siebie, ale to by świadczyło, że jest zwykłym, szarym zjadaczem chleba, który nigdy nie stanął oko w oko z przeznaczeniem. Pan José wczytuje się w słowa na karcie, oczywiście napisane przez kogoś innego, gdyż przed trzydziestu sześciu laty to jakiś inny kancelista wykaligrafował staromodnym pismem imię dziewczynki, nazwiska ojca i matki oraz rodziców chrzestnych, datę i godzinę urodzin, a także ulicę, numer domu i piętro, gdzie po raz pierwszy ujrzała światło dnia i poczuła pierwszy ból, no cóż, każde życie zaczyna się tak samo, różnice pojawiają się dopiero później, gdyż niektórzy trafiają do encyklopedii, historii, podręczników, katalogów, mają swoje biografie i zbiory wycinków, inni zaś znikają bez śladu, jak nie przymierzając chmury, po których nie zostaje na ziemi nawet kropla deszczu. Zupełnie tak jak ja, pomyślał pan José. Miał pełną szafę wycinków znanych ludzi, o których prawie co dzień pisała prasa, na stole zaś leżała karta nieznannej kobiety i jakby mimowolnie kładąc na szale z jednej strony setkę znakomitości, a z drugiej jedną kobietę, ze zdziwieniem stwierdził, że cała setka nie waży więcej niż jedna osoba, że jednostka jest warta tyle samo co setki. Gdyby w tej chwili ktoś wszedł do jego domu i zapytał, Naprawdę uważa pan, że jednostka, choćby ktoś taki jak pan, jest warta tyle samo co tych stu z pańskiej szafy, odpowiedziałby bez wahania, Drogi panie, jestem tylko kancelistą, skromnym urzędnikiem, który w wieku pięćdziesięciu lat jeszcze nigdy nie awansował i gdybym uważał, że jestem wart tyle samo co ktokolwiek z mojej kolekcji, to nie zbierałbym żadnych wycinków, Wobec tego, czemu tak się pan wpatruje w kartę nieznannej kobiety, jakby była ważniejsza od tamtych, Właśnie dlatego, że jest nieznana, Chyba pan przesadza, przecież urzędowa kartoteka pełna jest nieznanymi ludźmi, Ale są w kartotece, nie tutaj, Co pan chce przez to powiedzieć, Właściwie sam nie wiem, Wobec

tego niech pan skończy z tą metafizyką, bo chyba nie ma pan do tego głowy, niech pan lepiej odłoży tę kartę na miejsce i śpi spokojnie, Mam zamiar to zrobić, powiedział pojednawczo pan José i dodał, A co się tyczy metafizycznych myśli, drogi panie, to pozwolę sobie zauważyć, że każdemu chodzą one po głowie, tylko nie zawsze znajduje się dla nich odpowiednie słowa.

Niestety, tej nocy pan José nie spał tak spokojnie jak zwykle. W labiryncie kłębiących się w głowie myśli próbował odnaleźć przyczynę, dla której sporządził kopię karty nieznanej kobiety, ale nie doszukał się żadnego racjonalnego uzasadnienia dla tego zaskakującego faktu. Pamiętał tylko ruch lewej ręki biorącej czysty druk, potem piszącą prawą rękę i oczy przesuujące się bezustannie z jednej karty na drugą, jakby w rzeczywistości to one przenosiły słowa z jednej karty na drugą. Pamiętał też, że ku własnemu zdziwieniu, całkiem spokojnie, bez najmniejszego zdenerwowania czy lęku, wszedł do Archiwum Głównego, trzymając mocno latarkę, włożył na miejsce wszystkie karty, zostawiając na koniec kartę nieznanej kobiety, którą oświetlał latarką do ostatniej chwili, póki nie zniknęła w głębi szufladki, stając się tylko jednym z wielu nazwisk. Do północy nie mógł zasnąć, wstał więc, narzucił płaszcz i usiadł przy stole. Zasnął bardzo późno, z głową opartą na prawej ręce, lewa zaś spoczywała na przepisanej karcie.

\*

Decyzja pana José pojawiła się dwa dni później. Na ogół ludzie raczej nie mówią, że decyzja im się pojawia, są bowiem tak bardzo czuli na punkcie swojej osobowości, choćby całkiem bezbarwnej, oraz swojego autorytetu, choćby znikomego, że zawsze sugerują, iż nim zrobili decydujący krok, dobrze się zastanowili, rozważyli wszystkie za i przeciw, wszystkie możliwości i rozwiązania, a zatem powzięli decyzję w wyniku głębokich przemyśleń. Powiedzmy sobie jednak, że nie zawsze tak się dzieje. Z pewnością nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby jeść, jeśli nie ma apetytu, który wszak nie zależy od naszej woli, lecz wynika z obiektywnych potrzeb organizmu, jest to więc problem natury fizyczno-chemicznej, którego rozwiązanie, mniej lub bardziej satysfakcjonujące, znajduje się na talerzu. Podobnie tak prosta czynność jak wyjście z domu i kupienie gazety zakłada nie tylko chęć zdobycia informacji, co też jest jakimś rodzajem apetytu i wynikiem

procesów chemiczno-fizycznych zachodzących w organizmie, choć nieco innej natury, albowiem ta rutynowa czynność zakłada również, choć nieświadomie, pewność, przekonanie lub nadzieję, że samochód rozwозяcy prasę przyjechał na czas lub że kiosk nie jest zamknięty z powodu choroby bądź zamierzonej nieobecności właściciela. Gdybyśmy jednak upierali się przy tym, że decyzje zależą tylko od nas, musielibyśmy przede wszystkim wyjaśnić, wyodrębnić i sprecyzować, kto w nas jest decydem, a kto późniejszym wykonawcą, co jest zupełnie niemożliwe. Prawdę mówiąc, to nie my wpływamy na decyzje, lecz one na nas. Świadczy o tym choćby fakt, że mnóstwo naszych działań, nawet takich jak zjedzenie obiadu, kupno gazety czy też poszukiwanie jakiejś nieznanym, wcale nie musi być wynikiem świadomej decyzji, poprzedzonej chwilą refleksji, rozważań czy deliberacji.

Z tych właśnie względów nawet podczas najbardziej skrupulatnego przesłuchania pan José nie byłby w stanie wyjaśnić, skąd wzięła się ta decyzja, i zapewne tłumaczyłby się następująco, Wiem tylko, że stało się to w środę wieczorem, byłem tak zmęczony, że nawet nie miałem ochoty na kolację, nadal kręciło mi się w głowie, gdyż cały boży dzień spędziłem na drabinie, szef mógłby wreszcie zrozumieć, że takie akrobacje nie są odpowiednie dla kogoś w moim wieku, nie jestem już młodzieniaszkiem i w dodatku cierpię na tę przypadłość, Jaką przypadłość, Zawroty głowy spowodowane lękiem wysokości, Nigdy się pan na to nie skarżył, Nie lubię się skarżyć, To ładnie z pana strony, proszę mówić dalej, Miałem zamiar położyć się do łóżka, już nawet zdjąłem buty, kiedy nagle powziąłem tę decyzję, Jeśli ją pan powziął, musi pan wiedzieć dlaczego, Mam wrażenie, że nie miałem na nią wpływu, to ona wpłynęła na mnie, Normalnie decyzja zależy od człowieka, a nie człowiek od decyzji, Do środowego wieczoru też tak myślałem, A co się stało w środę wieczorem, Właśnie to, co mówię, na nocnej szafce leżała karta nieznanym i zacząłem się jej przyglądać, jakbym ją widział pierwszy raz, Ale już wcześniej pan ją widział, Od poniedziałku właściwie bez przerwy się jej przyglądam, To znaczy, że decyzja w panu dojrzewała, Raczej to ja dojrzewałem do niej, Znowu pan zaczyna, wracajmy do rzeczy, Włożyłem buty, marynarkę, płaszcz i wyszedłem, zapominając o krawacie, O której to było, Około wpół do jedenastej, Dokąd pan poszedł, Na ulicę, gdzie urodziła się nieznanym, W jakim celu, Chciałem zobaczyć to miejsce, ten dom, A więc przyznaje pan, że była to świadoma decyzja, Nie, ja tylko ją sobie uświadomiłem, Jak na kancelistę niezłe pan argumentuje, Kancelistów na ogół się nie

dostrzega, nie docenia się ich, Proszę mówić dalej, Dom nadal tam stoi, w oknach paliło się światło, Mówi pan o domu tej kobiety, Tak, Co pan potem zrobił, Stałem przez parę minut, Patrzył pan, Tak, Tylko pan patrzył, Tak, tylko patrzyłem, A co potem, Nic, Nie zadzwonił pan do drzwi, nie wszedł pan na schody, o nic pan nie pytał, Skądże, nawet mi to przez myśl nie przeszło, było przecież późno, Która godzina, Chyba wpół do dwunastej, Poszedł pan tam pieszo, Tak, A jak pan wrócił, Też pieszo, To znaczy, że nie ma świadków, Jakich świadków, Kogoś, kto akurat otworzył drzwi, gdy pan wszedł do środka albo na przykład konduktora tramwaju lub autobusu, A co mieliby poświadczyć, Że naprawdę był pan na tej ulicy, Ale po co, Można by udowodnić, że to nie był sen, Powiedziałem prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, zeznaję pod przysięgą, moje słowo powinno panu wystarczyć, Możliwe, ale w pana relacji jest pewien szczegół świadczący na pana niekorzyść, Co takiego, Krawat, A co do tego ma krawat, Urzędnik Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego nie wychodzi z domu bez krawata, to jest sprzeczne z jego naturą, Przecież powiedziałem, że nie byłem sobą, zawładnęła mną decyzja, A więc mamy dodatkowy dowód na to, że chodzi o sen, Nie sądzę, Jedno z dwojga, albo przyzna pan, że powziął decyzję jak każdy normalny człowiek i w tej sytuacji jestem skłonny uwierzyć, że wyszedł pan z domu bez krawata, zachowanie wielce naganne dla urzędnika państwowego, ale teraz nie zamierzam się tym zajmować, albo będzie się pan upierał przy tym, że to decyzja panem kierowała, co w połączeniu z bezsporną sprawą krawata dowodzi, że był to sen. Powtarzam, że nie powziąłem żadnej decyzji, spojrzalem na kartę, włożyłem buty i wyszedłem, A więc pan spał, Nie spałem, Położył się pan, zasnął i przyśniło się panu, że poszedł pan na tę ulicę, Mogę ją panu opisać, A jak mi pan udowodni, że wcześniej pan tam nie był, Mogę opisać nawet dom, Nie warto, w nocy wszystkie domy są czarne, To o kotach się mówi, że w nocy są czarne, Domy też, A więc mi pan nie wierzy, Nie, Czemu, jeśli wolno spytać, Gdyż to, co pan mówi, nie mieści się w moich wyobrażeniach, a więc naprawdę nie istnieje, Śpiący człowiek jest prawdziwy, ośmielam się zatem twierdzić, że jego sny też są prawdziwe, Sny są prawdziwe jedynie jako sny, A więc taka jest prawda, Tak, wyłącznie taka, Czy mogę wrócić do pracy, Może pan, jednak do sprawy krawata jeszcze kiedyś wrócimy.

Powyższy dialog pan José wymyślił sobie po przesłuchaniu dotyczącym brakujących druków, jakby chcąc jeszcze raz sprawdzić siłę swojej argumentacji, dzięki której i tym razem wyszedł cało z opresji mimo ostrego i ironicznego tonu oskarżyciela,

co może potwierdzić powtórna uważna lektura. Dyskutował z takim przekonaniem, że gotów był bez zastrzeżeń uwierzyć we własne kłamstwa, choć dobrze wiedział, że wszedł do budynku, potem na drugie piętro i podsłuchiwał pod drzwiami mieszkania, w którym przyszła na świat nieznajoma. Nie skłamał jedynie, mówiąc, że nie zadzwonił do drzwi, stał jednak parę minut na ciemnym podeście, nasłuchując z przejęciem odgłosów z mieszkania i nawet się nie bojąc, że ktoś może go wziąć za włamywacza. Usłyszał kwilenie noworodka, To pewnie jej dziecko, potem cichy głos kobiety nucący kołysankę, To pewnie ona, a następnie męski głos z drugiego końca mieszkania, Kiedy to dziecko wreszcie zaśnie, panu José serce zamarło ze strachu, co będzie, jeśli mężczyzna otworzy drzwi, wyjdzie i spyta, Kim pan jest i czego pan tu szuka, Co robić, zastanawiał się biedny pan José, nic jednak nie zrobił i nadal stał jak wryty, miał szczęście, że ojciec dziecka nie hołduje dawnym zwyczajom, zgodnie z którymi mężczyźni po kolacji chadzali do baru, żeby pogadać z kolegami. Kiedy znów rozległ się płacz dziecka, pan José zaczął ostrożnie schodzić, a że nie zapalił światła, lewą dłonią dotykał ściany, żeby nie upaść na ostrych zakrętach schodów i w pewnej chwili ogarnęło go przerażenie na myśl, że gdyby w tej samej chwili ktoś inny równie cicho wchodził po schodach, dotykając ściany prawą ręką, to niechybnie by się zderzyli, co byłoby znacznie gorsze niż stanie na drabinie z głową w pajęczynach, zwłaszcza, że mógł to być ktoś z Archiwum Głównego śledzący go z zamiarem przyłapania *in flagranti* w celu zdobycia niepodważalnego dowodu obciążającego w toczącym się zapewne postępowaniu dyscyplinarnym. Kiedy wreszcie wyszedł na ulicę, nogi się pod nim uginały, a czoło miał złane potem, Jestem kłębkim nerwów, mruknął z dezaprobatą i ogarnęło go dziwne uczucie, jakby stracił kontrolę nad mózgiem, jakby czas nagle się skurczył, jakby przeszłość stopiła się z terażniejszością i pomyślał bezsensownie, że wszystko dzieje się trzydzieści sześć lat wcześniej, że płaczące dziecko to właśnie nieznajoma kobieta, a on sam jest czternastoletnim chłopcem, który nie ma żadnego powodu, żeby kogokolwiek szukać, w dodatku o tak późnej porze. Stał na ulicy i rozglądał się, jakby nigdy tu nie był, przed trzydziestu sześciu laty światło ulicznych latarni było słabsze, jezdnia nie była pokryta asfaltem, lecz brukiem, na rogu nie było baru szybkiej obsługi tylko sklep z butami. Po chwili czas ruszył z miejsca, najpierw powoli, potem coraz prędzej, gwałtownymi skokami, niczym pisklę usiłujące wydostać się z jajka. Miniony czas, chcąc nadrobić opóźnienie, zastosował tabliczkę mnożenia przy odliczaniu dni, co okazało się tak skuteczne, że w chwili powrotu do domu

pan José miał znowu pięćdziesiąt lat. Jeśli zaś idzie o płaczliwe dziecko, to było ono tylko o godzinę starsze, co niezbitnie dowodzi, że wbrew zegarom czas nie biegnie jednakowo dla wszystkich.

Ta noc, podobnie jak poprzednie, była dla pana José bardzo ciężka. Mimo niezwykle silnych emocji związanych z nocną wyprawą, ledwie naciągnął na ucho brzeg prześcieradła, jak to miał w zwyczaju, natychmiast zapadł w sen, na pozór głęboki i krzepiący, z którego jednak zniecka się obudził, jakby ktoś bezceremonialnie szarpnął go za ramię. Obudziła go niespodziewana myśl, która pojawiła się tak nagle, że nie zdążyła stać się załącznikiem jakichś sennych marzeń, pomyślał mianowicie, że może to właśnie nieznajoma kobieta, ta z karty, jest matką płaczącego dziecka i żoną niecierpliwego mężczyzny, co oznaczałoby idiotyczny koniec ledwie rozpoczętych poszukiwań. Nagła trwoga ścisnęła go za gardło, choć rozsądek radził, aby podszedł do tego obojętnie i powiedział sobie, Tym lepiej, kłopot z głowy, lecz trwoga nie dawała za wygraną, coraz mocniej ścisnęła i pytała rozumu, Co on ma robić, skoro nie może zrealizować tych planów, To, co zawsze, wycinać z gazet wiadomości, zdjęcia, wywiady, jakby nic się nie stało, Biedulek, chyba już nie potrafi, Niby dlaczego, Bo trwoga, kiedy się pojawia, tak łatwo nie odchodzi, Może wziąć inną kartę i poszukać innej osoby, Ale to nie był jego wybór, to przypadek wskazał mu tę kobietę, W kartotece pełno jest nieznajomych kobiet, Ale skąd ma wiedzieć, którą wybrać, tę czy inną, Uważam, że przypadek nie powinien rządzić ludzkim życiem, Tak czy siak, to właśnie przypadek sprawił, że wpadła mu w rękę karta tej, a nie innej kobiety, A jeśli nieznajoma kobieta jest matką płaczącego dziecka, No cóż, to znaczy, że taki jest ten przypadek, Bez dalszych konsekwencji, Nie nam rozprawiać o konsekwencjach, gdyż z długiego szeregu konsekwencji, jakie nas czekają, dostrzegamy tylko pierwszą, To znaczy, że jeszcze coś może się zdarzyć, Nie coś, ale wszystko, Nie rozumiem, Jesteśmy ciągle czymś zaaferowani, dlatego nie widzimy, że to, co się stało, nie ma związku z tym, co się stanie, To znaczy, że to, co może się stać, bez przerwy się odnawia, Nie tylko się odnawia, ale i z wielokrotnością, wystarczy porównać dwa kolejne dni, Nigdy mi to nie przyszło do głowy, Tylko pod wpływem trwogi zaczyna się rozumieć takie sprawy.

Przez te rozmyślenia pan José przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć, Jeśli to ta sama kobieta, powtarzał, jeśli okaże się, że to ona, podrę tę przeklętą kartę i zapomnę o całej sprawie. Wiedział jednak doskonale, że te słowa były tylko próbą

złagodzenia rozczarowania, wiedział też, że nie zniosłby powrotu do dawnych myśli i gestów, to tak jakby się wybierał w podróż na nieznaną wyspę i w chwili gdy postawił nogę na trapie, nagle pojawiłby się ktoś z rozłożoną mapą i powiedział, Nie warto tam płynąć, wyspa, którą chciałeś odkryć, leży na takiej a takiej szerokości i długości, są tam miasta i porty, góry i rzeki o historycznych nazwach, zrezygnuj z tego, zostań tym, kim jesteś. Lecz pan José nie chciał rezygnować i uparcie wpatrywał się w daleki horyzont, wtedy nagle, jakby zza ciemnej chmury zniecała rozblysło słońce, zrozumiał, że myśl, która go obudziła, jest bezsensowna, przecież na karcie nieznanym były wpisy dotyczące małżeństwa i rozwodu, a matka płaczącego dziecka była mężatką, a zatem gdyby chodziło o tę samą osobę, w karcie powinien być wpis dotyczący powtórnego zamążpójścia, chociaż, jak wiadomo, w Archiwum zdarzają się pomyłki, ale wolał o tym nie myśleć.

\*

Pan José poprosił o pozwolenie na wyjście z pracy o godzinę wcześniej, podając jako powód sytuację wyższej konieczności spowodowaną względami osobistymi, których wszakże wolał nie ujawniać, wspominał przy tym, że czyni to po raz pierwszy po dwudziestu pięciu latach gorliwej i nienaganej pracy. Zgodnie z obowiązującą w Archiwum Głównym Akt Stanu Cywilnego skomplikowaną hierarchią służbową zwrócił się z tym do siedzącego najbliżej referenta, od którego humoru zależał sposób przedstawienia prośby odpowiedniemu kierownikowi, który z kolei też w jakimś stopniu mógł wpłynąć na decyzję szefa, dodając lub pomijając jakieś słowo, akcentując lub nie pewne sylaby. Wydaje się to jednak raczej wątpliwe, gdyż racje, jakimi kieruje się szef, akceptując coś lub nie, znane są tylko jemu, jako że nigdy, ani w formie ustnej, ani pisemnej nie uzasadnia swoich decyzji. Dlatego też na zawsze pozostanie tajemnicą, dlaczego pozwolił panu José wyjść tylko pół godziny wcześniej. Można się tylko domyślać, choć to czyste spekulacje, że referent lub kierownik albo jeden i drugi dorzucili od siebie, że godzinna nieobecność odbije się negatywnie na pracy Archiwum, lub też, co bardziej prawdopodobne, szef skorzystał z okazji, żeby kolejny raz pognać podwładnych, demonstrując swoją nieograniczoną władzę. Kiedy pan José dowiedział się o tej decyzji, przekazanej mu przez referenta, którego z kolei poinformował kierownik,

wyliczył sobie, że jeśli nie chce dotrzeć na miejsce zbyt późno, co groziło spotkaniem z panem domu, który powinien niebawem wrócić z pracy, musi wziąć taksówkę, co było dla niego niesłychanym luksusem. Wprawdzie nie był z nikim umówiony i było całkiem prawdopodobne, że o tej porze nikogo nie zastanie w domu, wolał jednak nie narażać się na kłopotliwe wyjaśnienia, jakich musiałby udzielić niecierpliwemu i podejrzliwemu mężczyźnie, uważał, że łatwiej będzie zdobyć jakieś informacje od kobiety z dzieckiem na ręku.

Mężczyzna nie pojawił się w drzwiach, z mieszkania nie dochodził też jego głos, co znaczyło, że nie wrócił jeszcze z pracy, może został po godzinach, a może był w drodze do domu, natomiast kobieta nie miała dziecka na rękach. Pan José od razu stwierdził, że stojąca przed nim kobieta, nieważne mężatka czy rozwódka, nie jest tą, której szukał. Choćby nie wiem jak dobrze się trzymała, choćby czas okazał się dla niej niesłychanie łaskawy, niemożliwe, żeby mając trzydzieści sześć lat, wyglądała na mniej niż dwadzieścia pięć. Pan José mógł odwrócić się na pięcie, rzucić jakieś usprawiedliwienie, na przykład powiedzieć, Przepraszam, to pomyłka, szukam kogoś innego, jednakże początek nici Ariadny, żeby użyć mitologicznego określenia używanego w Archiwum, był właśnie tutaj, zwłaszcza, że mogły tu jeszcze mieszkać inne osoby, łącznie z tą, której szukał, choć jak wiemy, zdecydowanie odrzucał tę możliwość. Wyjął więc z kieszeni kartę i powiedział, Dzień dobry, Dzień dobry, czego pan sobie życzy, spytała kobieta, Jestem urzędnikiem Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego i dostałem polecenie wyjaśnienia pewnych wątpliwości w aktach osoby, która urodziła się w tym mieszkaniu, Ani ja, ani mąż nie urodziliśmy się tutaj, jedynie nasza trzymiesięczna córeczka, ale przypuszczam, że nie o nią chodzi, Oczywiście, że nie, kobieta, o którą chodzi, ma trzydzieści sześć lat, Ja mam dwadzieścia siedem, A więc to nie pani, powiedział pan José i zapytał, Jak się pani nazywa. Gdy kobieta odpowiedziała, poczekał chwilę, uśmiechnął się i spytał, Od jak dawna pani tu mieszka, Od dwóch lat, Znała pani poprzednich lokatorów, po tym pytaniu odczytał z karty nazwiska nieznanegoj kobiety i jej rodziców, Nic o nich nie wiemy, mieszkanie było wolne, mąż je wynajął przez pośrednika, Czy w domu pozostał ktoś z dawnych lokatorów, Na parterze, po prawej stronie, mieszka bardzo leciwa pani, podobno jest najstarszą lokatorką, Trzydzieści sześć lat temu może jeszcze tu nie mieszkała, ludzie teraz często zmieniają mieszkania, Tego nie potrafię panu powiedzieć, najlepiej niech pan sam ją zapyta, przepraszam, ale mąż zaraz wróci, on nie lubi, jak



rozmawiam z nieznanymi, poza tym właśnie szykuję kolację, Jestem urzędnikiem Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, więc nie jestem nieznanym, przyszedłem tu służbowo, przepraszam, jeśli sprawiłem kłopot. Uprzejmy ton pana José uspokoił kobietę, Żaden kłopot, ale gdyby mąż tu był, poprosiłby pana natychmiast o urzędowe referencje, Proszę bardzo, oto moja legitymacja służbowa, Dziękuję, a więc pan nazywa się José, ale miałam na myśli coś innego, dokument upoważniający pana do prowadzenia określonego dochodzenia, Kustosz nie sądził, że ktoś mógłby mieć wątpliwości, Ludzie bywają różni, a jeśli chodzi o sąsiadkę z parteru, to nikomu nie otwiera drzwi, ja jestem inna, lubię rozmawiać z ludźmi, Dziękuję pani za uprzejme przyjęcie, Żałuję, że nie mogę panu w niczym pomóc, Wręcz przeciwnie, bardzo mi pani pomogła, mówiąc o sąsiadce z parteru i urzędowych referencjach, Bardzo mnie to cieszy. Wyglądało na to, że rozmowa potrwa jeszcze trochę, ale nagle ciszę panującą w mieszkaniu zakłócił płacz dziecka, To pani synek, powiedział pan José, Córeczka, przecież już panu mówiłam, poprawiła go z uśmiechem kobieta, na co pan José też się uśmiechnął. W tej chwili trzasnęły drzwi wejściowe i na schodach zapaliło się światło. To mój mąż, szepnęła kobieta, poznaję go po krokach, proszę odejść i udawać, że wcale pan ze mną nie rozmawiał. Pan José nie zszedł na dół. Na palcach, bezszelestnie wbiegł na wyższy podest, oparł się o ścianę i z bijącym sercem, jakby spotkała go niebezpieczna przygoda, nasłuchiwał odgłosu szybkich, coraz bliższych i głośniejszych kroków młodego mężczyzny. Rozległ się dzwonek, odgłos otwieranych drzwi, płacz dziecka, po czym klatka schodowa pograżyła się w głębokiej ciszy. Po chwili zgasło światło. Pan José uświadomił sobie wówczas, że prawie cała rozmowa z kobietą odbywała się pod osłoną mroku, jak gdyby mieli coś do ukrycia, właśnie to wyrażenie przyszło mu do głowy, pod osłoną, ale osłona kogo, czego, przed czym, zastanawiał się, faktem jednak było, że światło zgasło na samym początku rozmowy i kobieta nie zapaliła go ponownie. Zaczął schodzić po schodach, najpierw ostrożnie, potem coraz prędzej, zatrzymał się jedynie na chwilę pod drzwiami na parterze, skąd dochodziły jakby dźwięki radia, nie zadzwonił jednak do drzwi, postanowił odłożyć dalsze dochodzenie na koniec tygodnia, na sobotę lub niedzielę, ale tym razem nikt już nie ośmielił się kwestionować wiarygodności i oficjalnego charakteru wizyty, jako że będzie wyposażony w odpowiednie referencje. Oczywiście dokument będzie fałszywy, ale dzięki prawdziwym pieczęciom oszczędzi mu zbędnych wyjaśnień przed wyłuszczeniem sedna sprawy. Z podpisem szefa nie będzie żadnych problemów, gdyż

staruszka z pewnością nigdy nie widziała podpisu kustosza, którego fantazyjne zawijasy nie powinny być trudne do podrobienia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w co nie wątpił, będzie mógł wykorzystywać ten dokument, ilekroć pojawią się jakieś trudności w dalszych poszukiwaniach, był bowiem pewien, że sprawa nie skończy się na rozmowie z lokatorką z parteru. Gdyby nawet była dawną sąsiadką rodziców nieznanym kobiecie, to wcale nie znaczy, że się ze sobą przyjaźnili. Być może informacje staruszki ograniczą się do mglistych wspomnień, nie wiadomo przecież, jak dawno lokatorzy z drugiego piętra przenieśli się do innego mieszkania. A może do innego kraju, a nawet świata, pomyślał z niepokojem, już po wyjściu na ulicę. Sławnym ludziom z jego kolekcji, gdziekolwiek są, zawsze depczą po piętach dziennikarze w pogoni za kolejną wypowiedzią czy zdjęciem, ale zwykli ludzie nikogo nie obchodzą, nikt się nie martwi tym, co robią, myślą, czują, a jeśli nawet czasem ktoś twierdzi, że jest inaczej, to tylko udaje. Gdyby nieznajoma wyjechała za granicę, byłaby poza jego zasięgiem, zupełnie jakby umarła, Koniec kropka, po wszystkim, szepnął pan José, ale po chwili skonstatował, że niezupełnie, gdyż przecież zostawiłaby tu część swojego życia, choćby niewielką, może jakieś cztery czy pięć lat, ale równie dobrze piętnaście lub dwadzieścia, w ciągu których były jakieś spotkania, oczarowania i rozczarowania, uśmiechy i łzy, a więc na pierwszy rzut oka życie jak każde inne, choć prawdę mówiąc, każde życie jest inne. Posunę się najdalej, jak będzie można, stwierdził pan José z niezwykłym dla siebie spokojem. W wyniku tej konkluzji wszedł do sklepu papierniczego i kupił gruby zeszyt w linie, taki, jakiego uczniowie używają do szkolnych notatek z różnych przedmiotów, łudzac się, że w ten sposób czegoś się uczą.

Podrobienie referencji nie zajęło mu wiele czasu. W ciągu dwudziestu pięciu lat kaligrafowania pod baczным okiem gorliwych referentów i wymagających kierowników tak wyćwiczył sobie palce, przegub i nadgarstek, że jednym zdecydowanym ruchem ręki kreślił linie proste i krzywe, prawie instynktownie pogrubiając lub pocieniając je w stosownych miejscach, miał też perfekcyjne wyczucie gęstości i lepkości atramentu, toteż dokument, który spreparował, mógłby być bez obaw poddany oględzinom nawet pod lupą. Dowodem obciążającym mogły być jedynie odciski palców i niewidoczne ślady potu, lecz prawdopodobieństwo takich badań było znikome. Najlepszy grafolog z pewnością zeznałby pod przysięgą, że dokument wyszedł spod ręki kustosza i że jest tak autentyczny, jakby został napisany w obecności wiarygodnych świadków. Również psycholog przychyliłby się do opinii uczonego kolegi, gdyż treść, styl i słownictwo

wskazywały niezbitcie, że autor listu jest osobą władczą, twardą, niezłomną, pewną siebie i swoich racji, lekceważącą opinie innych, co nawet dziecko by stwierdziło na podstawie tekstu, który brzmi następująco, Na mocy powierzonej mi pod przysięgą władzy, którą piastuję, sprawuję i reprezentuję jako kustosz Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, podaję do wiadomości wszystkim osobom cywilnym i wojskowym, prywatnym i publicznym, którym zostanie okazany niniejszy dokument, sporządzony i podpisany moją ręką, że jego okaziciel, pan iksiński, kancelista w Archiwum Głównym Akt Dawnych, którym kieruję, zarządzam i administruję, bezpośrednio ode mnie otrzymał polecenie zbadania i sprawdzenia wszystkiego, co się tyczy przeszłości, terażniejszości i przyszłości pani igrek, urodzonej w tymże mieście, dnia takiego a takiego, z matki iksińskiej i ojca igrekowskiego, a zatem niniejszy list należy uznać za wystarczający dowód nieograniczonych uprawnień przekazanych mu w zakresie objętym powyższym dochodzeniem na czas jego trwania. W imię dobra służby państwowej i zgodnie z moją wolą. Wykonać. Gdyby wspomniane wyżej przykładowe dziecko przeczytało ten niezwykły dokument, skryłoby się pewnie w fałdach matczynej spódnicy i zapytało, jak to możliwe, że ktoś tak spokojny z natury i tak miły w obejściu jak pan José, nie mając żadnego wzoru do naśladowania, jako że do tej pory w Archiwum Głównym nikt nigdy nie pisał urzędowych referencji, potrafił wymyślić, wykoncypować, ułożyć sobie w głowie dokument będący świadectwem władzy, delikatnie mówiąc, skrajnie despotycznej. Owo przestraszone dziecko będzie musiało zjeść jeszcze dużo soli, nim pozna życie i zrozumie, że gdy nadarzy się sposobność, nawet dobrzy ludzie stają się oschli i bezwzględni, choćby przy okazji pisania referencji, nieważne fałszywych czy nie. Być może ci ludzie tłumaczą się, mówiąc, To nie mój list, ja tylko pisałem w imieniu kogoś innego, ale prawdę mówiąc, sami siebie oszukują, gdyż oschłość, bezwzględność, a może nawet i okrucieństwo, mniej lub bardziej ukryte, tkwią w nich samych, nie w kimś innym. Sądząc jednak po efektach dotychczasowych działań pana José, jest raczej mało prawdopodobne, aby mógł wyrządzić jakieś większe szkody ludzkości, dlatego też powstrzymajmy się od pochopnych sądów, póki inne czyny, tak dobre jak i złe, nie określą wyraźniej jego wizerunku. W sobotę pan José ubrał się w najlepszy garnitur, włożył czystą, wyprasowaną koszulę oraz krawat nieźle pasujący do całości, do wewnętrznej kieszeni marynarki schował firmową kopertę zawierającą referencje, po czym wsiadł przed domem do taksówki, nie dlatego, żeby zyskać na czasie, gdyż miał

wolny dzień, ale w obawie przed wiszącym w powietrzu deszczem, nie chciał bowiem pojawić się u starszej pani z parteru przemoczony do suchej nitki i narazić się na to, że zatrzaśnie mu przed nosem drzwi, nim zdąży cokolwiek powiedzieć. Był podniecony, zastanawiał się, jak stara go przyjmie, zupełnie bezwiednie tak właśnie o niej pomyślał, jak zareaguje na ostry, nakazujący ton urzędowego pisma, gdyż niektóre osoby reagują odwrotnie niż powinny, oby tylko tym razem tak nie było. Może użył zbyt ostrych i kategorycznych sformułowań, ale wiarygodność wymagała dostosowania stylu do osobowości kustosza, podobnie zresztą rzecz się miała z charakterem pisma, poza tym powszechnie wiadomo, że muchy łapie się na lep, choć z drugiej strony niektórych nie da się złapać nawet na miód. Zobaczymy, westchnął pan José. Zanim uchylila drzwi, musiał odpowiedzieć na szereg dociekliwych pytań, Kim pan jest, Czego pan chce, Kto pana przysłał, Co ja mam z tym wspólnego, wkrótce okazało się, że pani z parteru nie jest tak stara, jak sądził, nie było nic starczego ani w jej bystrych oczach, ani w prostym nosie, ani w wąskich, lecz kształtnych ustach, które nawet nie miały opuszczonych kącików, jej podeszły wiek zdradzała jedynie zwiotczała szyja, co pan José zauważył pewnie dlatego, że u siebie też dostrzegł tę niewątpliwą oznakę fizycznej degradacji, choć miał dopiero pięćdziesiąt lat. Przez uchylone drzwi kobieta powtarzała w kółko, że jej nie obchodzą sprawy sąsiadów, co miało o tyle sens, że pan José zaczął rozmowę niefortunnym pytaniem o sąsiadów z drugiego piętra. Dopiero gdy wreszcie wymienił nazwisko nieznanego, nieporozumienie wyjaśniło się i drzwi na chwilę szerzej się otwarły, Czy zna ją pani, spytał pan José, Tak, znałam ją, odparła kobieta, Chciałbym pani zadać parę pytań na jej temat, Ale kim pan jest, Jestem tu służbowo, jak już mówiłem, pracuję w Archiwum Głównym Akt Stanu Cywilnego, Skąd mam wiedzieć, że to prawda, Mam urzędowe referencje od samego kustosza, Nikt nie ma prawa mnie nachodzić w moim własnym domu, W takich przypadkach każdy jest zobowiązany współpracować z Archiwum Głównym, Niby w jakich przypadkach, Gdy trzeba wyjaśnić wątpliwości w aktach stanu cywilnego, Czemu pan jej samej nie zapyta, Nie znamy jej aktualnego adresu, jeśli pani zna, proszę mi podać i nie będę pani więcej niepokoić, Już chyba od trzydziestu lat nie mam o niej żadnych wiadomości, Czyli od czasu jej dzieciństwa, Tak. Wyglądało na to, że kobieta uznała rozmowę za skończoną, lecz pan José nie dał za wygraną i stawiając wszystko na jedną kartę, wyjął z kieszeni kopertę, otworzył ją i powoli, z groźną miną, wyjął list, Proszę czytać, rozkazał. Kobieta potrząsnęła głową, Nic

mnie to nie obchodzi, nie przeczytam, Tym gorzej dla pani, bo wrócę tu z policją. Kobieta z rezygnacją wzięła kartkę, zapaliła w przedpokoju światło, włożyła okulary zawieszane na szyi i przeczytała, po czym zwróciła list i usunęła się, żeby go wpuścić, Lepiej wejdźmy do środka, ci z przeciwka pewnie stoją za drzwiami i podsłuchują. Forma my użyta przez kobietę zabrzmiała tak pojednawczo, że pan José stwierdził, iż wygrał potyczkę. W pewnym sensie było to pierwsze prawdziwe zwycięstwo w jego życiu, co prawda oparte na oszustwie, ale skoro tylu ludzi twierdzi, że cel uświęca środki, to niby dlaczego on miałby być odmiennego zdania. Wszedł bez zbytniego puszenia się, jak zwycięzca, któremu szlachetność nie pozwala poniżać pokonanego, lecz oczekuje, że jego wielkoduszność zostanie doceniona.

Kobieta wprowadziła go do zadbanego, lśniącego czystością, staromodnie urządzonego saloniku. Wskazała mu krzesło, sama też usiadła i nim zdążył otworzyć usta, powiedziała, Jestem jej matką chrzestną. Czegóż takiego pan José się nie spodziewał. Z wielkim trudem powstrzymał uśmiech radości, musiał bowiem wystrzegać się jakichkolwiek reakcji osobistych, aby rozmówczyni była całkowicie przekonana, że ma przed sobą urzędnika wykonującego polecenie zwierzchników. Wyjął z kieszeni kopię karty i wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby ucząc się na pamięć wszystkich wypisanych tam nazwisk, po czym powiedział, A pani mąż jest ojcem chrzestnym, Tak, Czy mogę z nim porozmawiać, Jestem wdową, Ach tak, w cichych słowach pana José było tyleż nieszczerego żalu co szczerzej ulgi, gdyż dzięki temu ubyła jedna osoba, której musiałby stawić czoło. Kobieta powiedziała, Byliśmy w dobrych stosunkach, mam na myśli nasze rodziny, przyjaźniliśmy się i kiedy urodziła się dziewczynka, zostaliśmy jej rodzicami chrzestnymi, Ile lat miała, kiedy się wyprowadzili, Chyba osiem, Przed chwilą powiedziała pani, że od jakichś trzydziestu lat nie ma pani z nią kontaktu, Zgadza się, Co pani miała na myśli, Wkrótce po przeprowadzce dostałam list, Od kogo, Od niej, Co pisała, Nic specjalnego, to był zwykły liścik ośmioletniej dziewczynki do matki chrzestnej, Zachowała go pani, Nie, A jej rodzice nigdy nie pisali, Nie, Dlaczego, To prywatne sprawy, nie muszę ich ujawniać, Dla Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego nie istnieją prywatne sprawy. Kobieta popatrzyła na niego uważnie, Kim pan właściwie jest, Przed chwilą przeczytała pani dokument, który to wyjaśnia, Dowiedziałam się z niego tylko tyle, że nazywa się pan José, Tak, jestem pan José, Pan może mi zadawać dowolne pytania, a ja nie mogę pana o nic pytać, Prawo wypytywania mnie ma jedynie

wyższy rangą urzędnik Archiwum Głównego, Szczęściarz z pana, nie musi pan odsłaniać swoich tajemnic, Nie sędzę, żeby to był powód do szczęścia, Czy jest pan szczęśliwy, To nie ma nic do rzeczy, jak już powiedziałem, tylko przełożeni mają prawo zadawać mi pytania, Ma pan jakieś tajemnice, Nie odpowiem pani, Ale ja będę musiała odpowiedzieć, Tak będzie lepiej, Co by pan chciał wiedzieć, Co to za prywatne sprawy. Kobieta przesunęła ręką po czole, powoli przymknęła pomarszczone powieki i powiedziała, nie otwierając oczu, Matka dziewczynki podejrzewała, że utrzymywałam intymne stosunki z jej mężem, Naprawdę tak było, Tak, od dawna, To dlatego się wyprowadzili, Tak. Kobieta otworzyła oczy i spytała, Podobają się panu moje tajemnice, Interesują mnie tylko o tyle, o ile mają związek z poszukiwaną przeze mnie osobą, zresztą tylko na to mam zezwolenie, Wobec tego nie chce się pan dowiedzieć, co było potem, Oficjalnie nie, Ale może prywatnie, Nie mam zwyczaju podglądać innych, powiedział pan José, zapominając o tych stu czterdziestu paru, których miał w szafie, i po chwili dorzucił, Ale pewnie nic szczególnego, skoro jest pani wdową, Ma pan dobrą pamięć, To podstawowa sprawa dla pracownika Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, dla przykładu powiem pani, że mój szef pamięta wszystkie imiona, jakie kiedykolwiek istniały, wszystkie imiona i wszystkie nazwiska, Co komu po tym, Mózg kustosza jest jakby repliką Archiwum, Nie rozumiem, Dzięki temu, że mózg mojego szefa nie tylko pamięta imiona wszystkich żywych i umarłych, ale także przewiduje wszystkie możliwe kombinacje imion i nazwisk, może również przewidzieć, jak będą się nazywać wszyscy, którzy urodzą się od dziś do końca świata, Ale pan wie więcej od szefa, Nic podobnego, w porównaniu z nim jestem nikim, dlatego on jest kustoszem, a ja tylko zwykłym kancelistą, Obydwaj wiecie, jak się nazywam, Zgadza się, Ale poza tym on nic więcej o mnie nie wie, Ma pani rację, ale on wcześniej to wiedział, a ja dopiero od chwili powierzenia mi tego zadania, Ale w jednej chwili pan go wyprzedził, jest pan w moim domu, wie pan, jak wyglądałam i że zdradziłam męża, jest pan jedyną osobą, której o tym powiedziałam w ciągu tych wszystkich lat, co więcej trzeba, żeby pana przekonać, że szef nie dorasta panu do pięt, Proszę tak nie mówić, to nie wypada, Chciałby mnie pan jeszcze o coś spytać, Na przykład o co, Czy moje małżeństwo było szczęśliwe po tym, co zaszło, To nie ma związku z prowadzoną przeze mnie sprawą, Wręcz przeciwnie, skoro pański szef ma w głowie wszystkie imiona, to sprawa jednej osoby jest sprawą wszystkich, Dużo pani wie, To zrozumiałe, długo żyję, Ja mam pięćdziesiąt lat i w porównaniu z panią nic

nie wiem, Nawet pan sobie nie wyobraża, jak wiele człowiek się uczy między pięćdziesiątką a siedemdziesiątką, Tyle lat pani ma, Trochę więcej, Czy była pani szczęśliwa po tym, co zaszło, A jednak ciekawi to pana, Mało wiem o życiu innych, Podobnie jak pański szef i całe wasze Archiwum, Chyba tak, Mąż mi wybaczył, Wybaczył, Tak, to się często zdarza, wybacza bliźniemu jak sobie samemu, jak to mówią, Mówi się inaczej, kochaj bliźniego jak siebie samego, Na jedno wychodzi, bo wybacza się wtedy, kiedy się kocha, a kiedy się kocha, to się wybacza, dziecko z pana, musi się pan jeszcze dużo nauczyć, Na to wygląda, Jest pan żonaty, Nie, Nigdy nie był pan związany z żadną kobietą, Nie, tak naprawdę nigdy z nikim nie byłem związany, Miewał pan przelotne znajomości, Też nie, mieszkam sam i jeśli potrzeba mnie przyciśnie, robię to, co wszyscy, to znaczy płacę. Zaczął pan odpowiadać na moje pytania, Tak, ale teraz jest mi to obojętne, może właśnie poprzez odpowiedzi człowiek się uczy, Coś panu powiem, Słucham, Czy wie pan, z ilu osób składa się małżeństwo, Z dwóch, kobiety i mężczyzny, Nie, proszę pana, z trzech, z mężczyzny, kobiety oraz czegoś, co nazywam trzecią osobą, która jest najważniejsza i którą tworzą razem mężczyzna i kobieta, Nigdy mi to nie przyszło do głowy, Jeśli któreś z małżonków popełni cudzołóstwo, to osobą najbardziej poszkodowaną, choć trudno w to uwierzyć, nie jest współmałżonek, ale ta trzecia osoba, to znaczy stadło, a więc cierpi nie jedna osoba, lecz dwie. Najczęściej w małżeństwie jest tak, że jedno z małżonków lub też każde z nich z osobna stara się zniszczyć to trzecie, które wspólnie tworzą, lecz to się broni, chce przetrwać za wszelką cenę, Ta arytmetyka jest dla mnie zbyt skomplikowana, Niech pan się ożeni, to się pan przekona, Już na to za późno, Niech się pan nie zarzeka, kto wie, co pana jeszcze spotka przed zakończeniem tej, jak pan to nazywa, misji, Mam wyjaśnić wątpliwości Archiwum, nie moje własne, A cóż to za wątpliwości, jeśli wolno spytać, Jestem związany tajemnicą służbową, więc nie mogę pani powiedzieć, Co panu po tej tajemnicy, skoro wyjdzie pan stąd tak samo mądry jak przedtem, Ma pani rację, powiedział z rezygnacją pan José.

Kobieta popatrzyła na niego badawczo i spytała, Od kiedy prowadzi pan to dochodzenie, Prawdę mówiąc od dziś, ale kustosz będzie zły, jak wrócę z pustymi rękami, jest bardzo niecierpliwy, To byłoby niesprawiedliwe wobec kogoś, kto pracuje nawet w sobotę, Nie mam nic do roboty, więc chcę po prostu popchnąć sprawę, Ale niewiele ją pan popchnął, Muszę się zastanowić, Może szef panu coś poradzi, od tego jest, Nie zna go pani, nie znosi żadnych pytań, wydaje rozkazy i koniec, To co dalej, Już powiedziałem,

muszę się zastanowić, No to niech pan się zastanawia, Czy pani naprawdę nie wie, dokąd się przeprowadzili, na liście, o którym pani wspomniała, powinien być adres nadawcy, Owszem, ale nie mam już tego listu, Nie odpisała pani, Nie, Dlaczego, Wolałam raz na zawsze z nimi zerwać, Znalazłem się w ślepym zaułku, Może niezupełnie, Co pani chce przez to powiedzieć, Proszę mi dać kawałek papieru i coś do pisania. Drżącą ręką pan José podał jej ołówek, Może pani napisać na odwrocie karty, to tylko kopia. Kobieta włożyła okulary i szybko napisała parę słów, Proszę, to nie jest ich adres, jedynie nazwa ulicy, gdzie znajdowała się szkoła, do której chodziła moja chrzestna córka po przeprowadzce, może tam się pan czegoś dowie, jeżeli ta szkoła jeszcze istnieje. Pan José przyjął tę informację z mieszanymi uczuciami, prywatnie był wdzięczny, lecz oficjalnie rozdrażniony, że otrzymał ją tak późno. Wdzięczność wyraził jednym słowem, Dziękuję, po czym, choć powściągliwie, wyraził swoje niezadowolenie, Nie rozumiem, czemu pani tak długo zwlekała z podaniem adresu szkoły, w dodatku wiedząc, że każda, choćby najdrobniejsza informacja, ma dla mnie istotne znaczenie, Niech pan nie przesadza, Mimo wszystko jestem pani bardzo wdzięczny, zarówno osobiście, jak i w imieniu Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, które reprezentuję, ale nalegam, żeby pani wytłumaczyła mi powody tej zwłoki, To bardzo proste, nie mam z kim rozmawiać. Pan José spojrział na kobietę, ona zaś patrzyła na niego, nie warto tracić słów na opisywanie wyrazu ich oczu, ważne jest jedynie to, że po chwili ciszy powiedział, Ja też. Wtedy kobieta wstała, otworzyła szufladę w szafie stojącej za jej krzesłem i wyjęła z niej coś, co wyglądało na album. Fotografie, pomyślał z przejęciem pan José. Kobieta otworzyła album, przerzuciła parę kartek i po chwili znalazła zdjęcie umocowane w czterech kartonowych narożnikach, Proszę, to dla pana, jedyne, jakie mi zostało, tylko niech pan nie pyta, czy mam również zdjęcie jej rodziców, Nie zapytam. Pan José wyciągnął drżącą rękę i wziął czarno-białe zdjęcie mizernej, ośmio- lub dziewięcioletniej dziewczynki, spod grzywki sięgającej brwi spoglądały na niego poważne oczy, usta zaś jakby chciały i nie mogły się uśmiechnąć. Pan José, który miał wrażliwe serce, poczuł, że łyżę cisną mu się do oczu. Nie wygląda pan na pracownika tego Archiwum, powiedziała kobieta, To wszystko, czym jestem, odpowiedział, Napije się pan kawy, Chętnie.

Niewiele mówili, popijając kawę i chrupiąc herbatniki, padło tylko parę słów na temat tego, jak ten czas szybko leci, Ani się człowiek obejrzy, dopiero co było rano, a już prawie wieczór, nawiasem mówiąc, istotnie zapadał wieczór, możliwe jednak, że



wymienili też parę uwag o życiu, zarówno ogólnikowych, jak i dotyczących życia każdego z nich, ale dokładnie nie wiadomo, pewnie najważniejsze nam umknęło, jako że nie przysłuchiwaliśmy się ich rozmowie dość uważnie. Kiedy wypili kawę, a rozmowa się urwała, pan José wstał i powiedział, Na mnie już czas, podziękował też za zdjęcie i adres szkoły, kobieta zaś powiedziała, Jeśli kiedyś będzie pan w pobliżu, po czym odprowadziła go do drzwi, on zaś wyciągnął do niej rękę, powtórzył, Bardzo dziękuję, i niczym dżentelmen starej daty ucałował jej dłoń, wtedy kobieta figlarnie się uśmiechnęła i rzekła, A może warto zajrzeć do książki telefonicznej.

\*

Pan José był tak zaszokowany, że po wyjściu na ulicę przez dłuższą chwilę stał jak wryty, nie czując, że moknie, padał bowiem drobny deszczyk, zacinający ze wszystkich stron, z góry, z boku i z ukosa, pod wszystkimi możliwymi kątami. A może warto zajrzeć do książki telefonicznej, każde słowo tej przewrotnej rady, rzuconej przez starą na pożegnanie, choć w istocie najzupełniej niewinnej, niezdolnej urazić nawet najdrażliwszej istoty, w uszach pana José brzmiało jak najgorsza obelga, jak świadectwo jego bezdennej głupoty, zrozumiał bowiem, że podczas rozmowy, od pewnej chwili tak milej, był obiektem chłodnej obserwacji ze strony kobiety, która w końcu doszła do wniosku, że niewydarzony urzędnik Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, szukający dawnych, zatartych śladów, nie jest w stanie dostrzec rzeczy oczywistych, które ma pod ręką. Pan José nie wziął kapelusza ani parasola, toteż twarz siekł mu wodny pył, wirujący beładnie niczym kłębiące się w jego głowie przykre myśli, które, jak po chwili zauważył, stopniowo skupiały się wokół jakiegoś niejasnego, lecz powoli nabierającego wyrazistości punktu. Istotnie nie wpadł na to, że najprostszym sposobem znalezienia czyjegoś adresu jest książka telefoniczna. Gdyby od tego zaczął, jak należało, to w jednej chwili znalazłby jej adres i pod pozorem uzupełnienia danych w kartotece mógłby umówić się z nią poza Archiwum, mówiąc na przykład, że w ten sposób oszczędzi jej opłat skarbowych i podczas tego spotkania lub parę dni później, kiedy już pozyskałby jej zaufanie, mógłby się zebrać na odwagę i poprosić, Niech mi pani opowie o swoim życiu. Jednakowoż nie zrobił tego i choć nie był biegły w psychologii i obce mu były tajniki

świadomości, zaczynał powoli rozumieć dlaczego. Wyobraźmy sobie myśliwego, tłumaczył sam sobie, który całą duszę włożył w przygotowanie ekwipunku, strzelby, ładownicy, chlebaka, menażki, torby na zwierzynę, butów z cholewami, wyobraźmy sobie, że taki myśliwy ochoczo wyrusza z psami, ciesząc się na długą wyprawę, jak to zwykle bywa na polowaniach z chartami, a tu nagle, za pierwszym rogiem, dwa kroki od domu, pojawia się stado gotowych na śmierć kuropatw, które wprawdzie podrywają się, lecz nie odlatują mimo dziesiątkujących je strzałów, ku uciesze i zaskoczeniu psów, które nigdy jeszcze nie widziały takiej ilości manny spadającej z nieba. Jaką przyjemność miałby myśliwy z polowania, podczas którego kuropatwy po prostu same pchają się na muszkę, spytał pan José i słusznie odpowiedział, Żadną. Tak samo jest ze mną, chyba podobnie jak u innych ludzi istnieje w mojej głowie jakieś samoistne myślenie, zupełnie niezależne od tego, z którym jesteśmy oswojeni od urodzenia i dowolnie nim kierujemy, aby dojść tam, gdzie, jak nam się wydaje, świadomie zmierzamy, bo przecież mimo to czasem w końcu idziemy inną drogą, nie w stronę najbliższego rogu ulicy, za którym czeka nieświadome niczego stado kuropatw, my jednak w gruncie rzeczy jesteśmy świadomi tego, że prawdziwy sens znajdowania polega na szukaniu i że niekiedy trzeba przebyć długą drogę, by wreszcie odnaleźć to, co jest w zasięgu ręki. Ta klarowna myśl, nieważne świadoma czy nieświadoma, bo liczy się przecież efekt, tak poraziła pana José, że stanął jak wryty pośrodku chodnika, spowity mglistą aureolą mżawki i światła latarni, które dziwnym trafem właśnie rozbłysło. Poczul wyrzuty sumienia i głęboką skruchę z powodu niesprawiedliwej oceny pocziwej starszej pani z parteru, której przecież powinien być wdzięczny nie tylko za adres szkoły i zdjęcie, ale również za to, że podsunęła mu doskonale wyjaśnienie jego na pozór niezrozumiałego postępowania. A ponieważ zachęciła go do ponownej wizyty, mówiąc, Jeśli kiedyś będzie pan w pobliżu, co zabrzmiało tak jednoznacznie, że nie musiała kończyć zdania, postanowił, że w najbliższych dniach ją odwiedzi, nie tylko po to, by zdać jej sprawę ze stanu poszukiwań, ale również po to, żeby ją zaskoczyć wyjawieniem prawdziwego powodu, dla którego nie skorzystał z książki telefonicznej. Oczywiście przy okazji musiałby się przyznać, że sfalszował referencje, że prowadzi poszukiwania na własną rękę, nie z polecenia Archiwum, i w konsekwencji byłby zmuszony opowiedzieć całą resztę, czyli o kolekcji sławnych ludzi, o lęku wysokości, o pożółkłych papierach, pajęczynach, monotonii regałów żywych, o chaosie wśród umarłych, o zaduchu, kurzu, przygnębieniu, o karcie,

która nie wie, czemu, przyczepiła się do innej, Żeby o niej nie zapomnieć, żeby nie zapomnieć imienia dziewczynki ze zdjęcia, o którym nagle sobie przypomniał i gdyby nie siąpiąca mżawka, chętnie by na nie popatrzył. Gdyby miał opowiedzieć komuś o tym, jak wygląda wewnątrz Archiwum Główne, to tylko starszej pani z parteru. Czas pokaże, zawyrokował pan José. W tej właśnie chwili podjechał autobus pełen zmokniętych ludzi, młodych i starych, mężczyzn i kobiet, różniących się wyglądem i wiekiem, jedni jeszcze po tej, a inni już bardziej po tamtej stronie życia. Archiwum Główne Akt Stanu Cywilnego wszystkich ich zna, ich nazwiska, miejsca urodzenia, imiona rodziców, a także liczy i odlicza im dni żywota, ot, choćby na przykład ta kobieta siedząca z zamkniętymi oczami i głową opartą o szybę, pewnie ma jakieś trzydzieści pięć, góra trzydzieści sześć, pomyślał pan José i puścił wodze fantazji. A może to właśnie jest kobieta, której szukam, niemożliwe, ale właściwie czemu nie, przecież w życiu spotykamy głównie nieznaną osobę i nie ma na to rady, nie można przecież każdego zaczepiać i pytać, jak się nazywa, po czym wyjmować z kieszeni kartę i sprawdzać, czy to właśnie ten, o którego nam chodzi. Kobieta wysiadła na drugim przystanku i widocznie chciała przejść na drugą stronę, gdyż zatrzymała się na chodniku, czekając, aż autobus odjedzie, a że nie miała parasolki, pan José dokładnie widział jej twarz mimo zroszonej deszczem szyby. W pewnej chwili, jakby zniecierpliwiona długim czekaniem, uniosła głowę, ich spojrzenia spotkały się i mimo że autobus ruszył, nadal wpatrywali się w siebie, pan José odwrócił głowę, kobieta zaś stała nieruchomo, pewnie zadając sobie pytanie, Kto to może być, on zaś stwierdził, To ona.

Odległość między przystankiem, na którym wysiadł pan José a Archiwum Głównym Akt Stanu Cywilnego była niewielka, co było miłym gestem komunikacji miejskiej wobec interesantów. Mimo to pan José wrócił do domu kompletnie przemoczony. Szybko zdjął płaszcz, zmienił spodnie, skarpetki i buty, wytarł ręcznikiem ociekające wodą włosy, prowadząc jednocześnie wewnętrzny dialog, To była ona, Nie, nie ona, A może jednak, Niestety, A jeśli tak, Dowiesz się, kiedy odnajdziesz tę z karty, Gdyby jednak się okazało, że to ona, mógłbym jej powiedzieć, że już się znamy, że spotkaliśmy się w autobusie, Nie będzie pamiętać, Jeśli poszukiwania nie potrwać zbyt długo, na pewno sobie przypomni, Ale przecież nie chcesz zbyt szybko jej znaleźć, a może nawet wcale nie masz na to ochoty, gdyby ci naprawdę zależało, poszukałbyś w książce telefonicznej, zwykle od tego się zaczyna, Nie pomyślałem o tym, Przecież książka leży

tam, za ścianą, Nie mam ochoty tam iść, Boisz się ciemności, Wcale nie, znam te ciemności jak własną kieszeń, Ty chyba nie znasz nawet własnej kieszeni, Pozwól, że nadal będę tkwić w niewiedzy, ptaki też nie wiedzą, czemu śpiewają, Jesteś liryczny, Jestem smutny, Nic dziwnego, jak się ma takie życie, Pomyśl sam, może kobieta w autobusie była tą, której szukam, może nigdy więcej jej nie zobaczę, może los dał mi tylko tę jedną szansę, a ja ją zmarnowałem, Jest tylko jeden sposób, żeby to wyjaśnić, Jaki, Zrób to, co poradziła ci ta stara z parteru, Licz się ze słowami, Przecież jest stara, To pani w podeszłym wieku, Nie zgrywaj się, jest po prostu stara, dużo starsza od ciebie, Skończmy z tym, Jak sobie życzysz, Zajrzę do książki telefonicznej, Cały czas ci to kładę do głowy. Pan José wszedł do Archiwum w kapciach i pidżamie, na którą zarzucił koc. Czuł się nieswojo, jakby ten dziwny strój był przejawem braku szacunku dla powagi Archiwum i dla tego wiecznie zapalonego żółtawego światełka, rzucającego na biurko kustosa martwy blask gasnącego słońca. Książka telefoniczna, z której nie wolno było korzystać bez pozwolenia nawet w sprawach służbowych, leżała na brzegu biurka i wprawdzie pan José mógł sobie przy nim usiąść, co już przecież raz zrobił, w owej pełnej triumfalnego uniesienia chwili, jednak tym razem nie odważył się, być może z powodu niestosownego stroju lub też w obawie, że ktoś zaskoczy go w takim stanie, choć nie bardzo wiedział kto, bo po godzinach pracy nigdy nie było tam żywej duszy. Pomyślał, że lepiej wziąć książkę do domu, gdzie będzie czuł się pewniej niż w złowrogim cieniu niebotycznych regałów, które, jak mu się wydawało, mogły lada moment runąć spod mrocznego sufitu, zasnutego sieciami żarłocznych pajaków. Wzdrygnął się, jakby zakurzone i lepkie pajęczyny już leciały mu na głowę i mało brakowało, a nieopatrznie wzięłby książkę telefoniczną, nie sprawdzwszy, jak leży, w jakiej odległości od brzegów i ewentualnie pod jakim kątem, na wypadek gdyby w dziedzinie geometrii i topografii kustosz nie był zwolennikiem kątów prostych i linii równoległych. Kiedy wychodził z książką, miał pewność, że położy ją w tym samym miejscu, co do milimetra, dzięki czemu zastępcy nie będą musieli na polecenie szefa sprawdzać, kto, kiedy i dlaczego z niej korzystał. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że coś mu przeszkodzi w zabraniu książki, jakiś podejrzanym odgłos, jakiś szept lub nieoczekiwany błysk w głębi grobowych czeluści Archiwum, gdzie jednak panowała absolutna cisza, nie słychać było nawet korników wgrzających się w drewno.

Pan José, nadal z kocem na plecach, zasiadł przy własnym stole i otworzywszy

książkę telefoniczną, zaczął studiować najpierw wskazówki dla użytkownika, potem kody pocztowe i cennik, jakby właśnie po to ją wziął. Jednak po paru minutach zaczął nagle szybko przewracać strony, w tę i z powrotem, aż wreszcie odnalazł tę, na której powinno być nazwisko nieznajomej. Jeżeli mnie wzrok nie myli, ona tu nie figuruje. Faktycznie, nie ma jej. Powinna być po tym nazwisku, a nie ma. Powinna być przed tym nazwiskiem, i nie ma. A nie mówiłem, pomyślał pan José, mimo że nigdy nic takiego nie powiedział, po prostu w ten sposób wyrażał satysfakcję z faktu, że na przekór wszystkim miał rację, toteż choć na jego miejscu każdy detektyw walnąłby ze złości pięścią w stół, pan José ograniczył się jedynie do ironicznego uśmiechu, jak ktoś, kto od początku wiedział, że skierowano go na niewłaściwy trop i w końcu konkluduje, A nie mówiłem, albo w ogóle nie ma telefonu, albo ma zastrzeżony numer. Był tak zadowolony, że natychmiast, bez zbędnych wahań, poszukał numeru telefonu ojca nieznajomej, który znalazł. Wcale go to nie poruszyło. Wręcz przeciwnie, chcąc definitywnie wszystko wyjaśnić, poszukał jeszcze nazwiska mężczyzny, z którym nieznajoma się rozeszła, i też je znalazł. Gdyby miał plan miasta, mógłby na nim zaznaczyć pięć związanych z dziewczynką ze zdjęcia adresów, dwa na ulicy, gdzie się urodziła, adres szkoły oraz dwa świeżo odnalezione i gdyby połączył je liniami, powstałby początkowy zarys zwykłego życia, którego linie biegną zygzakiem, krzyżują się bądź przecinają, lecz nigdy nie rozwidlają, gdyż dusza podąża zawsze tam, gdzie nas niosą nogi, a z kolei ciało nie mogłoby się poruszać, gdyby nie skrzydła duszy. Zanotował adresy i to, co ma kupić, duży plan miasta, karton tej samej wielkości do umocowania planu, pudełko szpilek z kolorowymi łebkami, najlepsze będą czerwone, gdyż widać je z daleka, na życie bowiem, podobnie jak na obrazy, należy patrzeć z odległości czterech kroków, nawet jeśli mamy sposobność ich dotknąć, powąchać i posmakować. Pan José był całkiem spokojny, wcale nie poruszyło go odnalezienie adresu rodziców i eksmęża nieznajomej, nawiasem mówiąc, ten ostatni mieszkał w pobliżu Archiwum Głównego, oczywiście wcześniej czy później zapuka do ich drzwi, ale dopiero wtedy, gdy uzna, że nadszedł czas. Zamknął książkę telefoniczną, odniósł ją na miejsce, położył dokładnie tak, jak leżała i wrócił do siebie. Powinien teraz zjeść kolację, ale pewnie na skutek emocji, jakich doznał tego dnia, żołądek nie dawał o sobie znać. Usiadł, otulił się kocem, starannie przykrył nogi i przysunął gruby zeszyt. Nadszedł czas, żeby zacząć notować przebieg poszukiwań, spotkania, rozmowy, refleksje, taktykę i plany dochodzenia, które nie wyglądało na proste. Oto ktoś wyrusza na spotkanie kogoś,

pomyślał, i choć ta wędrówka ledwie się zaczęła, miał już sporo do opowiedzenia, Gdyby to była powieść, mruknął, otwierając zeszyt, sama rozmowa z panią z parteru starczyłaby na jeden rozdział. W chwili, kiedy brał pióro, aby zacząć pisać, jego wzrok padł na kartkę z adresami i pomyślał, że jest bardzo prawdopodobne, iż nieznajoma po rozwodzie przeprowadziła się do rodziców, choć było równie prawdopodobne, że to mąż się wyprowadził od niej i tylko jego nazwisko zostało w książce telefonicznej. Gdyby tak istotnie było, to zważywszy na fakt, że owa ulica znajdowała się w pobliżu Archiwum Głównego, nie wykluczone, że kobieta z autobusu była tą, o którą chodzi. Wewnętrzny dialog znów zaczął nabierać tempa, To była ona, Nie, Właśnie, że tak, Nic podobnego, ale tym razem pan José nie chciał już tego słuchać i pochyliwszy się nad zeszytem, zaczął pisać, co następuje, Wszedłem do budynku, potem po schodach na drugie piętro i kiedy stałem pod drzwiami mieszkania, w którym urodziła się nieznajoma, usłyszałem płacz niemowlęcia, pomyślałem, że może to jej dziecko, jednocześnie kobiecy głos nucił kołysankę, Może to ona, później przekonałem się, że nie.

\*

Wbrew temu, co na ogół sądzą osoby postronne, praca w urzędach państwowych wcale nie jest łatwa, szczególnie zaś w Archiwum Głównym Akt Stanu Cywilnego, gdzie - od czasów, których nie nazwiemy niepamiętnymi, gdyż wszyscy i wszystko jest tu odnotowane, a to za sprawą niestrudzonych wysiłków kolejnych pokoleń wielkich kustoszy - szczególnie wyraziście rysują się wszystkie wady i zalety służby publicznej, czyniące z urzędnika istotę szczególną, której korzyści i ograniczenia warunkuje przestrzeń fizyczna i umysłowa, zakreślona stalówką jego pióra. Innymi słowy, przekładając na konkrety te ogólnikowe rozważania przedstawione w powyższym wprowadzeniu, należałoby powiedzieć, że pan José ma do rozwiązania pewien problem. Mając w pamięci trudności, z jakimi wyrwał opornym i służbistym zwierzchnikom owe nędzne pół godziny zwolnienia z pracy, dzięki czemu mąż młodej lokatorki z drugiego piętra nie przyłapał go *in flagranti* na rozmowie z żoną, możemy sobie wyobrazić, jak bardzo musi go męczyć szukanie kolejnej wymówki, która by usprawiedliwiła ponowną prośbę o zwolnienie i to nie na godzinę czy dwie, lecz na całe trzy godziny, gdyż

prawdopodobnie tyle czasu będzie potrzebował, aby z dobrym skutkiem przeprowadzić niezbędne poszukiwania w szkolnym archiwum. Rezultaty tego nieustannego, obsesyjnego niepokoju nie dały długo na siebie czekać i pan José, do tej pory ceniony przez zwierzchników jako kompetentny, skrupulatny i gorliwy urzędnik, stał się roztargniony, często się mylił, miewał w ciągu dnia napady senności, rezultat ciągłego niedosypiania, czym zasłużył sobie na krytyczne uwagi, surowe napomnienia i nagany, które jeszcze bardziej wytręcały go z równowagi, gdyż w takim stanie rzeczy nawet nie miał co marzyć o upragnionym zwolnieniu. Sprawy zaszły tak daleko, że po szczegółowej analizie zarówno referenci, jak i kierownicy nie mieli innego wyjścia, jak powiadomić o całej sprawie kustosza, któremu wydała się tak absurdalna, że w pierwszej chwili w ogóle nie mógł pojąć, o co chodzi. Fakt, że urzędnik tak dalece mógł się opuścić w pracy, z góry wykluczał jakąkolwiek pobłażliwość i urągał dobrym tradycjom funkcjonowania Archiwum, coś takiego mogła usprawiedliwić jedynie ciężka choroba. Toteż gdy winowajcę doprowadzono przed oblicze kustosza, od razu zapytał, Czy jest pan chory, Wydaje mi się, że nie, Jeśli nie jest pan chory, to dlaczego w ostatnich dniach zaniedbuje się pan w pracy, Nie wiem, może dlatego, że źle sypiam, A więc jest pan chory, Nie, ja tylko źle sypiam, Jeśli źle pan sypia, to znaczy, że jest pan chory, człowiek zdrowy zawsze dobrze śpi, chyba że ma coś na sumieniu, jakąś ciężką winę, sumienie jest bardzo ważne, Tak jest, proszę pana, Jeśli źle pan pracuje z powodu bezsenności, a z kolei bezsenność jest spowodowana wyrzutami sumienia, to trzeba ustalić, jaką winę ma pan na sumieniu, Nie poczuwam się do żadnej winy, Niemożliwe, tutaj jedyną osobą bez winy jestem ja, co z panem się dzieje, czemu pan tak patrzy na tę książkę telefoniczną, Zamyśliłem się, To zły znak, wie pan, że zgodnie z regulaminem nie wolno odwracać wzroku, kiedy się ze mną rozmawia, tylko ja mogę to robić, Tak jest, proszę pana, Co to za wina, Nie wiem, Tym gorzej, zapomniane winy są najgorsze, Do tej pory sumiennie pracowałem, Istotnie mam o panu dobre informacje, dlatego właśnie sędzę, że pańskie zachowanie w ostatnich dniach nie jest wynikiem jakiejś zapomnianej, lecz niedawnej, całkiem świeżej winy, Nie mam nic na sumieniu, Sumienia milczą częściej niż powinny, dlatego właśnie potrzebne jest prawo, Tak jest, proszę pana, Muszę powziąć jakąś decyzję, Tak jest, proszę pana, Już powziąłem, Tak jest, proszę pana, Zawieszam pana na jeden dzień, Czy to zawieszenie dotyczy tylko pensji, czy również obecności w pracy, spytał pan José, w którym obudził się promyk nadziei, Oczywiście, że tylko pensji, praca nie może na tym

ucierpieć, już dostatecznie ucierpiała, dopiero co dostał pan pół godziny wolnego, chyba nie sądzi pan, że pańskie zachowanie w ostatnich dniach zostanie nagrodzone wolnym dniem, Nie, proszę pana, Mam nadzieję, że posłuży to panu za nauczkę i że będzie pan, jak dawniej, dobrym urzędnikiem, zarówno dla własnego dobra, jak i w interesie Archiwum Głównego, Tak jest, proszę pana, To wszystko, proszę wrócić na miejsce.

Pan José był zrozpaczony, roztrzęsiony i bliski łez. Podczas paru minut rozmowy z szefem na jego biurku urósł stos papierów, wyglądało na to, że koledzy skorzystali z okazji i do sankcji dyscyplinarnych dorzucili własną, dodatkową karę. Prócz tego na sali było kilku oczekujących interesantów i wszyscy ustawili się do niego, co nie mogło być sprawą przypadku, wykluczone, żeby stanęli w kolejce do niego w nadziei, że nieobecny urzędnik okaże się bardziej sympatyczny i przystępny niż ci, którzy siedzieli za barierką, raczej to właśnie ci ostatni wskazali im, do kogo mają się zwrócić. Zgodnie z regulaminem wewnętrznym załatwianie interesantów było sprawą priorytetową, toteż pan José podszedł do barierki, wiedząc, że za jego plecami stos papierów na stole będzie nadal rósł. Był załamany. Teraz, kiedy od zirytowanego kustosza otrzymał naganę i został ukarany, w najbliższym czasie nie miał co marzyć o jakimkolwiek zwolnieniu z pracy, nie dostanie ani godziny, ani pół, ani nawet pięciu minut wolnego, choćby wymyślił nieprawdopodobne narodziny dziecka czy wątpliwą śmierć kogoś bliskiego. W tym Archiwum długo się o wszystkim pamięta, nic nie popada w całkowitą niepamięć. Toteż jeśli nawet za dziesięć lat pan José popełni choćby najdrobniejszy błąd, z pewnością znajdzie się ktoś, kto mu wypomni ze szczegółami ostatnie niefortunne wydarzenia. Prawdopodobnie to miał na myśli kustosz, mówiąc, że zapomniane winy są najgorsze. Dla przeciążonego pracą i załamane go psychicznie pana José reszta dnia była prawdziwym koszmarem. Podczas gdy dawał interesantom precyzyjne informacje, wypełniał i stemplował papiery oraz wyjmował i wkładał na miejsce karty, w myślach przeklinał los i przypadek, które sprawiły, że chorobliwie zainteresował się czymś, co dla człowieka przy zdrowych zmysłach nie miałyby najmniejszego znaczenia. Kustosz ma rację, myślał pan José, najważniejsze jest dobro Archiwum, żaden normalny i rozsądny człowiek w moim wieku nie zbiera wycinków o aktorach, tancerkach, biskupach i piłkarzach, to głupie, bezsensowne i śmieszne, ładną schedę zostawię po śmierci, dobrze, że nie mam dzieci, całe nieszczęście bierze się chyba właśnie stąd, że jestem sam jak palec, gdybym miał żonę. W tym miejscu refleksje pana José nagle się urwały i zmacone



myśli podążyły innym, krętym i niewyraźnym tropem, wiodącym od zdjęcia małej dziewczynki do realnie istniejącej dorosłej kobiety, trzydziestosześcioletniej rozwódki. A właściwie na co mi ona, co mi z tego przyjdzie, że ją odnajdę. Tu myśl znów się urwała i wróciła do poprzedniego wątku, Ciekawe, jak ją odnajdziesz, skoro nie pozwalają ci jej szukać, na to pytanie pan José nie odpowiedział sobie, gdyż informował właśnie ostatnią osobę z kolejki, że akt zgonu, o który chodzi, będzie można odebrać następnego dnia.

Jednak pytanie, z gatunku tych natrętnie powracających, znów go zaatakowało, kiedy kompletnie wyczerpany fizycznie i psychicznie wreszcie wrócił do domu. Padł na łóżko jak kłoda, chciał usnąć, zapomnieć o szefie, o niesprawiedliwej karze, lecz pytanie wślizgnęło się za nim i szeptało, Nie możesz jej szukać, nie pozwalają ci, tym razem nie mógł już wykręcić się rozmową z interesantem, ale próbował udawać, że nie rozumie, o co chodzi i powiedział, że wymyśli jakiś sposób, a jeśli jej nie znajdzie, to zrezygnuje, Skoro tak łatwo się poddajesz, nie warto było fałszować referencji i zmuszać sympatycznej pani z parteru do grzesznych wyznań, wtargnąłeś do jej domu i naruszyłeś jej prywatność, to brak szacunku dla innego człowieka. Aluzja do referencji tak przestraszyła pana José, że usiadł na łóżku. Cały czas nosił ten dokument w kieszeni marynarki, lepiej nie myśleć, co by było, gdyby mu przypadkiem wypadł lub gdyby na skutek rozstroju nerwowego dostał jakiegoś ataku, stracił przytomność i któryś z uczynnych kolegów, chcąc mu ułatwić oddychanie, rozpiąłby guziki, zauważył białą kopertę z pieczęcią Archiwum Głównego i zapytał, Co to takiego, a potem referent, a potem kierownik, a potem szef. Pan José wolał nie myśleć, co potem by się działo, zerwał się na równe nogi, wyjął kopertę z marynarki wiszącej na oparciu krzesła i zaczął się niespokojnie rozglądać, zastanawiając się, gdzie, u licha, mógłby ją schować. Nie miał żadnego mebla zamykanego na klucz, toteż cały jego skromny dobytek był wystawiony na łup pierwszych lepszych ciekawskich oczu. Wreszcie jego wzrok padł na leżące w szafie teczki z wycinkami i stwierdził, że to mogło być dobre wyjście. Wyjął teczkę biskupa i włożył do niej kopertę, z pewnością biskup, choćby najbardziej świątobliwy, nie wzbudzi niczyjej ciekawości, to nie kolarz czy kierowca formuły pierwszej. Z lżejszym sercem wrócił do łóżka, lecz tam wciąż czekał jego wewnętrzny głos, Wszystko na nic, problem nie tkwi w referencjach, nieważne, czy schowasz ten papier, czy pokażesz, to nie doprowadzi cię do nieznajomej, Już mówiłem, że coś wymyślę, Wątpię, szef całkowicie związał ci ręce, nie da ci się ruszyć nawet na krok, Poczekam, aż sprawa ucichnie, A co

potem, Nie wiem, znajdę jakiś sposób, Mógłbyś wszystko wyjaśnić w jednej chwili, Ale jak, Zadzwoń do rodziców, niby w imieniu Archiwum i poproś o jej adres, Wykluczone, Jutro pójdziesz do niej, nie mam pojęcia, jak potoczy się wasza rozmowa, ale przynajmniej coś się wreszcie wyjaśni, Kiedy ją zobaczę, prawdopodobnie wcale nie będę miał ochoty z nią rozmawiać, Wobec tego, po co jej szukasz, po co badasz jej życie, O biskupie też zbieram informacje, co wcale nie znaczy, że chciałbym kiedyś z nim rozmawiać, To jakiś absurd, Owszem, ale już najwyższy czas, żeby zrobić w życiu coś absurdalnego, To znaczy, że jeśli ją spotkasz, nie powiesz, że jej szukałeś, Raczej nie, Dlaczego, Nie potrafię tego wyjaśnić, W każdym razie, nawet do szkoły nie pójdziesz, bo podobnie jak Archiwum Główne, jest zamknięta w soboty i niedziele, Do Archiwum mogę wchodzić, kiedy zechcę, Nie jest to żaden wyczyn, zważywszy, że wystarczy otworzyć wewnętrzne drzwi, Ale ty sam nigdy tam nie poszedłeś, Jestem tam, gdzie ty, zawsze ci towarzyszę, Możesz dalej to robić, Mam taki zamiar, ale ty nigdy nie wejdiesz do szkoły, Zobaczymy. Pan José wstał i jak zwykle wieczorem przygotował bardzo lekki posiłek, który właściwie trudno nazwać kolacją. Podczas jedzenia cały czas myślał, potem umył talerz, szklankę i sztućce, ciągle myśląc, strzepnął okruchy z obrusa i jakby ten ostatni gest rozstrzygnął jakieś wątpliwości, otworzył drzwi prowadzące na ulicę. Naprzeciwko, po drugiej stronie jezdni stała budka telefoniczna, można powiedzieć, że miał ją pod samym nosem, zaledwie dwadzieścia kroków dzieliło go od słuchawki, która mogła przekazać jego głos i tą samą drogą otrzymałby odpowiedź, z takich czy innych względów kończącą jego poszukiwania, mógłby spokojnie wrócić do domu, odzyskać zaufanie szefa, a świat wróciłby na swoją starą orbitę, czekając z niezmaconym spokojem na godzinę ostatecznego spełnienia, jeżeli te słowa tylekroć powtarzane mają jakiś realny sens. Pan José nie przeszedł na drugą stronę ulicy, włożył marynarkę i płaszcz, po czym wyszedł z domu.

Żeby dostać się na miejsce, musiał jechać dwoma autobusami. Szkoła mieściła się w długim, dwupiętrowym budynku z poddaszami, otoczonym wysokim ogrodzeniem. Przed budynkiem rozpościerał się plac, na którym rosło parę niskich drzew, służący zapewne celom rekreacyjnym. W budynku nie paliło się żadne światło. Pan José rozejrzał się wokół, mimo niezbyt późnej pory ulica była całkiem pusta, dobrą stroną peryferyjnych dzielnic jest właśnie to, że kiedy pogoda nie dopisuje, ludzie zamykają okna i zaszywają się w domowych pieleszach, bo po prostu na zewnątrz nie ma na co

patrzeć. Pan José doszedł do końca ulicy, przeszedł na drugą stronę i wolnym krokiem ruszył w kierunku szkoły, jak spacerowicz delektujący się wieczornym chłodem, na którego nikt nie czeka. Przechodząc obok furtki, schylił się, jakby zauważył, że ma rozwiązane sznurowadło, co jest starą jak świat i ograną sztuczką, ciągle jednak stosowaną, z braku lepszych pomysłów. Pchnął łokciem furtkę, która się lekko poruszyła, nie była więc zamknięta na klucz. Pan José starannie zawiązał drugi, niepotrzebny supeł, podniósł się, tupnął nogą, sprawdzając, czy sznurowadła nie są za luźne i ruszył naprzód, teraz już szybciej, jakby nagle przypomniał sobie, że jednak ktoś na niego czeka.

Przez resztę tygodnia miał wrażenie, że śni, będąc zarazem widzem własnych snów. W Archiwum nie popełnił najmniejszej pomyłki, nawet na chwilę się nie zagapił, nie pomieszał papierów, bez szemrania wykonał ogrom pracy, choć dawniej nieraz się buntował, oczywiście w milczeniu, przeciwko nieludzkiemu traktowaniu kancelistów. Kustosz dwa razy spojrzął na niego, choć nie miał zwyczaju patrzeć na podwładnych, zwłaszcza niskiej rangi, ale duchowe skupienie pana José było tak wielkie, że trudno było tego nie zauważyć w wiecznie gnuśnej atmosferze Archiwum Głównego. W piątek, pod koniec pracy kustosz najzupełniej niespodziewanie, wbrew wszelkim regulaminom i tradycjom, przechodząc obok pana José, zapytał, Czy lepiej pan się czuje, czym wprowadził wszystkich w osłupienie. Pan José odpowiedział, że znacznie lepiej, że już nie cierpi na bezsenność, na co kustosz rzekł, Dobrze panu zrobiła rozmowa ze mną, wyglądało na to, że chce jeszcze coś dodać, że nagle coś mu przyszło do głowy, ale nic więcej nie powiedział i wyszedł, tylko tego brakowało, żeby łamiąc zasady dyscypliny, anulował wymierzoną karę. Inni kanceliści, referenci, a nawet kierownicy popatrzyli na pana José, jakby zobaczyli go pierwszy raz w życiu, dzięki kilku słowom szefa stał się dla nich kimś innym, było to mniej więcej tak, jak w przypadku dziecka przed i po chrzcie. Pan José uprzątnął biurko i czekał na swoją kolej, żeby wyjść, gdyż zgodnie z regulaminem najpierw wychodził starszy stażem kierownik, potem referenci, następnie kanceliści, również w kolejności uwarunkowanej stażem pracy, na końcu zaś drugi kierownik, który zamykał drzwi. Tego dnia pan José wbrew swoim zwyczajom nie obszedł budynku Archiwum i nie wrócił prosto do domu, lecz zapuścił się w pobliskie ulice i wszedł do trzech sklepów, gdzie kolejno nabył półkilową paczkę smalcu, ręcznik oraz pewną małą rzecz, drobnostkę, której nawet nie trzeba było pakować, gdyż mieściła się w dłoni, dlatego po prostu schował ją do kieszeni marynarki. Gdy wychodził z domu, było już

dobrze po północy. Autobusy o tej porze jeździły bardzo rzadko, dlatego pan José, po raz drugi od chwili kiedy trafił na kartę nieznaną, wziął taksówkę. Czuł, że w dołku coś mu drga, frenetycznie wibruje, szumi, lecz głowa zachowała spokój lub też może utraciła zdolność myślenia. Skulony na siedzeniu taksówki, jakby w obawie, że go ktoś zobaczy, próbował przez chwilę wyobrazić sobie, co by się z nim stało, gdyby to, co zamierzał zrobić, nie powiodło się, lecz myśl umknęła za wysoki mur, mówiąc, Za nic się stąd nie ruszę. Wtedy pan José zrozumiał, dobrze bowiem znał samego siebie, że myśl broni go nie tyle przed strachem, ile przed tchórzostwem. Wsiadł z taksówki w pobliżu szkoły i resztę drogi przebył pieszo. Szedł z rękami w kieszeniach, przytrzymując w ten sposób schowany pod płaszczem smalec i ręcznik. Gdy skręcał w ulicę, przy której była szkoła, spadły pierwsze krople deszczu, a gdy dochodził do bramy, lunęło jak z cebra. Od dawien dawna mówi się, że odważnym szczęście sprzyja i w przypadku pana José okolicznością sprzyjającą, zesłaną przez samo niebo, był właśnie deszcz, gdyż jeśli nawet natknąłby się na jakiegoś spóźnionego przechodnia, to z pewnością byłby on tak pochłonięty ucieczką przed ulewą, że nie zwróciłby uwagi na manewry osobnika w płaszczu, który skrył się przed deszczem z zadziwiająco jak na swój wiek szybkością, dosłownie w mgnieniu oka. Pan José z bijącym jak młot sercem i ściśniętym gardłem istotnie schronił się pod jednym z drzew rosnących wzdłuż ogrodzenia i sam był zdumiony własną zwinnością, jako że jego jedynym ćwiczeniem fizycznym było wchodzenie na szczyt drabiny w Archiwum Głównym i Bóg jeden wie, jak chętnie to robił. Z ulicy był całkowicie niewidoczny i miał nadzieję, że przemyskując pod drzewami, zdoła niepostrzeżenie dotrzeć do drzwi szkoły. Był pewien, że w szkole nie ma nocnego stróża, gdyż ani teraz, ani poprzednio nie dostrzegł w środku żadnego światła, jak wiadomo, szkoły nie są obiektami, do których warto się włamywać, chyba że ktoś ma ku temu jakieś osobiste i szczególne powody. Takie właśnie powody miał pan José i dlatego przyszedł tam wyposażony w pół kilograma smalcu, ręcznik i ów mały przedmiot schowany w kieszeni, czyli diament do cięcia szkła. Musiał jednak dobrze przemyśleć plan działania. Nie należało wchodzić od frontu, bo jeśli komuś z wyższych pięter budynku stojącego naprzeciwko szkoły przyszłaby ochota popatrzeć na deszcz, to mógłby ujrzeć włamywacza wchodzącego przez okno, a choć sporo osób w takich sytuacjach nawet nie kiwnie palcem, po prostu zaciągają zasłony i wracają do łóżka, mówiąc, Co mnie to obchodzi, to jednak są też tacy ludzie, którzy tylko dlatego nie zbawili jeszcze świata, że jest to po

prostu niemożliwe, i ci właśnie natychmiast wezwaliby policję i wyszli na balkon, krzyżąc, Łapać złodzieja, a na takie obraźliwe miano pan José zupełnie nie zasługuje, gdyż co najwyżej można go nazwać fałszerzem. Spróbuję od tyłu, może będzie łatwiej, pomyślał pan José, i dodajmy, że nie bez racji, gdyż tyły budynków są częstokroć zaniedbane i składa się tam różne rupiecie, takie jak skrzynki, puszki po farbie, potłuczone cegły, czyli przedmioty bardzo przydatne komuś, kto chce się wspiąć na okno. Pan José istotnie znalazł taką rupieciarnię, lecz wszystko było bardzo starannie poukładane pod daszkiem przylegającym do ściany budynku, przez co wyszukanie i wyciągnięcie po ciemku przedmiotów odpowiednich do zbudowania piramidy byłoby zbyt czasochłonne i kłopotliwe, A gdyby wejść na ten daszek, mruknął pan José, co było świetnym pomysłem, gdyż bezpośrednio nad nim znajdowało się okno, Nie będzie to jednak łatwe, gdyż dach jest bardzo spadzisty i pewnie śliski z powodu deszczu, pomyślał. Ogarnęło go zniechęcenie, nie był bowiem doświadczonym i zaprawionym we wspinaczce włamywaczem, nie pomyślał też o wcześniejszych oględzinach obiektu, co wprawdzie mógł zrobić choćby wtedy, kiedy stwierdził, że furтка jest otwarta, ale wówczas wołał nie kusić losu. Co prawda miał przy sobie latarkę elektryczną, której używał przy wyszukiwaniu kart, ale wołał jej nie zapalać, bo co innego niewyraźna sylwetka majająca w ciemnościach, a co innego zdradliwa smuga światła, Patrzcie, tu jestem. Pan José skrył się pod daszkiem i słuchał nieustającego szumu deszczu, nie wiedząc, co dalej począć. Obok rosły drzewa, znacznie wyższe i bardziej rozłożyste niż te od frontu, możliwe, że kryły się za nimi jakieś budynki, Ale skoro ja ich nie widzę, to stamtąd też mnie nie widzą, pomyślał pan José, po chwili wahania zapalił latarkę i szybko rozejrzał się wokół. Tak jak przypuszczał, rupiecie zebrane pod daszkiem były starannie ułożone i dopasowane do siebie niczym części maszyny. Znów zapalił latarkę i skierował ją do góry. Na stercie starego żelastwa leżała luzem drabinka, najwidoczniej używana od czasu do czasu. To niespodziewane odkrycie chyba wywołało w panu José odruchowe skojarzenie z niebotycznymi drabinami w Archiwum Głównym, gdyż nagle dostał kołowacizny, co w potocznym i obrazowym języku prostych ludzi znaczy tyle, że doznał zawrotu głowy. Drabinka wprawdzie nie sięgała okna, ale była dostatecznie wysoka, żeby wejść na daszek, a potem niech się dzieje wola boska.

Przywołany tymi słowy Bóg postanowił pomóc panu José w kłopotach, czemu nie należy się dziwić, zważywszy na wielką liczbę włamywaczy, którym od niepamiętnych

czasów udaje się szczęśliwie wrócić z napadów i to nie tylko z obfitym łupem, ale i bez uszczerbku na zdrowiu, czyli całkowicie ujść karze boskiej. Opatrzność sprawiła, że daszek był pokryty falistymi dachówkami, które nie tylko były szorstkie, ale w dodatku miały wypukłe dolne obrzeża, zapewne pomyślane jako ozdoba przez jakiegoś nieopatrznego projektanta. Dzięki tym udogodnieniom, mimo dużej spadzistości dachu, pan José, podpierając się nogami i chwytając rękami, jęcząc, sapiąc i zdzierając czubki butów, zdołał wczołgać się na jego szczyt. Teraz pozostało tylko wejść do środka. Trzeba jednak wreszcie powiedzieć, że jako włamywacz, pan José stosuje metody całkowicie przestarzałe, by nie rzec archaiczne.

Sam już nawet nie pamięta, kiedy i gdzie przeczytał, że jeśli ktoś chce podstępnie zakraść się przez okno, to nie ma nic lepszego jak smalec, ręcznik i diament do cięcia szkła, w co ślepo uwierzył i dlatego zaopatrzył się w te niezwykle przybory. Oczywiście mógł to zrobić prościej, po prostu wybijając szybę, obawiał się jednak, że brzęk tłuczonego szkła mógłby zaalarmować sąsiadów, a choć odgłosy ulewy zmniejszyły takie ryzyko, uznał, że lepiej trzymać się wcześniej przyjętego planu. Oparł więc mocno stopy na opatrnościowym obrzeżu, a kolana na szorstkiej płycie i zaczął ciąć szybę wzdłuż ramy. Następnie, ciężko dysząc z powodu wysiłku i niewygodnej pozycji, wytarł chustką mokrą szybę, aby przylgnął do niej smalec, a raczej to, co z niego zostało, gdyż w wyniku mozolnej wspinaczki paczka smalcu zamieniła się w bezkształtną, lepłą masę, lepiej nie mówić, z jakim skutkiem dla ubrania. Mimo wszystko udało mu się rozsmarować na szybie dość grubą warstwę tłuszczu, na którą skrupulatnie nałożył ręcznik, wyciągnięty z kieszeni płaszcza po długiej szamotaninie. Teraz powinien precyzyjnie skalkulować siłę uderzenia, jeśli bowiem uderzy zbyt słabo, trzeba będzie powtórzyć cios, a jeśli za mocno, szkło może się odkleić od ręcznika. Przyciskając lewą ręką górny brzeg ręcznika, aby się nie zsunął, zacisnął prawą pięść, uniósł rękę i wymierzył krótki cios, który na szczęście zabrzmiał głucho niczym wystrzał z broni wyposażonej w tłumik. Udało się za pierwszym razem, co było nie lada osiągnięciem jak na nowicjusza. Zaledwie parę odłamków szkła wpadło do środka, co nie miało najmniejszego znaczenia, gdyż nikogo tam nie było. Mimo deszczu pan José przez parę minut leżał nieruchomo na dachu, zbierając siły i rozkoszując się sukcesem. Kiedy wstał, wsunął rękę do środka, znalazł zasuwkę okna, nie do wiary, ile taki włamywacz musi się namęczyć, otworzył je na oścież, chwycił się mocno za parapet i desperacko szukając punktu oparcia dla nóg, podciągnął się, przełożył

najpierw jedną nogę, potem drugą i miękko, niczym lecący z drzewa liść, opadł na drugą stronę.

\*

Szacunek dla faktów oraz zwykle poczucie przyzwoitości nie pozwala nam dłużej nadużywać łatwowierności tych, którzy skłonni byli uznać za wiarygodne i prawdopodobne wszystkie perypetie związane z niezwykłym dochodzeniem pana José, śpieszymy więc wyjaśnić, że jego upadek bynajmniej nie przypominał miękkiego lotu spadającego liścia. Wręcz przeciwnie, runął bezwładnie, niczym podcięte drzewo, choć jak się niebawem okazało, mógł bez trudu zsunąć się łagodnie aż do samej podłogi. Upadek był tak przykry i pan José tak się poobijał przy lądowaniu, że natychmiast, nim naocznie się o tym przekonał, zrozumiał, iż spadł w miejscu, które stanowiło jakby przedłużenie zewnętrznej rupieciarni, to znaczy chronologicznie musiało być inaczej, zewnętrzna rupieciarnia stała się przedłużeniem wewnętrznej, kiedy w środku zabrakło miejsca. Posiedział parę minut, żeby odetchnąć i odzyskać pełną władzę w drżących rękach i nogach. Zapalił latarkę, którą przezornie oświetlił wyłącznie podłogę i zobaczył, że w stercie zgromadzonych mebli znajduje się przejście, które prowadzi do drzwi. Pomyślał z niepokojem, że jeśli drzwi są zamknięte na klucz, będzie zmuszony je wyważyć, a nie mając odpowiednich narzędzi, narobi niechybnie dużo hałasu. Nadal padał deszcz i okoliczni mieszkańcy zapewne spali, chociaż nigdy nie wiadomo, gdyż niektórzy ludzie mają tak lekki sen, że budzi ich nawet bzykanie komara, a wtedy mogą wstać, pójść do kuchni, żeby napić się wody, przy okazji mogą odruchowo spojrzeć na ulicę, zauważyć czarną dziurę w fasadzie szkoły i pomyśleć, Co za lekkomyślni ludzie pracują w tej szkole, żeby przy takiej pogodzie zostawić otwarte okno, lub, O ile dobrze pamiętam, to okno było zamknięte, widocznie wiatr je otworzył, natomiast nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że to sprawka złodzieja, i słusznie, jako że, co warto przypomnieć, pan José nie wszedł tam, aby kraść. Właśnie w tej chwili przyszło mu do głowy, że gdyby zamknął okno, to nikt z zewnątrz nie zauważyłby włamania, lecz natychmiast ogarnęły go wątpliwości, może jednak lepiej zostawić tak, jak jest, Pomyślą, że to wiatr lub niedopatrzanie woźnego, jeśli zamknę, od razu będzie widać, że brakuje

jednej szyby, tym bardziej, że są z matowego szkła. Zakładając, że inni mają podobne zdolności dedukcyjne jak on sam, zdecydował się zostawić okno otwarte i zaczął na czworakach posuwać się w stronę drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Odetchnął z ulgą, dalej już pewnie wszystko pójdzie gładko. Teraz przydałby mu się jakiś wygodny fotel albo jeszcze lepiej kanapa, żeby mógł wypocząć przez resztę nocy, a może nawet przespać się, jeżeli nerwy mu na to pozwolą. Niczym doświadczony szachista, dokładnie zaplanował dalsze ruchy, co, prawdę mówiąc, wcale nie jest trudne, bo jak się w miarę dobrze i obiektywnie oceni sytuację, to śmiało można przewidzieć cały wachlarz możliwych skutków, warunkujących z kolei nowe przyczyny i tym sposobem powstaje łańcuch przyczyna-skutek-przyczyna oraz skutek-przyczyna-skutek i tak w nieskończoność, ale jak wiemy, w wypadku pana José to nie potrwa aż tak długo. Każdy rozsądny człowiek przyzna, że kancelista popełnił podwójne szaleństwo, wchodząc do jaskini lwa i na domiar złego zamierzając pozostać tam nie tylko do rana, ale przez cały następny dzień, ryzykując, że zostanie przyłapany na gorącym uczynku przez kogoś znacznie bardziej niż on sam biegłego w posługiwaniu się sztuką dedukcji stosowanej w odniesieniu do otwartych okien. Trzeba jednak przyznać, że znacznie większym szaleństwem byłoby przechadzanie się po salach i zapalanie wszystkich świateł. Operacja myślowa polegająca na powiązaniu otwartego okna i zapalonego światła pod nieobecność prawowitego użytkownika mieszkania czy szkoły nie wykracza poza możliwości przeciętnego, nawet niezbyt podejrzliwego osobnika, na ogół zwanego policjantem.

Pan José był cały brudny i przemoczony od stóp do głów, wszystko go bolało, szczególnie doskwierały mu kolana, otarte chyba do krwi, gdyż każde dotknięcie spodni sprawiało mu ból. Zdjął ociekający wodą płaszcz i pomyślał, Dobrze byłoby znaleźć jakieś pomieszczenie bez okna, żeby zapalić światło i jakąś łazienkę, żeby umyć choćby ręce. Idąc po omacku i otwierając kolejno wszystkie drzwi, znalazł wreszcie to, czego szukał, najpierw mały schowek, pełen materiałów szkolnych i biurowych, takich jak ołówki, zeszyty, rzyzy papieru, długopisy, gumki do wycierania, kałamarze, linijki, ekierki,

kątomierze, szablony, przybory kreślarskie, tubki kleju, pudełka spinaczy i tym podobne. Przy zapalonym świetle mógł wreszcie obejrzeć opłakane skutki swojej przygody. Rany na kolanach nie były tak straszne, jak przypuszczał, gdyż otarcia, choć bolesne, okazały się powierzchowne. Kiedy się rozwidni i nie będzie musiał zapalać światła, poszuka apteczki, obowiązkowej w każdej szkole i zawsze wyposażonej w środki



odkazające, spirytus, wodę utlenioną, wate, bandaż, gaziki i plastry, co mu w zupełności wystarczy. Gorzej będzie ze znalezieniem jakiegoś lekarstwa na wysmarowany brudem i smalcem płaszcz, Może spirytusem da się go z grubsza wyczyścić, pomyślał pan José i ruszył na poszukiwanie łazienki. Na szczęście nie musiał długo szukać, gdyż po chwili znalazł łazienkę, której wystrój i czystość świadczyły o tym, że jest przeznaczona dla nauczycieli. Jej okno wychodziło na tyły posesji i prócz matowych szyb, tutaj bardziej potrzebnych niż w znanej mu rupieciarni, miało również wewnętrzne drewniane okiennice, dzięki czemu pan José mógł wreszcie zapalić światło i umyć się, widząc, co robi. Kiedy jako tako doprowadził się do porządku, wstąpił w niego nowy duch i ruszył na poszukiwanie miejsca do spania. Wprawdzie jako dziecko nigdy nie uczęszczał do takiej okazałej szkoły, wiedział jednak, że w każdej szkole jest dyrektor, każdy dyrektor ma gabinet, a w dyrektorskim gabinecie zawsze jest kanapa, czyli to, o czym właśnie marzył. Szedł więc dalej, otwierając i zamykając drzwi kolejnych sal, wyglądających upiornie w bladej, sączącej się z ulicy poświacie, w której szkolne ławki sprawiały wrażenie szeregowych grobów, katedra przypominała ponury ołtarz ofiarny, czarna tablica zaś miejsce ostatecznego rachunku sumienia. Na ścianach, niczym ciemne plamy, jakie czas zostawia na skórze ludzi i przedmiotów, widniały mapy nieba, świata i poszczególnych krajów, a także hydrograficzne i orograficzne mapy istoty ludzkiej, pokazujące rurociąg krwi, kanalizację trawienia, architekturę mięśni, komunikację nerwową, rusztowanie kostne, miechy płuc, labirynt mózgu, przekrój oka, meandry narządów płciowych. Sale ciągnęły się nieprzerwanie wzdłuż korytarzy okalających budynki i wszędzie czuć było zapach kredy, podobno równie dawny jak zapach ludzkiego ciała, niektórzy bowiem twierdzą, iż Pan Bóg, nim wymiesił glinę, z której potem nas ulepił, na czarnej powierzchni pierwszej nocy wyrysował kredą mężczyznę i kobietę i stąd właśnie wywodzi się jedyna pewność, jaką mamy, a mianowicie że byliśmy, jesteśmy i będziemy prochem, który zatraci się w nocy równie głębokiej jak ta pierwotna. W niektórych pomieszczeniach zalegała tak głęboka ciemność, że robiły wrażenie spowitych czarnym sukniem, inne znów przypominały akwarium wypełnione chybottliwym, fosforyzującym, niebieskawym blaskiem, którego źródłem raczej nie mogło być światło ulicznych latarni, chyba że ulegało jakiejś przemianie, przechodząc przez szyby. Pan José przypomniał sobie blade wieczne światelko nad biurkiem kustosa, jakby skazane na pożarcie przez panujące wokół ciemności i powiedział szeptem, W Archiwum Głównym jest inaczej, po

czym dodał, jakby wyjaśniając sobie samemu, Prawdopodobnie jest tak, że im większa różnica, tym większe podobieństwo, a im większe podobieństwo, tym większa różnica, wówczas jeszcze nie wiedział, jak trafna jest ta uwaga.

Na pierwszym piętrze znajdowały się wyłącznie sale lekcyjne, gabinet dyrektora był zapewne gdzieś wyżej, gdzie nie dochodziły żadne odgłosy i przykre hałasy, choćby takie jak wrzawa towarzysząca wchodzeniu i wychodzeniu z klas. W dachu, nad schodami prowadzącymi na wyższe piętro znajdowało się okno, dzięki czemu w miarę wchodzenia widoczność poprawiała się, przynajmniej na tyle, że widać było, gdzie się stąpa. Przypadek sprawił, że nim znalazł gabinet dyrektora, trafił do sekretariatu, którego trzy okna wychodziły na ulicę. Jak zwykle w pomieszczeniach spełniających tę funkcję, stały tam biurka, krzesła, szafy, archiwa i kartoteki, na widok których aż mu serce podskoczyło, gdyż właśnie tego szukał, fiszek, kart, rejestrów, wpisów, notatek, jednym słowem historii życia nieznanegoj z czasów szkolnych, zakładając, że była to jedyna szkoła w jej życiu. Pan José otworzył pierwszą z brzegu szufladkę, lecz dochodzące z ulicy światło nie pozwalało dojrzeć, jakiego rodzaju informacje znajdują się na kartach. Mam czas, pomyślał pan José, teraz muszę się przespać. Wyszedł z sekretariatu i parę kroków dalej znalazł wreszcie gabinet dyrektora, który w porównaniu z surowym wnętrzem Archiwum Głównego bez przesady można było nazwać luksusowym. Podłogę pokrywał dywan, okna były zasłonięte ciężkimi storami, za antycznym biurkiem stał nowoczesny fotel obity czarną skórą, co pan José od razu zauważył, gdyż natychmiast po wejściu do ciemnego gabinetu bez wahania zapalił najpierw latarkę, a potem górne światło. Skoro nie przenika tu blask ulicznych latarni, światło z gabinetu też nie może być widoczne z ulicy. Fotel dyrektora był wygodny, z powodzeniem mógłby się w nim przespać, lecz dla zmęczonego i obolałego ciała znacznie bardziej pociągająco wyglądała długa, głęboka kanapa. Pan José spojrział na zegarek, dochodziła trzecia. Gdy zobaczył, że jest tak późno, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy, nagle poczuł się bardzo zmęczony. Dłużej nie wytrzymam, pomyślał i dając upust napięciu nerwowemu, zaczął rozpaczliwie szlochać, jak mały, psotny uczeń, któremu dyrektor wymierzył zasłużoną karę. Rzucił na podłogę mokry płaszcz, z kieszeni spodni wyjął chusteczkę i uniósł ją do oczu, była równie mokra jak on sam, dopiero teraz zauważył, że od stóp do głów jest nasączony wodą, że przypomina brudny, wyciśnięty mop, po prostu chodzące nieszczęście. Co ja tu robię, zapytał, lecz nie udzielił sobie odpowiedzi, gdyż wówczas

musiałby jasno i wyraźnie powiedzieć, z jakich powodów się tu znalazł, a wolał nie ryzykować stwierdzenia, że są one absurdalne, bezsensowne, szalone. Nagle wstrząsnął nim dreszcz. Chyba się przeziębilem, powiedział głośno, po czym dwa razy kichnął i podczas gdy wycierał nos, przypomniały mu się, pewnie za sprawą owych zawitych i niezbadanych procesów myślowych, sceny z filmów, w których bohaterowie wpadają w ubraniu do wody lub pojawiają się przemoczeni do suchej nitki i w przeciwieństwie do tego, co dzieje się w życiu, ani nie zapadają na zapalenie płuc, ani nawet się nie przeziębają, ewentualnie tylko na mokre ubranie zarzucają koc, co zupełnie nie miałooby sensu, gdyby nie było sprawą oczywistą, że po takiej scenie zdjęcia się przerywa, aktor idzie do garderoby, bierze gorącą kąpiel, po czym wkłada szlafrok z monogramem. Pan José zdjął buty, marynarkę, koszulę i spodnie, powiesił wszystko na stojącym w kącie wieszaku, teraz przydałby mu się filmowy koc, rzecz raczej trudna do znalezienia w gabinecie dyrektora szkoły, chyba że jest to dyrektor w podeszłym wieku, któremu podczas długiego siedzenia marzną kolana. Okazało się, że i tym razem pan José dobrze to sobie wydedukował, gdyż na siedzeniu fotela leżał starannie złożony koc. Wprawdzie nie był na tyle duży, żeby pan José cały mógł się nim przykryć, ale lepsze to niż nic. Zgasił górną lampę i oświetlając sobie drogę latarką, skierował się ku kanapie, na której wyciągnął się z westchnieniem ulgi, lecz po chwili skulił się, jak tylko mógł, aby całkowicie schować się pod koc. Trząśnięcie z zimna, bielizna, której nie zdjął, była wilgotna, prawdopodobnie od potu, gdyż deszcz nie mógł go aż tak przemoczyć. Usiadł na kanapie, zdjął podkoszulek, spodenki i skarpetki, po czym otulił się kocem tak szczelnie, jakby to była jego druga skóra i zwinięty w kłębek odpoczywał w ciemnościach, marząc o odrobinie zbawiennego ciepła, które by przyniosło równie zbawienny sen. Długo musiał na to czekać, między innymi z powodu uporczywej myśli, która nie dawała mu spokoju, A jeśli ktoś tu przyjdzie, jeśli znajdą mnie w takim stanie, to znaczy na golasa, zjawi się policja, zakują mnie w kajdanki, spytają o imię, nazwisko, wiek i zawód, najpierw przyjdzie dyrektor szkoły, potem szef Archiwum Głównego, obaj będą patrzeć na mnie z surowym wyrzutem, Co pan tu robi, spytają, a mnie głos uwięźnie w gardle, przecież nie powiedziałbym, że szukam nieznanym, boby mnie wyśmiali i ponownie zapytali, Co pan tu robi, i trwałoby to tak długo, aż by im wszystko wyznał, podobnie jak we śnie, który mu się przyśnił, kiedy wreszcie o świcie uwolnił się od wyczerpującego czuwania czy też ono od niego.

Obudził się późno, kiedy śniło mu się, że znów wspina się po daszku, strugi deszczu spadają na niego z hukiem wodospadu, a nieznajoma pod postacią aktorki filmowej z jego kolekcji siedzi na parapecie okna z kocem dyrektora na kolanach, czeka, aż pan José podejdzie i mówi, Trzeba było po prostu zadzwonić do drzwi, na co on, zadyszany, Nie wiedziałem, że tu jesteś, na co ona, Cały czas tu jestem, nigdy nie wychodzę, potem pochyliła się, jakby chciała mu pomóc, lecz nagle zniknęła, a wraz z nią zniknął też daszek, pozostał tylko deszcz, bezustannie padający na fotel dyrektora, w którym zobaczył samego siebie. Gdy się obudził, bardzo bolała go głowa, choć przeziębienie chyba się nie pogorszyło. W szczelinie między storami jaśniała cieniutka smuga szarego światła, co by znaczyło, wbrew jego wcześniejszym przypuszczeniom, że nie były one szczelnie zasunięte. Nikt nic nie zauważył, pomyślał i miał rację, gdyż nawet światło gwiazd, najjaśniejsze z jasnych, nie tylko w dużym stopniu ginie w przestworzach, ale wystarczy zwykła mgła, żeby nam przesłonić tę resztkę, która do nas dociera. Gdyby nawet ktoś z przeciwka wyjrzał w nocy oknem, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda, pomyślałby, że cienka smuga światła falująca między płynącymi po szybie kroplami to po prostu lśnienie deszczu. Pan José, nadal owinięty w koc, rozsunął lekko zasłony, tym razem on sam chciał zobaczyć, jaka jest pogoda. Przystało padać, ale całe niebo było pokryte jedną, ciemną i tak niską chmurą, że zdawała się leżeć na dachach domów niczym ogromna kamienna płyta. Bardzo dobrze, pomyślał, im mniej ludzi będzie chodzić po ulicy, tym lepiej. Podszedł do wieszaka i pomacał rozwieszone ubranie, sprawdzając, czy nadaje się do włożenia. Koszula, podkoszulek, spodnie i skarpetki były prawie suche, spodnie raczej wilgotne, a marynarka i płaszcz będą musiały schnąć jeszcze wiele godzin. Włożył wszystko prócz spodni, gdyż obawiał się tarcia sztywnego od wilgoci materiału o poranione kolana i ruszył na poszukiwanie ambulatorium. Z logicznego punktu widzenia powinno ono znajdować się na parterze, w pobliżu sali gimnastycznej, gdzie zdarzają się różne wypadki, ale zarazem nieopodal placu zabaw, gdzie podczas przerw uczniowie w sposób mniej lub bardziej gwałtowny wyładowują nadmiar energii oraz nudę i udrękę, których źródłem jest nauka. Okazało się, że miał rację. Przemył rany na kolanach wodą utlenioną, następnie posmarował je środkiem odkażającym, który pachniał jodem, a na opatrunki zużył tyle bandaży i plastrów, że wyglądały raczej jak nakolanniki. Mimo to mógł zginać kolana przy chodzeniu. Włożył spodnie i poczuł się innym człowiekiem, choć nie na tyle, żeby zapomnieć o różnych

dolegliwościach nękających jego biedne ciało. Pewnie mają też tutaj coś na przeziębienie i na ból głowy, pomyślał i istotnie po chwili znalazł i połknął dwie tabletki. Nie musiał się obawiać, że ktoś go zobaczy z ulicy, gdyż, jak to zwykle bywa, w ambulatorium były matowe szyby, jednak od tej chwili będzie musiał mieć się na baczności i chodzić pod ścianami, a w pobliżu okien przemykać na czworakach, jednym słowem zachowywać się jak zawodowy włamywacz. Nagle zapiekło go w żołądku i zrozumiał, że popełnił błąd, gdyż połknął tabletki na czczo, powinien był zjeść choćby jakiegoś herbatnika, Ale skąd tu wziąć herbatniki, zapytał, uświadamiając sobie, że stanął wobec nowego problemu, a mianowicie problemu zdobycia jedzenia, jako że mógł opuścić budynek dopiero nocą, I to późną nocą, uściślił. Jak wiemy, pan José był mało wymagający w sprawach kulinarnych i choć nie miałby nic przeciwko temu, żeby coś przekąsić przed powrotem do domu, podszedł do sprawy stoicko, To tylko jeden dzień, przecież nie umrę z głodu. Wyszedł z ambulatorium, lecz nie skierował się na drugie piętro, gdzie znajdował się sekretariat z interesującą go dokumentacją, gdyż ze zwykłej ciekawości postanowił obejść cały parter. Wkrótce trafił do szatni przylegających do sali gimnastycznej, wyposażonej w różne urządzenia do ćwiczeń, takie jak drabinki, równoważnia, batut, obręcze, koziół, trampolina i materace, za jego czasów nie było w szkołach takich udogodnień, czego zresztą wcale nie żałował, gdyż od dzieciństwa był typem mizeraka. Pieczenie w żołądku nasilało się, w gardle poczuł nieznośną zgagę, Gdyby chociaż przeszedł ból głowy, no i to przeziębienie, czuję, że mam gorączkę, pomyślał w chwili, gdy otwierał kolejne drzwi. Była to, o błogosławiona ciekawości, stołówka. Na ten widok myśl pana José lotem błyskawicy ruszyła tropem jedzenia. Jeśli jest stołówka, to i kuchnia, a jeśli jest kuchnia, lecz w tym miejscu proces myślowy nagle się urwał, gdyż właśnie wszedł do kuchni, gdzie, jak to zwykle bywa, znajdowały się garnki i rondle, talerze i szklanki, a także szafy i ogromna lodówka. Otworzył ją na oścież i jego olśnionym oczom ukazało się jedzenie, chwała niech będzie bogu ciekawskich, chwała też bogu włamywaczy, który też wszak nad nim czuwa. Kwadrans później pan José był już naprawdę całkiem innym człowiekiem, odrodzonym fizycznie i duchowo, ubranie prawie wyschło, kolana nie bolały, żołądek wypełniony był czymś znacznie bardziej treściwym i pożywnym niż dwie gorzkie pastylki przeciw przeziębieniu. W porze obiadowej wróci do tej humanitarnej lodówki, a tymczasem musi iść do sekretariatu i przejrzeć kartotekę, czyli zrobić następny krok, niebawem okaże się duży czy mały, w szukaniu śladów nieznajomej

sprzed trzydziestu lat, kiedy jako mała dziewczynka o poważnym spojrzeniu i z grzywką do samych brwi siadywała na tej ławce, jedząc na drugie śniadanie bułkę z dżemem, być może zasmucona z powodu kleksa w zeszytach, a być może szczęśliwa z powodu lalki, którą obiecała jej chrzestna matka.

Na szufladkach były następujące napisy, Uczniowie W Porządku Alfabetycznym, Uczniowie Pierwszej Klasy, Uczniowie Drugiej Klasy, Uczniowie Trzeciej Klasy i tak dalej, aż do ostatniej. Jako fachowiec, pan José z przyjemnością stwierdził, że te dwie zbieżne i uzupełniające się kartoteki umożliwiają odszukanie karty ucznia na dwa sposoby, w kartotece ogólnej i częściowej. W oddzielnej szufladce, z napisem, Nauczyciele, znajdowały się karty nauczycieli. Spojrzenie na ten napis natychmiast uruchomiło w umyśle pana José mechanizm dedukcyjnego rozumowania, Skoro, jak wskazuje logika, znajdują się tu wyłącznie karty aktualnie pracujących nauczycieli, to również kartoteka uczniów zawiera jedynie dane tych, którzy aktualnie uczęszczają do szkoły, zresztą, na pierwszy rzut oka widać, że tych kilka szufladek nie pomieściłoby kart z ostatnich trzydziestu lat, nawet najcieńszych. Bez najmniejszej nadziei, wyłącznie dla spokoju własnego sumienia, pan José otworzył szufladkę, w której powinno się znajdować nazwisko nieznajomej. Nie było go. Zamknął szufladkę i rozejrzał się wokół. Musi istnieć jakaś inna kartoteka, dotycząca dawnych uczniów, niemożliwe, żeby niszczyli ich karty w chwili ukończenia szkoły, to by przeczyło elementarnym zasadom archiwistyki. Jeśli takowy katalog istniał, to w każdym razie tutaj go nie było. Mimo że nie widział sensu dalszych poszukiwań, nerwowo sprawdził zawartość szaf i biurka. Na nic. Głowa, jakby od nadmiaru rozczarowania, zaczęła go jeszcze bardziej boleć. I co teraz, José, zapytał i odrzekł, Szukać dalej. Wyszedł i spojrzał najpierw w jedną, potem w drugą stronę długiego korytarza. Na piętrze, gdzie znajdował się gabinet dyrektora, nie było klas, a zatem wszystkie pomieszczenia miały jakieś inne przeznaczenie, o czym niebawem się przekonał, wchodząc kolejno do pokoju nauczycielskiego, schowka na stare pomoce szkolne i dwóch sal, które, sądząc po rzędach pudeł stojących na regałach, wyglądały na szkolne archiwum. Pan José nie posiadał się z radości, która jednak szybko ustąpiła miejsca rozczarowaniu, gdyż jako fachowiec już po kilku minutach stwierdził, że nie znajdzie tam tego, czego szuka, jako że archiwum zawierało wyłącznie dokumentację administracyjną, a mianowicie korespondencję, łącznie z kopiami odpowiedzi, statystyki, wykresy frekwencji i ocen, zbiory aktów prawnych. Dla pewności jeszcze

dwukrotnie wszystko przejrzał, jednak na próżno. Był załamany i po wyjściu na korytarz powiedział, Tyle zachodu na nic, lecz po chwili stwierdził, że trzeba logicznie pomyśleć, Te przekłete dokumenty muszą gdzieś być, skoro nie zniszczyli wieloletniej, całkiem bezużytecznej korespondencji, tym bardziej nie mogli zniszczyć kartoteki uczniów zawierającej cenne dane biograficzne, wcale bym się nie zdziwił, gdyby ktoś z mojej kolekcji uczęszczał do tej szkoły. W innych okolicznościach być może pan José pomyślałby, że skoro uzupełnił swoją kolekcję kopiami aktów urodzenia, może by warto jeszcze wzbogacić ją o dokumentację szkolną. Lecz była to czysta mrzonka, bo co innego mieć pod ręką akta stanu cywilnego, a co innego włamywać się do różnych szkół w całym mieście tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy pewna pani w czwartej klasie miała piątkę czy trójkę z matematyki, a pan iksiński naprawdę był takim łobuziakiem, jak twierdzi w wywiadach. A jeśli na dodatek przy każdym włamaniu miałby tak cierpieć jak teraz, to już lepiej nie ruszać się z domowych pieleszy i czerpać wiedzę o świecie wyłącznie z tego, co ma się w zasięgu ręki, to znaczy ze słów, obrazów, iluzji.

Jeśli na tym świecie jest jeszcze choć trochę logiki, to dokumenty uczniów muszą tu być, pomyślał pan José i wszedł do pierwszej sali archiwum celem ostatecznego wyjaśnienia sprawy. Pudło po pudle, teczka po teczce, wszystko dokładnie przeczesał, by użyć obrazowego wyrażenia pochodzącego zapewne z czasów, kiedy ludzie używali tak zwanych gęstych grzebieni do wyczesywania z włosów żyjatek, które zostawiał zwykły grzebień, cały jego trud poszedł jednak na marne, gdyż nie znalazł dokumentacji uczniów. To znaczy znalazł jedno wielkie pudło, gdzie wrzucono bezładnie teczki z ostatnich pięciu lat. Pan José był już przekonany, że dawne dokumenty zostały zniszczone, podarte, wyrzucone na śmietnik lub wręcz spalone, dlatego też bez najmniejszej nadziei i zupełnie obojętnie, jakby gwoździ dopełnienia zbędnej formalności, wszedł do drugiej sali. Wtedy właśnie jego oczy ulitowały się nad nim, czasownik użyty w powyższym zdaniu, choć na pierwszy rzut oka niewłaściwy, jest jednak zasadny, bo jak inaczej wyjaśnić fakt, że natychmiast wskazały mu wąskie drzwi między regałami, jakby od początku wiedziały, że to tam. Pan José poczuł, że kres jego trudów jest już blisko, a dotychczasowe wysiłki zostaną zwieńczone laurem zwycięstwa, prawdę mówiąc, gdyby stało się inaczej, los zbyt srogo by się z nim obszedł, chyba więc nie bez racji i na przekór przeciwnościom losu stare porzekadło mówi, że przed kim bramę zamkną, niech do furtki puka, co w przypadku pana José oznacza owe wąskie drzwi, za którymi, jak w

bajce, powinien znaleźć upragniony skarb, choćby nawet przyszło mu stoczyć walkę ze strzegącym go smokiem. Smok, któremu będzie musiał stawić czoło, nie ma gardzieli zionącej siarką, ogniem i dymem, a od jego ryku nie drży ziemia, jest to bowiem po prostu ciemność, zastygła w oczekiwaniu, nieprzenikniona i bezdźwięczna jak morska głębina, mimo to niewielu śmiazków miałoby odwagę tam wejść i pewnie szybko by uciekli przerażeni, bojąc się, że ohydny potwór skoczy im do gardła. Wprawdzie pana José trudno uznać za wzór odwagi, lecz wieloletnia praca w Archiwum Głównym oswoiła go z nocą, mrokiem, pomroką i ciemnością, co zmniejszyło jego wrodzoną trwożliwość, a w obecnej sytuacji pozwoliło bez zbytniego lęku wsunąć rękę do paszczy smoka w poszukiwaniu wyłącznika światła. Znalazł go, przycisnął, lecz światło się nie zapaliło. Powłócząc nogami, żeby się o coś nie potknąć, posunął się trochę do przodu i uderzył kostką prawej nogi o jakiś twardy kant. Schylił się, pomacał przeszkodę, stwierdził, że jest to metalowy stopień i w tej samej chwili poczuł w kieszeni ciężar latarki, o której zupełnie zapomniał w natłoku różnorodnych wrażeń. Stał obok kręconych schodów, ginących w coraz bardziej gęstych ciemnościach, które pochłaniały światło latarki, nim dotarło na górę. Schody nie miały poręczy, a więc raczej nie były odpowiednie dla kogoś cierpiącego na zawroty głowy, pewnie na piątym stopniu, jeżeli tam dotrze, pan José straci wyczucie wysokości, poczuje, że spada i istotnie spadnie. A jednak tak się nie stało. Pan José zachowuje się śmiesznie, ale wcale się tym nie przejmuje, tylko on jeden wie, jak idiotycznie i absurdalnie wygląda, gdy niczym jaszczur ledwie zbudzony z zimowego snu pełźnie pod górę, kurczowo czepiając się kolejnych stopni, wyginając ciało, by dopasować je do nie kończącej się spirali schodów i ponownie raniąc sobie kolana. Gdy pan José wyczuł wreszcie rękami gładką podłogę strychu, jego siły fizyczne dawno przegrały bitwę z duchowymi, toteż nie był w stanie od razu się podnieść i przez jakiś czas leżał na brzuchu, twarz i tułów spoczywały w kurzu pokrywającym podłogę, nogi zaś zwisały nad schodami, wprost nie do wiary, ile muszą wycierpieć ludzie, którzy opuszczają domowe zacisze w pogoni za zwariowanymi przygodami.

Pan José nie był aż tak lekkomyślny, żeby wstać z podłogi, narażając się w ciemności na jakiś nieopatrzny krok i upadek w czarną czeluść, z której przybył, toteż nadal leżąc w tej samej pozycji, po dłuższej szamotaninie, zdołał z tylnej kieszeni spodni wydobyć latarkę. Zapalił ją i oświetlił najbliższy kawałek podłogi. Zobaczył porozrzucane papiery oraz rozpadające się kartonowe pudła, pokryte grubą warstwą kurzu. Parę



metrów dalej dostrzegł coś, co przypominało nogi krzesła. Poświecił wyżej, tak, to było krzesło. Wyglądało na to, że jest w dobrym stanie, miało siedzenie i oparcie, a nad krzesłem, z niskiego sufitu zwisała lampka bez abażuru, Zupełnie jak w Archiwum Głównym, pomyślał pan José. Skierował latarkę na ściany i zobaczył zarysy stojących wokół całego pomieszczenia regałów. Te niewysokie, pewnie ze względu na pochyły sufit, regały, były wprost zavalone pudłami i stosami papierów.

Gdzie tu może być wyłącznik światła, zastanawiał się pan José, choć odpowiedź na to pytanie wydawała się oczywista, Jest na dole i nie działa, Przy świetle latarki raczej nie zdołam odnaleźć tych dokumentów, poza tym mam wrażenie, że bateria niebawem się wyczerpie, Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć, Może jest tu jakiś drugi wyłącznik, Co z tego, przecież wiesz, że żarówka jest przepalona, Wcale nie wiem, Gdyby nie była przepalona, to by się zapaliła, Wiem tylko tyle, że przycisnąłem wyłącznik, a światło się nie zapaliło, No właśnie, Ale to może oznaczać co innego, Ciekawe co, Może na dole nie ma żarówki, Wobec tego mam rację, ta na górze jest przepalona, A może są dwa wyłączniki i dwie żarówki, jedna na dole, a druga na strychu, ta na dole jest spalona, a na górze jeszcze nie wiadomo. Skoro potrafiłeś to sobie wydedukować, spróbuj ją zapalić. Pan José postanowił zmienić dotychczasową niewygodną pozycję i usiadł na podłodze, Całkiem zniszczył sobie ubranie, pomyślał i skierował latarkę na ścianę przy schodach, Jeśli w ogóle jest, to musi być tutaj. Odkrył go w chwili, gdy już prawie pogodził się z myślą, że jedyny wyłącznik znajduje się na dole. Chcąc wygodniej usiąść, oparł się szeroko rozłożoną dłonią o podłogę i wtedy lampka pod sufitem zapaliła się, gdyż niechcący przycisnął wyłącznik zamontowany na podłodze w taki sposób, aby osoba wchodząca po schodach mogła łatwo go dosięgnąć. Żółtawe światło lampki z trudem docierało do przeciwległej ściany, na podłodze nie było żadnych śladów ludzkiej stopy. Mając na myśli dokumenty, które znalazł na dole, powiedział głośno, Przynajmniej od sześciu lat nikt tu nie wchodził. Kiedy przebrzmiało echo tych słów, pan José zauważył, że na strychu zaległa martwa cisza, jakby z ciszy poprzednio panującej wyłoniła się jakaś inna, jeszcze głębsza, ale może tylko mu się tak zdawało, gdyż korniki przestały na chwilę drążyć w drewnie swoje korytarze. Z sufitu zwisały czarne od kurzu pajęczyny, których właściciele pewnie dawno temu wymarli z braku pożywienia, jako że nie było tu nic, co mogłoby zwabić jakąś zabłąkaną muchę, tym bardziej, że drzwi na dole były zamknięte, a mole, rybiki i korniki nie miały najmniejszego powodu, by opuszczać swoje celulozowe

kryjówki. Kiedy pan José wstał, jego koszulę i spodnie oblepiał kurz, który bezskutecznie próbował strząsnąć, a na jednym z policzków miał wielką czarną plamę, która nadawała mu wygląd ekscentrycznego błazna. Usiadł na krześle pod żółtą lampką i zaczął mówić do siebie, Zastanówmy się chwilę, jeśli stare dokumenty, jak należy się spodziewać, istotnie są tutaj, to wcale nie wiadomo, czy każda z paczek zawiera papiery tylko jednego ucznia, co by pozwoliło w jednej chwili poznać przebieg jego nauki w szkole, czy też, co bardziej prawdopodobne, pod koniec roku szkolnego sekretarka wiązała w jedną paczkę dokumenty całej klasy i przynosiła je tutaj, nie zadając sobie nawet trudu, żeby je włożyć do pudła, ale może przynajmniej wpadła na pomysł, żeby pisać na wierzchu rok, oby tak było, niebawem się o tym przekonam, to tylko kwestia czasu i cierpliwości. Ta konkluzja nie była zbyt odkrywczą, gdyż od urodzenia pan José dobrze wie, że cierpliwość wymaga czasu i ciągle ma nadzieję, że czasu nie zabraknie mu wcześniej niż cierpliwości. Wychodząc z założenia, że wszelkie poszukiwania zawsze należy od czegoś zacząć, a następnie skrupulatnie i metodycznie posuwać się do przodu, zaczął od końca jednego rzędu regałów, zdecydowany przetrząsnąć kartkę po kartce, sprawdzając skrupulatnie, czy czasem się nie skleiły. Każdy ruch, czy to otwieranie pudeł, czy rozwiązywanie paczek, wzbijał takie tumany kurzu, że z obawy przed uduszeniem musiał zawiązać sobie chustkę na twarzy, zgodnie zresztą z tym, co zalecano kancelistom w Archiwum Głównym, kiedy musieli zajrzeć do dokumentacji zmarłych. Po kilku minutach miał czarne ręce, chusteczka straciła resztkę bieli, a on sam przypominał górnika, który w zwałach węgla ma nadzieję znaleźć czysty diament.

Nim minęło pół godziny, znalazł pierwszą kartę. Na zdjęciu zrobionym w wieku piętnastu lat dziewczynka nie miała już grzywki, lecz oczy pozostały smutne i poważne. Pan José ostrożnie odłożył ją na krzesło i szukał dalej. Pracował jak w transie, skrupulatnie i gorączkowo, spod jego palców wylatywały wystraszone światłem mole, a kurz, miałki niczym cementarne prochy, stopniowo oblepiał mu skórę i przenikał przez ubranie. Z początku, otwierając nową paczkę, szukał wyłącznie tego, co go interesowało, potem zaczął zatrzymywać się przy niektórych nazwiskach i zdjęciach, właściwie bez żadnego powodu, tylko dlatego, że tam były i że nikt więcej nie przyjdzie na strych, żeby strząsnąć kurz, który pokrywał tysiące twarzy dziewcząt i chłopców, patrzących przez obiektyw gdzieś na kraj świata, w oczekiwaniu nie wiadomo na co. W Archiwum Głównym jest inaczej, tam istnieją tylko słowa i nie można obserwować, jak z biegiem

czasu zmieniają się twarze, a właśnie to jest najważniejsze, bo imiona są niezmiennie. Kiedy żołądek pana José dał o sobie znać, miał już na krześle odłożonych siedem kart, z których dwie miały identyczne zdjęcia, pewnie matka powiedziała jej, Weź zeszlóroczne zdjęcie, nie będziesz musiała iść do fotografa, a ona posłuchała, żałując, że nie będzie miała nowego zdjęcia. Przed pójściem do kuchni pan José wstąpił do łazienki dyrektora, żeby umyć ręce i zdębiał, ujrawszy się w lustrze, nie przypuszczał, że jego twarz jest w takim stanie, tak strasznie brudna, poorana strużkami potu, To chyba nie ja, pomyślał, choć nigdy tak bardzo nie był sobą. Gdy skończył posiłek, wrócił na strych najszybciej, jak mu na to pozwoliły obolałe kolana, przyszło mu bowiem do głowy, że gdyby zgasło światło, co mogło się zdarzyć przy takich deszczach, nie skończyłby poszukiwań. Zakładając, że nie powtarzała żadnej klasy, brakowało mu jeszcze pięciu kart i w razie awarii sieci elektrycznej jego trud poszedłby częściowo na marne, gdyż więcej tu nie wróci. Był tak pochłonięty pracą, że zapomniał o bólu głowy i przeziębieniu, lecz w pewnej chwili poczuł się znacznie gorzej. Zszedł, żeby połknąć jeszcze dwie tabletki, potem resztką sił wrócił na strych i dalej szukał. Ostatnią kartę znalazł późnym popołudniem. Zgasił światło, zamknął drzwi, machinalnie jak lunatyk włożył marynarkę i płaszcz, pozacierał, jak mógł, ślady swojej obecności i usiadł na kanapie, by zaczekać na nadejście nocy.

\*

Następnego dnia rano, chwilę po tym, jak w Archiwum Głównym rozpoczęła się praca, pan José uchylił wewnętrzne drzwi i zrobił pst-pst, żeby zwrócić uwagę kolegi kancelisty, który siedział najbliżej. Ten odwrócił głowę, zobaczył nabrzmiałą twarz z mrugającymi porozumiewawczo oczami i spytał przytłumionym głosem, żeby nie przeszkadzać innym w pracy, Czego pan chce, a w pytaniu tym pobrzmiwała nutka karcącej ironii, jakby skandaliczne spóźnienie pana José było zapowiedzią jeszcze większego skandalu, jakim była jego nieobecność. Jestem chory, powiedział pan José, nie mogę pracować. Kolega niechętnie wstał, zrobił trzy kroki w stronę najbliższego referenta i powiedział, Przepraszam pana, przyszedł pan José, mówi, że jest chory. Referent również wstał, zrobił cztery kroki w stronę siedzącego po tej samej stronie sali

kierownika i powiedział, Przepraszam pana, przyszedł kancelista pan José, mówi, że jest chory. Kierownik, nim zrobił pięć kroków oddzielających go od kustosa, zbliżył się do chorego i spytał, Co panu dolega, Jestem przeziębiony, odpowiedział pan José, Przeziębienie nie usprawiedliwia nieobecności w pracy, Mam gorączkę, Skąd pan wie, Zmierzyłem termometrem, Pewnie tylko parę kresek, Nie, mam trzydzieści dziewięć, Zwykle przeziębienie nie powoduje takiej gorączki, Może to grypa, Albo zapalenie płuc, Niech pan nie kracze, Nie kraczę, rozważam różne możliwości, Przepraszam, tak mi się tylko powiedziało, Dlaczego się pan rozchorował, Chyba przemokłem na deszczu, Lekkomysłność nie popłaca, Ma pan rację, Choroby nie związane bezpośrednio z wykonywaną pracą nie powinny być uwzględniane, Istotnie, nie przeziębilem się w pracy, Powiadomię szefa, Tak jest, proszę pana, Proszę nie zamykać drzwi, może szef będzie chciał dać panu jakieś wskazówki, Tak jest, proszę pana. Kustosz nie dał mu żadnych wskazówek, spojrzął tylko ponad pochylonymi głowami urzędników i machnął ręką, co mogło oznaczać zarówno lekceważenie, jak i odłożenie sprawy na później, pan José nie mógł tego jednoznacznie stwierdzić, nie tylko z powodu odległości, ale także załzawionych i przekrwionych oczu. W każdym razie spojrzenie szefa tak go poraziło, że nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, otworzył szerzej drzwi i wystawił się na widok całego Archiwum Głównego w starym szlafroku narzuconym na pidżamę, przydeptanych kapciach i ze zgaszoną miną człowieka, którego dopadło ciężkie przeziębienie, złośliwa grypa lub śmiertelne zapalenie płuc, wszystko możliwe, w życiu nieraz tak bywa, że lekki wietrzyk przeradza się w niszczycielski huragan. Kierownik ponownie podszedł do pana José z informacją, że dziś lub jutro odwiedzi go zakładowy lekarz, po czym, o dziwo, powiedział coś, czego żaden niższy urzędnik, nie wyłączając pana José, nie miał szczęścia usłyszeć, Szef życzy panu zdrowia, przy czym miał taką minę, jakby sam nie wierzył własnym uszom. Pan José też osłupiał, miał jednak na tyle przytomności umysłu, że spojrzął w stronę szefa, chcąc mu podziękować, lecz ten miał pochyloną głowę, jakby gorliwie pracował, co zważywszy na miejscowe zwyczaje, wydaje się bardzo wątpliwe. Powoli zamknął drzwi i drżąc z wrażenia i gorączki, położył się do łóżka.

Pan José przemókł nie tylko podczas rozpaczliwego wdrapywania się po daszku. Kiedy nocą wreszcie wyszedł ze szkoły przez to samo okno i znalazł się na ulicy, nie podejrzewał, co go czeka. Dramatyczna wspinaczka, a nade wszystko kurz na strychu sprawiły, że od stóp do głów był nieprawdopodobnie brudny, twarz i włosy robiły

wrażenie oblepionych sadzą, ręce przypominały okopcone polana, a o ubraniu lepiej nie mówić, płaszcz zamienił się w zatłuszczony łachman, spodnie wyglądały jak wysmarowane węglowym pyłem, a koszula przypominała szmatę, którą wyczyszczono stuletni komin, doprawdy, nawet najnędniejszy włóczęga nie pokazałby się w takim stanie na ulicy. Kiedy pan José znalazł się dwie przecznice za szkołą, zaczęło padać, spróbował więc zatrzymać taksówkę, ale oczywiście stało się to, co stać się musiało, a mianowicie szofer, ujrawszy znieczarnałą postać wyłaniającą się z mroku, dodał gazu i pomknął dalej, podobnie zresztą jak trzej inni taksówkarze, którzy na widok jego podniesionej ręki uciekali, gdzie pieprz rośnie. Pan José nie odważył się wsiąść do autobusu, toteż chcąc nie chcąc, musiał wracać do domu pieszo, choć był już tak zmęczony, że ledwie powłóczył nogami, w dodatku rozpadało się na dobre, a droga wydawała się nie mieć końca, przemierzał coraz to nowe ulice, zaułki, place i aleje w opustoszałym, tonącym w deszczu mieście, żeby choć miał parasol, ale niestety, na włamanie idzie się jak na wojnę, bez parasola, mógł co prawda schronić się w jakiejś bramie i poczekać, aż przestanie padać, nie miało to jednak sensu, gdyż i tak już zmókł do suchej nitki. Gdy wrócił do domu, jedynym względnie suchym miejscem była lewa wewnętrzna kieszeń marynarki, gdzie włożył szkolne karty nieznajomej, jako że przez całą drogę osłaniał je od deszczu prawą ręką i gdyby ktoś go wtedy zobaczył, mógłby pomyśleć, że cierpi na serce, tym bardziej, że miał przy tym zboląłą minę. Rozebrał się, dzwoniąc zębami i patrząc z zakłopotaniem na leżące na podłodze ubranie, nie był bowiem człowiekiem na tyle zamożnym i zasobnym w garnitury, buty, skarpetki i koszule, żeby wszystko naraz oddać do pralni, z pewnością zabraknie mu czegoś, kiedy rano będzie się ubierał do pracy. Postanowił później się nad tym zastanowić, teraz przede wszystkim musi zmyć z siebie całe to paskudztwo, najgorsze, że podgrzewacz źle działa i z prysznicą leci albo ukrop, albo lodowata woda, na samą myśl o tym aż się cały wzdrygnął i jakby chcąc dodać sobie otuchy, szepnął, Podobno taki przemienny strumień, raz zimny, raz gorący dobrze robi na przeziębienie. Wszedł do klitki, która mu służyła za łazienkę, przejrzał się w lustrze i przyznał rację taksówkarzom, na ich miejscu postąpiłby tak samo, to znaczy czym prędzej uciekł przed upiorem z głębokimi oczodołami i ustami toczącymi czarną pianę. Podgrzewacz tym razem działał nie najgorzej, po pierwszych lodowatych strugach kąpiel okazała się ciepła i krzepiąca, a krótkie smagnięcia wrzątku pomagały nawet rozpuścić brud. Po kąpeli pan José poczuł

się jak nowo narodzony, lecz gdy tylko położył się do łóżka, wróciły dreszcze i wówczas przypomniał sobie, że w szufladzie nocnej szafki ma termometr, dzięki czemu po paru minutach stwierdził, Trzydzieści dziewięć, jeśli rano będzie tak samo, nie pójdę do pracy. Czy to na skutek zmęczenia, czy gorączki, a może jednego i drugiego, wcale się nie zmartwił tym, że nie pójdzie do pracy, i co więcej, nie widział w tym nic dziwnego ani zdoznanego, zupełnie jakby w tej chwili przestał być sobą lub jakby w łóżku leżało, przykrytych po same uszy, dwóch panów José, z których jeden stracił poczucie obowiązku, a drugiemu było to całkiem obojętne. Zdrzemnął się przy zapalonym świetle, lecz po paru minutach obudził się wystraszony, gdyż przyśniło mu się, że zostawił dokumenty na strychu i zrobił to umyślnie, jakby w całej przygodzie chodziło wyłącznie o szukanie i znalezienie. Śniło mu się też, że ktoś poszedł na strych, zobaczył na krześle trzynaście kart i zapytał, Co to za tajemnicza sprawa. Niezbyt jeszcze przytomny, wstał, poszedł po karty, które podczas opróżniania kieszeni zostawił na stole i wrócił z nimi do łóżka. Były na nich brudne odciski palców, niektóre z wyraźnymi liniami papilarnymi, które powinien jutro zetrzeć, żeby udaremnić identyfikację, jednak zaraz się zreflektował, Co za bzdura, przecież na wszystkim, czego dotykamy zostawiamy odciski, tyle że niewidoczne. Zamknął oczy i po chwili znów zapadł w sen, ręka osunęła mu się na koc i parę kart ze zdjęciami dziewczynki w różnym wieku, od dziecka do podlotka, upadło na podłogę. Znalazły się tam bezprawnie, gdyż nikt nie ma prawa przywłaszczać sobie cudzych zdjęć, chyba że dostał je w prezencie, kiedy bowiem nosimy w kieszeni czyjeś zdjęcie, to tak jakbyśmy nosili część jego duszy. Tym razem pan José nieprędko się obudził i śniło mu się, że jest w szkole i wyciera odciski swoich palców, których wszędzie było pełno, na oknie, którym wszedł, w ambulatorium, w sekretariacie, w gabinecie dyrektora, w stołówce, w kuchni, w archiwum, jedynie na strychu pozostawił je nietknięte, był bowiem przekonany, że tam nikt nie zajrzy i nie zapyta, Co to za tajemnicza sprawa, szkopał jednak w tym, że wycierając widoczne ślady, zostawiał niewidoczne i jeśli dyrektor złoży doniesienie o włamaniu, a policja poważnie podejrze do śledztwa, włamywacz niechybnie trafi za kratki, jest to pewne jak dwa razy dwa cztery, lepiej nawet nie myśleć, cóż to byłby za wstyd i hańba dla dobrego imienia Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, które zostałyby splamione po wsze czasy. Pan José obudził się około północy, był rozpalony gorączką i chyba majaczył, gdyż powtarzał w kółko, Nic nie ukradłem, nic nie ukradłem, co właściwie było prawdą, jako że w szkole

nic nie zginęło, o czym dyrektor osobiście się przekonał, gdyż w wyniku licznych rozmów i narad oraz po dokładnym przeliczeniu i sprawdzeniu wszystkiego ze spisem inwentarza w ręce, w którym odhaczał kolejne pozycje, musiał w końcu stwierdzić, Kradzieży jako takiej nie było, wprawdzie kucharka na pewno powiadomiła go o brakach w lodówce, ale z uwagi na to, że nic innego nie zginęło, a kradzież jedzenia dla zaspokojenia głodu przez wielu ludzi, łącznie z dyrektorem, nie jest uważana za zbrodnię, to choć policjant kieruje się innymi zasadami, będzie jednak zmuszony umorzyć dochodzenie, mruczając pod nosem, To jakaś tajemnicza sprawa, nikt nie włamuje się do szkoły tylko po to, żeby zjeść śniadanie. W każdym razie, skoro dyrektor w pisemnym oświadczeniu formalnie stwierdził, że nie zginęło ani nic wartościowego, ani bezwartościowego, policjanci tym razem zrezygnowali z rutynowej czynności, jaką jest sprawdzanie odcisków palców. Mamy dosyć roboty, powiedział dowodzący grupą operacyjną. Mimo tych uspokajających słów, pan José do rana nie zmrużył oka z obawy, że sen się powtórzy, a policjanci wrócą tym razem z lupami i proszkiem do wykrywania odcisków.

Pan José nie ma w domu żadnego leku przeciwgorączkowego, a lekarz pewnie zjawi się dopiero po południu, bez żadnego lekarstwa, tylko przepisze jakiś środek zwykle stosowany w przypadkach przeziębienia lub grypy. Sterta brudnych ubrań nadal leży na środku pokoju, pan José patrzy na nią bezradnie, jakby to nie były jego rzeczy i tylko dzięki resztkom zdrowego rozsądku nie pyta głośno, Kto mi się tu rozebrał, w końcu jednak tenże zdrowy rozsądek zmusza go do zastanowienia się nad komplikacjami natury osobistej i zawodowej grożącymi mu w wypadku, gdyby jakiś kolega, z własnej woli bądź z polecenia szefa przyszedł zapytać o zdrowie i zobaczyłby tę kupę brudnych łachów. Kiedy wstał z łóżka, poczuł się tak, jakby ktoś podrzucił go znienacka na szczyt wysokiej drabiny, lecz tym razem zawrót głowy był nieco inny, gdyż inne były jego przyczyny, a mianowicie gorączka i osłabienie, jako że posiłki w szkole, choć wydawały mu się wystarczające, służyły raczej oszukaniu nerwów niż wzmocnieniu ciała. Z wielkim trudem, opierając się o ścianę, dowlókł się do krzesła i usiadł. Poczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie, żeby zastanowić się, gdzie schować brudne ubranie, w łazience raczej nie, gdyż lekarz przed wyjściem zawsze myje ręce, pod łóżkiem wykluczone, był to bowiem staroświecki mebel na wysokich nogach i nawet bez schylania się każdy by od razu dostrzegł leżące tam łachy, do szafy z kolekcją sławnych ludzi nie zmieści się i poza tym byłoby to niestosowne, jak widać głowa pana José, mimo ustąpienia zawrotów,

niezbyt dobrze funkcjonowała, gdyż powinno być dla niego jasne, że jedyne miejsce, gdzie brudne ubranie nie będzie narażone na wścibskie spojrzenia, znajduje się tam, gdzie przechowuje czyste ubrania, a mianowicie za zasłonką, we wnęce służącej za szafę. Pan José, zadowolony z tego, co z trudem wymyślił, mimo że w innej sytuacji byłoby to dla niego oczywiste, nie chcąc pobrudzić sobie pidżamy, zaczął popychać nogą ubranie w stronę zasłonki. Na podłodze została wielka mokra plama, która pewnie będzie schnąć przez parę godzin, gdyby jednak wcześniej ktoś przyszedł i zaczął zadawać pytania, powie, że niechcący rozlał wodę lub że próbował wyczyścić plamę na podłodze. Kiedy rozwiązał problem brudnego ubrania, poczuł, że głód skręca mu kiszki, że musi natychmiast zaspokoić wilczy apetyt, choćby filiżanką kawy z mlekiem, herbatnikiem czy kromką chleba z masłem. Chleb był suchy i twardy, masła jak na lekarstwo, mleko się skończyło, była tylko kawa, i to pośledniego gatunku, jak to u samotnego mężczyzny, którego żadna kobieta nie pokochała na tyle, żeby dzielić z nim tę norę, tacy mężczyźni, z małymi wyjątkami, o których nie będziemy tu mówić, są na ogół biedni jak mysz kościelna, ciekawe, że nie mówi się, iż ktoś jest biedny jak mysz piekielna, widać w piekle lepiej się myszom powodzi. Mimo skąpego i marnego posiłku pan José poczuł się na siłach, żeby się ogolić, po czym stwierdził, że wygląda znacznie lepiej i nawet powiedział do lustra, Chyba mam mniejszą gorączkę. W tej sytuacji, pomyślał sobie, może należałoby mimo wszystko iść do pracy, byłby to bez wątpienia rozważny i ładny gest, wystarczy, że zrobi parę kroków, wejdzie do Archiwum i po prostu powie, Służba nie druźba, a wtedy kustosz, biorąc pod uwagę jesienny chłód, wybaczy mu, że nie wszedł, jak należało, drzwiami od ulicy i może nawet w jego aktach osobowych odnotuje ten oczywisty dowód hartu ciała i ducha oraz oddania służbie. Jednak nie zrobił tego. Wszystko go bolało, mięśnie, kości, ścięgna, czuł się cały połamany, potłuczony, poturbowany, lecz nie było to bynajmniej związane z jego wspinaczkowymi i przestępczymi wyczynami, od razu bowiem zauważył, że to jakiś inny rodzaj bólu, Po prostu mam grypę, zawyrokował.

Ledwie położył się do łóżka, usłyszał pukanie do drzwi i pomyślał, że to pewnie jakiś kolega traktujący poważnie zasadę miłosierdzia chrześcijańskiego nakazującą chorych odwiedzać i więźniów pocieszać, ale nie, to nie mógł być kolega, gdyż do przerwy obiadowej było jeszcze daleko, a w godzinach pracy nie było miejsca na miłosierne uczynki, Proszę, powiedział, wtedy drzwi otworzyły się i stanął w nich ten sam kierownik,



którego poinformował o swojej chorobie, Szef kazał zapytać, czy ma pan w domu jakieś lekarstwo, powinien pan coś zażyć, nim przyjdzie lekarz, Niestety, nie dysponuję żadnym stosownym lekiem, Wobec tego proszę wziąć te pastylki, Bardzo dziękuję, jeśli pan pozwoli, zapłacę później, gdyż wolałbym nie wstawać z łóżka, proszę powiedzieć, ile jestem winien, To polecenie szefa, jemu nie zadaje się takich pytań, Oczywiście, jeszcze raz dziękuję, Byłoby dobrze, gdyby pan od razu wziął jedną pastylkę, co powiedziawszy, kierownik wszedł do pokoju, Naturalnie, dziękuję, bardzo pan łaskaw, odparł pan José, bo i co miał robić, nie mógł przecież powiedzieć, Stać, ani kroku dalej, to prywatne mieszkanie, gdyż, po pierwsze, tak się nie rozmawia z przełożonym, a po wtóre dlatego, że ani tradycja ustna, ani kroniki Archiwum nie wspominają o tym, żeby kiedykolwiek jakiś szef tak dalece troszczył się o zdrowie kancelisty, że przez umyślnego przysłał mu pastylki. Sam kierownik wyglądał na speszzonego swoją nową rolą, z własnej woli nigdy by czegoś takiego nie zrobił, jednak nie tracił kontenansu i zachowywał się jak ktoś, kto ma jasno wytyczony cel i doskonale orientuje się w terenie, co jest o tyle zrozumiałe, że przed zmianami urbanistycznymi sam mieszkał w identycznym domku. Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, była duża wilgotna plama na podłodze, Czy to rury ciekną, zapytał i mało brakowało, a pan José, chcąc uniknąć dodatkowych wyjaśnień, odpowiedziałby twierdząco, doszedł jednak do wniosku, że lepiej podać wcześniej wymyślony powód, czyli napomknąć o własnej niezdarności, lepiej, żeby nie przysłali tu hydraulika, który by potem doniósł szefowi, że rury, choć stare, nie są przyczyną mokrej plamy na podłodze. Rola mimowolnego pielęgniarza nieco złagodziła zwykle surowy wyraz twarzy kierownika, lecz gdy zbliżył się do chorego ze szklanką wody i zauważył leżące na nocnej szafce szkolne karty nieznajomej, natychmiast się nasrożył i przybrał minę osoby niemile zaskoczonej. Pan José od razu zauważył jego reakcję i miał wrażenie, że ziemia się pod nim zatrzęsła. Jego mózg błyskawicznie wysłał mięśniom ręki rozkaz, Schowaj to, idioto, ale natychmiast popłynęły nowe impulsy elektryczne korygujące niemądrą decyzję, a więc i ruch ręki, Nie ruszaj się, udawaj, że nic się nie stało. W rezultacie pan José zaskakująco żwawo, jak na kogoś osłabionego na ciele i umyśle przez ciężką grypę, usiadł na łóżku i jakby chcąc ułatwić kierownikowi spełnienie dobrego uczynku, wyciągnął rękę po tabletkę, wziął ją do ust, popił wodą, żeby jakoś przeszła przez opuchnięte, bolące gardło i korzystając z tego, że blat szafki znajdował się na wysokości materaca, oparł się łokciem na kartach, wysuwając jednocześnie do przodu szeroko rozwartą dłoń, jakby

mówił kierownikowi, Stop. Uratowała go fotografia naklejona na szkolną kartę, w zasadniczy sposób odróżniająca ją od kart osobowych w Archiwum, jeszcze tylko tego brakowało, żeby każdy żyjący obywatel dostarczał do Archiwum Głównego co rok nowe zdjęcie, a może nawet co miesiąc, co tydzień, codziennie lub co godzinę, o Boże, ależ ten czas leci, ileż byłoby z tym pracy, ilu nowych kancelistów trzeba by zatrudnić, żeby naklejać jedno zdjęcie na minutę, na sekundę, jakież byłoby zużycie kleju i nożyczek, jak starannie trzeba by dobierać pracowników, żeby wyeliminować marzycieli gotowych w nieskończoność wpatrywać się w jakieś zdjęcie jak sroka w gnat. Kierownik wyglądał jak gradowa chmura, zupełnie jak w owe pechowe dni, kiedy na biurkach piętrzą się stosy papierów i szef go wzywa, żeby zapytać, czy przypadkiem nie zapomniał o swoich obowiązkach. Dzięki fotografii nie pomyślał, że karty leżące na nocnej szafce podwładnego pochodzą z Archiwum Głównego, lecz pośpiech, z jakim pan José je zakrył, udając w dodatku, że robi to niechcący, wydał mu się podejrzany. Już ta mokra plama na podłodze mu się nie podobała, a teraz znów te dziwne karty, nigdy wcześniej takich nie widział, z naklejonym zdjęciem dziecka, jak zdążył zauważyć. Nie mógł ich policzyć, gdyż leżały na kupce, ale na oko było ich co najmniej dziesięć. Dziesięć kart ze zdjęciami dzieci, co one tu robią, to bardzo dziwne, pomyślał zaintrygowany kierownik, a byłby pewnie jeszcze bardziej zaintrygowany, gdyby wiedział, że wszystkie karty dotyczą tej samej osoby i że dwa ostatnie zdjęcia przedstawiają już podlotka o sympatycznej lecz poważnej buzi. Kierownik położył pudełko z pastylkami na nocnej szafce i wyszedł. W drzwiach obejrzał się i zobaczył, że podwładny nadal opiera łokieć na kartach, Muszę porozmawiać z szefem, postanowił. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, pan José jednym ruchem, jakby bał się, że ktoś go złapie na gorącym uczynku, wsunął karty pod materac. Nie było nikogo, kto by mu powiedział, że zrobił to za późno, a on sam wołał o tym nie myśleć.

\*

To grypa, stwierdził lekarz, na początek dam panu trzy dni zwolnienia. Kiedy pan José zwlókł się z łóżka, żeby mu otworzyć drzwi, miał zupełną pustkę w głowie i ledwie trzymał się na nogach, Przepraszam, że kazałem panu czekać, ale mieszkam sam.

Stawiając w kącie mokry parasol, lekarz narzekał na pogodę, Co za obrzydliwa ślota, po czym zapytał pana José, który szczękając zębami, wchodził do łóżka, Co panu dolega, i nie czekając na odpowiedź, stwierdził, To grypa. Zbadał puls, zajrzał do gardła, szybko dotknął słuchawkami piersi, pleców i powtórzył, To grypa, ma pan szczęście, że nie zapalenie płuc, na początek dam panu trzy dni zwolnienia, a potem zobaczymy. W chwili gdy siadał przy stole, żeby wypisać receptę, otworzyły się wewnętrzne drzwi i stanął w nich szef, Dzień dobry, panie doktorze, Jaki tam dobry, okropny, panie kustoszu, byłby dobry, gdybym w taką pieską pogodę nie musiał wychodzić z ciepłego gabinetu, Jak się miewa nasz chory, spytał kustosz, Dałem mu trzy dni zwolnienia, to tylko grypa. Ale w owej chwili panu José dolegało coś więcej niż grypa. Mimo że był przykryty po same uszy, dygotał jak w ataku malarii, a razem z nim trzęsło się żelazne łóżko, nie był to wszakże skutek gorączki, lecz nagłej paniki i zamętu w głowie, Szef tutaj, myślał, w moim domu, Jak się pan czuje, spytał szef, Dziękuję, lepiej, Zażył pan lekarstwo, które przysłałem, Tak jest, proszę pana, Trochę pomogło, Tak jest, proszę pana, Teraz przestanie pan brać te pastylki i będzie pan zażywał leki przepisane przez doktora, Tak jest, proszę pana, Chyba, że lekarz przepisał to samo, zaraz zobaczę, istotnie to samo, a do tego jeszcze zastrzyki, zajmę się tym. Pan José wprost nie mógł uwierzyć, że człowiek, który na jego oczach starannie składa receptę i chowa ją do kieszeni, jest naprawdę szefem Archiwum Głównego. Z własnego przykrego doświadczenia znał zupełnie innego szefa, niezdolnego do czegoś takiego jak zainteresowanie stanem zdrowia kancelisty, nie mówiąc już o kupnie lekarstw, to był już czysty absurd. Potrzebny będzie pielęgniarz do robienia zastrzyków, powiedział lekarz, zostawiając tę kwestię do załatwienia komuś innemu, mającemu więcej chęci i możliwości niż ten zagrypiony nieszczęśnik, chudy jak szczapa, z nie ogolonym siwym zarostem, na domiar złego mieszkający w złych warunkach, czego dowodem jest mokra plama na podłodze, najwyraźniej spowodowana ciekącymi rurami, gdyby nie tajemnica zawodowa, każdy lekarz mógłby wiele powiedzieć o ludzkiej niedoli, Zabraniam panu wychodzić z domu, dorzucił, Zajmę się tym, panie doktorze, powiedział kustosz, zadzwonię do zakładowego pielęgniarza, żeby kupił lekarstwa i przychodził robić zastrzyki, Takiego szefa jak pan, to ze świecą szukać, powiedział lekarz. Pan José skinął lekko głową, tylko tyle był w stanie zrobić, wprawdzie zawsze był posłuszny i obowiązkowy, czym się nawet szczycił, ale nigdy uniżony czy służalczy i nigdy by się nie zdobył na idiotyczne komplementy w rodzaju, To najlepszy

szef Archiwum pod słońcem, Drugiego takiego nie ma na świecie, To chodzący ideał, Dla niego, mimo zawrotów głowy, jestem nawet gotów wchodzić na tę przeklętą drabinę. Teraz pan José ma nowe zmartwienie, nie może się wprost doczekać, kiedy szef sobie pójdzie, boi się bowiem, że mógłby zostać z nim sam na sam, wystawiony na krzyżowy ogień pytań, Co znaczy ta mokra plama, Co to za karty leżały na nocnej szafce, Skąd się wzięły, Gdzie je pan ukrył, Czyje to zdjęcia. Zamknął oczy i zrobił zboląłą minę, jakby błagał, Zostawcie mnie w spokoju na tym łożu boleści, jednak szybko je otworzył, gdyż ku jego przerażeniu lekarz powiedział, Na mnie już czas, w razie pogorszenia, proszę mnie zawiadomić, w tej chwili nie widzę powodu do niepokoju, nie jest to zapalenie płuc, Będziemy w kontakcie, panie doktorze, powiedział kustosz, odprowadzając lekarza. Pan José ponownie zamknął oczy, usłyszał trzaśnięcie drzwi, I co teraz, pomyślał. Energiczne kroki kustosza zbliżały się coraz bardziej, aż wreszcie ucichły w pobliżu łóżka, Teraz na pewno mi się przygląda, pan José nie wiedział, co robić, mógł udawać, że powoli zapada w sen, jak człowiek wyczerpany chorobą, lecz zdradzało go drżenie powiek, mógł też wydać żalony, rozdzierający serce jęk, ale do grypy to nie pasuje, może jakiś głupek by się na to nabrał, ale nie taki stary wróbel jak kustosz, który z niejednego pieca chleb jadał. Otworzył oczy, kustosz stał dwa kroki od łóżka i przyglądał mu się z kamienną twarzą. Pan José wpadł, jak mu się zdawało, na zbawienny pomysł, żeby zacząć elokwentnie i wylewnie dziękować za troskę okazaną mu przez Archiwum Główne, w nadziei, że dzięki temu uniknie kłopotliwych pytań, jednak w chwili, gdy otwierał usta, żeby wygłosić zdawkowe, Doprawdy nie wiem, jak mam dziękować, szef odwrócił się na pięcie i rzekł krótko, Niech się pan kuruje, co zabrzmiało jednocześnie jak rozkaz i łagodna zachęta, tylko najlepsi szefowie potrafią tak harmonijnie łączyć sprzeczne uczucia i właśnie dlatego cieszą się zasłużonym mirem u podwładnych. Nim pan José zdążył powiedzieć, Bardzo panu dziękuję, szef był już za drzwiami, które zamknął delikatnie, jak należy w pokoju chorego. Pana José nie tylko rozboleła głowa, ale zapanował w niej straszny zamęt. Był tak rozkojarzony, że pierwszą rzeczą, jaką zrobił po wyjściu szefa, było sprawdzenie, czy karty nadal znajdują się pod materacem. Jeszcze bardziej bezsensowna była druga czynność, wstał bowiem z łóżka i zamknął na klucz drzwi prowadzące do Archiwum, zupełnie jak ktoś, kto zamyka się na dwa spusty po tym, jak mu okradziono mieszkanie. Czwartą czynnością był powrót do łóżka, poprzedzony trzecią, która była skutkiem takiego oto rozumowania, A może szef zechce jeszcze raz tu

zajrzeć, na wszelki wypadek, lepiej nie wzbudzać podejrzeń i zostawić te drzwi otwarte. Ostatnio pan José zachowuje się doprawdy jak chorągiewka na dachu.

Pielęgniarz przyszedł dopiero wieczorem. Zgodnie z poleceniem kustosza przyniósł przepisane przez lekarza tabletki i ampułki, a ponadto, ku zdziwieniu pana José, jeszcze jakąś torbę, którą ostrożnie postawił na stole, mówiąc, Jeszcze ciepłe, mam nadzieję, że nic nie rozlałem, chodziło więc chyba o jedzenie, co pielęgniarz niebawem potwierdził, dodając, Radzę zjeść, póki ciepłe, ale najpierw zrobimy zastrzyczek. Pan José nie lubi zastrzyków, szczególnie dożylnych, zawsze odwraca głowę, żeby nie patrzeć, dlatego też bardzo się ucieszył, kiedy pielęgniarz powiedział, że ukłuje go w biodro, od razu widać że to dobrze wychowany, niedzisiejszy człowiek, który nie chcąc obrażać delikatnych uszu pań, używa wyłącznie tego słowa, nigdy zaś powszechnie stosowanego określenia pośladek, nawet gdy ma do czynienia z pacjentami, dla których słowo pośladek jest śmiesznie wyszukane i wolą jego wulgarny synonim, czyli tyłek. Miła niespodzianka, jaką było jedzenie, oraz ulga z racji tego, że nie będą mu kłuć żyły, osłabiły czujność pana José, który zapomniał, lub też po prostu wcześniej nie zauważył, że spodnie od pidżamy są na kolanach pobrudzone krwią, oczywiście w rezultacie jego wspinaczkowych wyczynów. Pielęgniarz, który stał z uniesioną w górę strzykawką, zamiast powiedzieć, Proszę się odwrócić, zapytał, Co to takiego, na co pan José, od tej chwili gorący zwolennik zastrzyków dożylnych, odrzekł instynktownie, Upadłem, Ale z pana pechowiec, najpierw upadek, potem grypa, całe szczęście, że ma pan takiego szefa, proszę się odwrócić, potem obejrzę te kolana. Pan José tak bardzo podupadł na ciele i duchu, a ponadto był tak wyczerpany nerwowo, że mało brakowało, a rozplakałby się jak dziecko, gdy poczuł ukłucie igły oraz bolesne, powolne przenikanie płynu do tkanki mięśniowej, Jestem strzępem człowieka, pomyślał, i nie bez racji, gdyż istotnie był tylko nędznym robakiem, leżącym w gorączce na nędznym posłaniu, w nędznym pokoiku, z uporczywą mokrą plamą na podłodze i kompromitującym dowodem, czyli brudnym ubraniem, ukrytym za zasłonką. Niech się pan położy na plecach, zobaczymy te rany, powiedział pielęgniarz, a wtedy pan José z wielkim trudem, kaszląc i wzdychając, obrócił się na wznak, po czym uniósł nieco głowę i przyglądał się, jak pielęgniarz zawija nogawkę spodni powyżej kolana i powoli, bardzo ostrożnie, odkleja brudny bandaż, zwilżając go wodą utlenioną, na szczęście był to świetny fachowiec, który w podręcznej walizeczce nosił bogaty zestaw leków pierwszej pomocy. Pielęgniarz, niezwykle doświadczony w

leczeniu otarć skóry i różnych kontuzji, na widok kolan pana José pokręcił głową, jakby wątpił w prawdziwość jego wyjaśnienia, i z zaskakującą przenikliwością zauważył, Człowieku, chyba szorowałeś kolanami po murze, Już mówiłem, że upadłem, Czy powiadomił pan o tym szefa, To nie jest sprawa służbowa, człowiek ma prawo upaść bez wiedzy zwierzchników, Z wyjątkiem sytuacji, w której pielęgniarz przychodzi zrobić zastrzyk, a dodatkowo musi opatrywać rany, Nie prosiłem pana o to, Istotnie, nie prosił pan, ale jeśli jutro okaże się, że z powodu tych ran ma pan groźną infekcję, to kogo oskarżą o niedbalstwo i niekompetencję, oczywiście mnie, poza tym szef lubi wszystko wiedzieć, chociaż sprawia wrażenie, że nic go nie obchodzi. Jutro mu powiem, Gorąco panu doradzam, żeby pan to zrobił, w ten sposób sprawozdanie zyska potwierdzenie, Jakie sprawozdanie, Moje, Chyba zwykle otarcia skóry nie są na tyle ważne, żeby o nich pisać w sprawozdaniu, Każda rana, nawet najmniejsza, jest ważna, Kiedy moje rany się zagoją, zostaną po nich tylko niewielkie blizny, które z czasem znikną, Zgadza się, na ciele rany się goją, lecz w sprawozdaniu pozostają zawsze otwarte, nie goją się i nie znikają, Nie rozumiem, Jak długo pan pracuje w Archiwum Głównym, Prawie dwadzieścia sześć lat, Ilu szefów było w tym czasie, Z obecnym, trzech, Zdaje się, że niczego pan nie zauważył, A co miałem zauważyć, Zdaje się, że niczego pan nie dostrzegł, Nie wiem, o co panu chodzi, Kustosze mają bardzo mało pracy, tak czy nie, Owszem, wszyscy o tym wiedzą, No to niech pan się jeszcze dowie, że podczas długich godzin, gdy inni pracują, a oni próżnują, ich głównym zajęciem jest zbieranie wszelkich możliwych informacji o podwładnych i tak się dzieje od początku istnienia Archiwum Głównego, każdy kustosz to robi. Pan José drgnął, co nie uszło uwagi pielęgniarza, Ma pan dreszcze, zapytał, Tak mnie jakoś zatrzęsło, odparł pan José, Żeby panu lepiej uzmysłowić to, o czym mówię, dodam, że nawet ten dreszcz powinien znaleźć się w moim sprawozdaniu, Ale się nie znajdzie, W rzeczy samej, Domyślam się, dlaczego, Niech pan powie, Gdyż musiałby pan również napisać, że drgnąłem w chwili, gdy pan powiedział, że szefowie gromadzą dane o pracownikach Archiwum Głównego, a wtedy szef zapytałby, czemu pan o tym ze mną rozmawiał i skąd pielęgniarz posiada poufne informacje, tak pilnie strzeżone, że przez dwadzieścia pięć lat pracy w Archiwum nigdy o tym nie słyszałem, Każdy pielęgniarz jest trochę powiernikiem, choć w mniejszym stopniu niż lekarz, Sugeruje pan, że szef się panu zwierza, Ani on mi się nie zwierza, ani ja nic takiego nie sugeruję, on mi tylko wydaje polecenia, A pan je tylko wykonuje, Myli się pan, robię dużo

więcej, muszę je nie tylko wykonywać, ale także interpretować, Po co, Gdyż na ogół między tym, co zleca a tym, czego chce, jest spora różnica, Przecież przysłał tu pana celem zrobienia zastrzyku, To tylko pozory, Jeśli tak, to co się kryje pod tymi pozorami, Nie ma pan pojęcia, jak dużo można się dowiedzieć, oglądając rany, To czysty przypadek, że zobaczył pan moje rany, Czyste przypadki są bardzo pomocne, warto na nie liczyć, Cóż więc pan wyczytał z moich ran, Że skrobał pan kolanami po murze, Po prostu upadłem, Już pan to mówił, Taka informacja, nawet zakładając, że prawdziwa, na nic się nie przyda szefowi, Przyda mu się czy nie, to już nie moja sprawa, ja tylko piszę sprawozdanie, O mojej grypie już wie, Ale o poranionych kolanach nie, O plamie na podłodze też wie, Ale o dreszczu nie, Jeśli zrobił pan swoje, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan zostawić mnie samego, jestem zmęczony, muszę się przespać. Ale najpierw musi pan zjeść, mam nadzieję, że przez tę rozmowę kolacja całkiem panu nie wystygła, Kiedy człowiek leży, można się obejść bez jedzenia, Ale nie za długo, Czy to szef kazał przynieść kolację, A zna pan inną osobę, która zechciałaby to zrobić, Tak, gdyby znała mój adres, Kto to jest, Pewna starsza pani z parteru, Poranione kolana, nagły, niewyjaśniony dreszcz, starsza pani z parteru, gdybym to wszystko napisał, byłoby to najważniejsze sprawozdanie w moim życiu, Ale nie napisze pan, Owszem, napiszę, ale tylko o tym, że zrobiłem panu zastrzyk w lewe biodro, Dziękuję za opatrzenie ran, Z wielu umiejętności, jakie posiadam, tę opanowałem najlepiej. Po wyjściu pielęgniarka pan José przez parę minut leżał bez ruchu, starając się odzyskać spokój i siły. Rozmowa była bardzo trudna, pełna zasadzek i niedomówień, najmniejsze potknięcie mogło sprawić, że przyznałby się do wszystkiego, ale na szczęście bardzo starannie dobierał słowa, pilnie bacząc na ich wieloznaczność i zachowując szczególną czujność wobec tych, które wydają się jednoznaczne. Wbrew temu bowiem, co się powszechnie sądzi, znaczenie i sens to wcale nie to samo, sens jest łatwo uchwytny, wyraźny, oczywisty, sam przez się zrozumiały, skończony, by nie rzec jednoznaczny, podczas gdy znaczenie jest czymś płynnym, zmiennym, w języku roi się bowiem od słów bliskoznacznych, dwuznacznych i wieloznacznych, z których każde też ma swoje znaczeniowe rozgałęzienia a te z kolei dalsze rozgałęzienia i tak w nieskończoność, przez co znaczenie poszczególnych słów przypomina gwiazdy, pulsujące, emanujące promieniście międzygwiazdne wichury, zakłócenia magnetyczne, kosmiczne niepokoje.

Pan José wstał wreszcie z łóżka, włożył kaptcie i szlafrok, który w chłodne noce

służył mu za dodatkowe przykrycie. Mimo dokuczliwego głodu najpierw otworzył drzwi, żeby zajrzeć do Archiwum. Czuł się zagubiony, wyobcowany, jakby nie był tam od wielu dni. Ale wszystko było po staremu, wysłużona barierka, przy której załatwia się interesantów i petentów, pod nią szufladki z kartoteką żywych, dalej osiem biurków kancelistów, cztery biurka referentów, dwa kierowników, masywne biurko szefa oświetlone żółtą lampką, sięgające sufitu regały i wreszcie zastygłe w mroku archiwum zmarłych. Mimo że nikogo tam nie było, pan José zamknął drzwi na klucz. Dzięki nowym opatrunkom łatwiej mu było chodzić i rany przestały doskwierać. Usiadł przy stole i otworzył torbę, w której były dwa rondelki ustawione jeden na drugim, na wierzchu zupa, a pod spodem ziemniaki i mięso, wszystko jeszcze ciepłe. Łapczywie rzucił się na zupę, a potem już powoli, bez pośpiechu zajął się ziemniakami i mięsem. Co za szczęście, że mam takiego szefa, szepnął, wspominając słowa pielęgniarki, gdyby nie on, umarłbym tu z głodu i braku opieki, jak bezpański pies. Tak, mam szczęście, powtórzył, jakby chcąc utwierdzić się w tym przekonaniu. Pokrzepiwszy się, pan José wszedł na chwilę do klatki, która mu służyła za łazienkę, po czym wrócił do łóżka. Kiedy już prawie zasypiał, przypomniał sobie o notatniku, w którym opisał początek poszukiwań. Jutro napiszę, powiedział, lecz ta nowa potrzeba była prawie tak nagląca jak potrzeba jedzenia, dlatego poszedł po zeszyt. Włożył szlafrok, zapiął pidżamę pod samą szyję, usiadł na łóżku, owinął się w koce i zaczął opisywać wszystko, poczynając od miejsca, w którym skończył. Szef powiedział, Jeśli nie jest pan chory, to dlaczego w ostatnich dniach zaniedbuje się pan w pracy, Nie wiem, może dlatego, że źle sypiam. Pisał gorączkowo do późnej nocy.

\*

Gorączka i kaszel ustąpiły panu José nie po trzech, lecz dopiero po siedmiu dniach. Pielęgniarka codziennie robiła mu zastrzyk i przynosiła jedzenie, natomiast lekarz przychodził co drugi dzień, lecz ta niezwykła gorliwość, mówimy o lekarzu, bynajmniej nie powinna prowadzić do pochopnych wniosków, że publiczna służba zdrowia oraz opieka domowa z zasady tak dobrze funkcjonują, gdyż był to wynik wyraźnego polecenia kustosa, Panie doktorze, proszę zająć się nim tak, jakby chodziło o mnie samego, to bardzo ważne. Lekarz nie mógł pojąć przyczyny tych szczególnych względów, a tym



bardziej braku obiektywizmu w słowach kustosza, gdyż z racji obowiązków zawodowych znał jego komfortowy, wyposażony we wszelkie zdobycze cywilizacji dom, krańcowo różny od prymitywnej nory pana José, który chyba nigdy się nie golił i nie miał nawet prześcieradła na zmianę. Pan José nie był aż tak biedny, żeby nie mieć zapasowego prześcieradła, jednak z sobie tylko wiadomych powodów stanowczo odrzucił propozycję pielęgniarską, który skłonny był przewietrzyć materac i zmienić cuchnące potem i gorączką prześcieradła, W parę minut będzie pan miał świeżutkie łóżko, Tak mi dobrze, proszę sobie nie robić kłopotu, Cóż znowu, to należy do moich obowiązków, Już panu powiedziałem, że tak mi dobrze. Pan José nie mógł przecież nikomu pokazać, że między materacem a siennikiem ma schowane karty szkolne i notatnik z opisem włamania do szkoły, gdzie nieznajoma pobierała nauki jako dziecko i dorastająca panienska. Wprawdzie mógł schować je w innym miejscu, choćby w teczkach z wycinkami, lecz uczucie, że własnym ciałem chroni swoje tajemnice było tak krzepiące, a nawet ekscytujące, że nie był w stanie z tego zrezygnować. Chcąc uniknąć dalszych dyskusji z pielęgniarskim lub lekarzem, który wprawdzie nie robił żadnych uwag, lecz spoglądał z dezaprobatą na nieświeże prześcieradła i ostentacyjnie kręcił nosem na odór, jaki wydzielały, pan José któreś nocy zebrał wszystkie siły i sam zmienił prześcieradła. Mało tego, żeby nie dawać już pretekstu do poruszania tego tematu lub, co gorsza, do powiadomienia szefa o niepoprawnym niechlujstwie kancelisty, zamknął się na jakiś czas w łazience, ogolił się i umył najlepiej, jak mógł, potem z dna szuflady wyciągnął starą, lecz czystą pidżamę i wrócił do łóżka. Poczul się tak dobrze i świeżo, że postanowił, wyłącznie gwoli rozrywki, szczegółowo opisać w notatniku wszystkie zabiegi toaletowe i higieniczne, którym poddał swoje ciało. Najwyraźniej wracał do zdrowia, co też lekarz niebawem oznajmił kustoszowi, Pacjent wyzdrowiał, za jakieś dwa dni może wrócić do pracy bez obawy nawrotu choroby, na co kustosz odparł z roztargnioną miną, Doskonale.

Pan José istotnie wyzdrowiał, ale bardzo stracił na wadze, mimo strawy, którą regularnie przynosił mu pielęgniarski, wprawdzie tylko raz dziennie, za to w ilości całkowicie wystarczającej dla dorosłego osobnika, leżącego beczynnie w łóżku. Trzeba jednak wziąć pod uwagę negatywny wpływ gorączki i potów na tkankę tłuszczową, która w tym wypadku i tak była mizerna. W Archiwum Głównym nie były mile widziane jakiegokolwiek uwagi natury osobistej, zwłaszcza dotyczące zdrowia, dlatego też chudość i mizerny wygląd pana José nie stały się przedmiotem komentarzy ze strony kolegów i

zwierzchników, to znaczy ustnych komentarzy, gdyż ich spojrzenia dość wymownie świadczyły o pogardliwej litości, którą ktoś postronny, nie znający miejscowych zwyczajów mógłby mylnie zrozumieć jako dyskretną, milczącą powściągliwość. Pan José, chcąc pokazać, jak mu przykro z powodu długiej nieobecności, stawiał się do pracy jako pierwszy i musiał czekać pod drzwiami na młodszego stażem kierownika, który rano otwierał, a wieczorem zamykał podwoje Archiwum. Kierownik posługiwał się kluczem będącym kiepską kopią pierwowzoru, oryginalny bowiem klucz, zabytek sztuki barokowej, a zarazem symbol władzy, był w posiadaniu kustosza, który, jak się wydaje, nigdy z niego nie korzystał, po pierwsze z racji ciężaru i bogatej ornamentyki, co czyniło go nieporęcznym, po drugie z uwagi na niepisany, acz uświęcony tradycją protokół służbowy, zgodnie z którym musiał wchodzić do budynku jako ostatni. Jedną z wielu zagadek funkcjonowania Archiwum Głównego, którą warto by zgłębić, gdyby nie to, że bez reszty pochłania nas sprawa pana José i nieznanym kobiety, jest fakt, że mimo nękających miasto korków ulicznych, urzędnicy przychodzili do pracy zawsze w tej samej kolejności, najpierw kanceliści, bez względu na staż pracy, potem kierownik otwierający drzwi, następnie referenci, według starszeństwa, po nich drugi kierownik i wreszcie kustosz, który zresztą przychodzi, kiedy chce i przed nikim się nie tłumaczy. Na razie tylko sygnalizujemy tę kwestię.

Uczucie pogardliwej litości, którym koledzy powitali pana José, trwało tylko do przyścia szefa, czyli przez pół godziny, po czym nagle ustąpiło miejsca zawiści, prawdę mówiąc zrozumiałej, ale na szczęście nie objawiającej się w słowach ani czynach. Każdy, kto choć trochę zna naturę ludzką, nie powinien się temu dziwić. Przed paroma dniami obiegła Archiwum wiadomość, oczywiście nieoficjalnie, podawana po cichu z ust do ust, że szef okazał bezprecedensowe zainteresowanie grypą pana José, do tego stopnia, że przez pielęgniarkę posyłał mu jedzenie, nie mówiąc już o tym, że raz go odwiedził, i to w godzinach pracy, na oczach wszystkich, ciekawe, czy na tym jednym razie się skończyło. Można więc sobie wyobrazić zgorszenie pracowników, wszystkich, bez względu na rangę, kiedy kustosz po wejściu do sali, zamiast iść prosto do swojego biurka, zatrzymał się obok pana José i zapytał, czy jest już całkiem zdrowy. Było to tym bardziej szokujące, że zdarzyło się po raz drugi, wszyscy dobrze pamiętają, jak nie tak dawno temu szef zapytał pana José, czy już nie cierpi na bezsenność, jakby bezsenność pana José była zasadniczą sprawą dla funkcjonowania Archiwum Głównego. Urzędnicy, nie wierząc własnym

uszom, przysłuchiwali się tej wręcz absurdalnej wymianie zdań, pan José rozmawiał z szefem jak równy z równym, podziękował mu za opiekę, miał czelność nawet otwarcie wspomnieć o jedzeniu, co w sztywnej atmosferze Archiwum zabrzmiało niemal wulgarnie i nieprzyzwoicie, szef natomiast tłumaczył mu, że nie mógł zostawić go na łasce losu, jest przecież sam jak palec, nie ma mu kto podać nawet filiżanki rosółu i poprawić poduszek, Samotność, panie José, powiedział uroczyście kustosz, nie jest dobrą towarzyszką, wielki smutek, wielkie pokusy i wielkie błędy biorą się z tego, że człowiek jest sam, bez roztropnego przyjaciela, który mógłby coś doradzić w chwilach, kiedy bardziej niż zwykle coś nam dokucza, Nie wydaje mi się, żebym był smutny, odparł pan José, raczej jestem trochę melancholijny z natury, co wszak nie jest wadą, a jeśli idzie o pokusy, uważam, że ani wiek, ani warunki nie sprzyjają im, to znaczy ani ja ich nie szukam, ani one mnie. A co z błędami, Chodzi panu o błędy w pracy, Chodzi mi o błędy w ogóle, jako takie, błędy w pracy są wynikiem pracy i wcześniej czy później pracą się je naprawia, Cóż, mogę tylko tyle powiedzieć, że nigdy nikogo świadomie nie skrzywdziłem, A błędy wobec siebie samego, Jest ich pewnie bardzo dużo, być może dlatego właśnie jestem sam, I popełnia pan kolejne błędy, To przez samotność. Pan José, który, jak nakazywał obyczaj, wstał na widok zbliżającego się szefa, nagle poczuł, że nogi się pod nim uginają i oblewa go zimny pot. Zbladł, odruchowo oparł się o stół, lecz to nie pomogło i musiał usiąść, szepcząc, Pan wybaczy, przepraszam. Kustosz przyglądał mu się przez parę sekund z kamienną twarzą, po czym udał się na swoje miejsce. Wezwał kierownika, któremu podlegał pan José i cichym głosem wydał mu jakieś polecenie, głośno zaś powiedział, Z pominięciem referenta, co znaczyło, że wbrew zasadom, zwyczajom i tradycji, kierownik miał osobiście wykonać otrzymane przed chwilą dyrektywy. Procedura służbowa została już wcześniej naruszona, kiedy kustosz wysłał tegoż kierownika z tabletkami do pana José, co w tym przypadku mogło być usprawiedliwione obawą, że referent nie poradzi sobie z powierzoną mu misją, której celem było nie tyle dostarczenie tabletek przeciwgrypowych, co zdanie relacji z wizji lokalnej w mieszkaniu pana José. Należy przypuszczać, że referent potraktowałby ową mokłą plamę na podłodze jako coś zwykłego, powszedniego, naturalnego w zimowe słoty i prawdopodobnie uszłyby też jego uwagi szkolne karty leżące na nocnej szafce, nic więc dziwnego, że w poczuciu spełnionego obowiązku powiedziałby szefowi, Wszystko w porządku. Nie bez znaczenia jest też fakt, że obydwaj kierownicy, bezpośrednio

zaangażowani w sprawę z uwagi na aktywne uczestnictwo w niej, szczególnie zaś ten, któremu podlegał pan José, rozumieli, że w działaniach kustosza jest jakiś plan, jakaś strategia, jakiś zamysł. Co prawda nie mieli pojęcia, jaki to może być plan czy zamysł, jednak doświadczenie i znajomość osobowości szefa mówiły im, że w tej grze wszystkie jego słowa i czyny wyraźnie prowadzą do jakiegoś celu i że jeśli pan José, czy to z własnej woli, czy też przypadkiem, znalazł się na drodze prowadzącej do owego celu, to jedno z dwojga, albo służy li tylko za nieświadome narzędzie, albo to on sam jest nieoczekiwaną i zaiste zaskakującą przyczyną wszystkiego. Te przeciwstawne hipotezy i związane z nimi sprzeczne uczucia sprawiły, że kierownik przekazał panu José dyrektywę szefa takim tonem, jakby ze strony kustosza była to prośba o przysługę, a nie jasno i kategorycznie sformułowane polecenie. Panie José, powiedział kierownik, szef jest zdania, że stan pańskiego zdrowia nie jest na tyle dobry, żeby pan wrócił do pracy, wszak przed chwilą pan zemdlął, Wcale nie zemdlałem, przecież nie straciłem przytomności, to tylko chwilowe osłabienie, Nieważne, osłabienie czy omdlenie, chwilowe czy długotrwałe, chodzi o to, że Archiwum Główne życzy sobie, aby pan całkowicie wrócił do zdrowia, Postaram się jak najwięcej pracy wykonywać na siedząco i za parę dni wrócę do dawnej formy, Szef uważa, że byłoby dobrze, gdyby złożył pan podanie o krótki urlop, oczywiście niekoniecznie dwadzieścia dni z rzędu, ale powiedzmy jakieś dziesięć dni, przez ten czas niech pan wypoczywa, dobrze się odżywia, chodzi na spacer, w naszym mieście nie brak przecież ogrodów i parków, w dodatku ostatnio mamy cudowną pogodę, jestem pewien, że po takiej rekonwalescencji będzie pan nie do poznania. Pan José słuchał w osłupieniu, nie do wiary, żeby kierownik tak rozmawiał z kancelistą, to było wręcz nieprzyzwoite. Szef najwyraźniej chciał go wysłać na urlop, co już samo w sobie było intrygujące, a do tego jeszcze przejawiał niezwykłą i przesadną troskę o jego zdrowie, co razem wzięte całkowicie wykraczało poza normy zachowań przyjęte w Archiwum Głównym, gdzie urlopy planowano z aptekarską dokładnością, uwzględniając wielorakie, niekiedy tylko szefowi znane, czynniki w celu sprawiedliwego rozdziału corocznego wypoczynku. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby szef, lekceważąc obowiązujący w danym roku plan, ni stąd, ni zowąd wysłał na urlop jakiegoś kancelistę. Pan José był najwyraźniej zakłopotany. Czuł na plecach spojrzenia osłupiałych kolegów i widział, że kierownik, nie rozumiejąc jego wahania, coraz bardziej się niecierpliwi, toteż był już gotów posłusznie przytaknąć, Tak jest, proszę pana, lecz nagle się rozpromienił, gdyż pojął, jak wiele mogła

dla niego znaczyć ta dziesięciodniowa wolność od jarzma codziennej pracy, całe dziesięć dni będzie mógł poświęcić na poszukiwania, do licha z ogrodami, parkami i rekonwalescencją, niech żyje ten, kto wymyślił grypę, toteż owo rytualne, Tak jest, proszę pana, powiedział z uśmiechem, nie zważając na to, że powinien się zachowywać bardziej powściągliwie, gdyż nigdy nie wiadomo, jak kierownik to odbierze, może powie szefowi, Według mnie dziwnie to przyjął, najpierw jakby niechętnie albo jakby nie rozumiał, co do niego mówię, a potem nagle się zmienił, jakby wygrał główny los na loterii, Uważa pan, że on gra, Chyba nie, tak tylko powiedziałem, Wobec tego miał inny powód. Pan José powiedział jeszcze do kierownika, Rzeczywiście te kilka dni bardzo mi się przyda, muszę podziękować kustoszowi, Przekażę mu pańskie podziękowania, Może powinienem to zrobić osobiście, Dobrze pan wie, że nie ma takiego zwyczaju, Zważywszy jednak na wyjątkowe okoliczności, po tej jak najbardziej stosownej biurokratycznej frazie pan José odwrócił głowę w stronę kustosza, nie przypuszczając, że ten nie tylko patrzy w jego stronę, ale i przysłuchuje się rozmowie, co potwierdził tym swoim niedbałym, a zarazem kategoriycznym machnięciem ręki, jakby mówił, Proszę sobie darować te śmieszne podziękowania, niech pan pisze to podanie i idzie do domu.

Pierwszą rzeczą, jaką pan José zajął się po powrocie do domu, były ubrania schowane we wnęce, która służyła mu za szafę. Marynarka, koszula, spodnie, skarpetki, bielizna, cała ta sterta brudnych ubrań, które przez tydzień leżały zawinięte w kompletnie mokry płaszcz, zamieniła się w kupę szmat cuchnących stęchlizną i miejscami nawet pokrytych zielonkawą pleśnią. Wrzucił wszystko byle jak do plastikowego worka, upewnił się, czy dokumenty i notatnik nadal leżą między materacem a siennikiem, notatnik w głowach, dokumenty w nogach, sprawdził, czy drzwi do Archiwum są zamknięte na klucz i wreszcie zmęczony, lecz uspokojony wyszedł z domu i udał się do pobliskiej pralni, gdzie był stałym, aczkolwiek niezbyt częstym klientem. Pracownica, która rozłożyła wszystko na ladzie, nie mogła lub nie chciała powstrzymać się od krytycznej uwagi, Przepraszam, ale to wygląda, jakby leżało w błocie, na co pan José, który będąc zmuszony kłamać, postanowił trzymać się zasady prawdopodobieństwa, odparł, Zgadła pani, dwa tygodnie temu, kiedy niosłem ubrania do pralni, w miejscu, gdzie były roboty drogowe, nagle pękła mi torba i wszystko wpadło do błotnistego wykopu, pamięta pani, jak wtedy lało, Dlaczego pan od razu tego nie przyniósł, Ponieważ potem zapadłem na grypę i nie mogłem wychodzić z domu w obawie przed zapaleniem płuc, Zapłaci pan

znacznie drożej, trzeba będzie ze dwa razy to pracować, Trudno, A co pan zrobił z tymi spodniami, nie wiem, czy warto je pracować, niech pan spojrzy na kolana, szorował pan nimi po betonie, czy co. Pan José nie zauważył wcześniej, że spodnie są zaiste w opłakanym stanie, prawie przetarte na kolanach, jedna nogawka rozerwana, co przy jego skromnej garderobie stanowiło poważny uszczerbek. Nic się nie da zrobić, zapytał, Dać, to by się dało, trzeba zanieść do cerowaczki, Nie znam nikogo takiego, Możemy się tym zająć ale uprzedzam, że to nie będzie tanie, cerowaczki sporo sobie liczą, Zawsze to lepsze niż stracić spodnie, Można też przyszyć łatę, Połatane spodnie mógłbym nosić tylko w domu, w żadnym wypadku w pracy, Jasne, Jestem urzędnikiem Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, Ach, więc jest pan urzędnikiem Archiwum, powiedziała pracownica zmienionym, pełnym szacunku tonem, lecz pan José udał, że tego nie zauważył, był zły na siebie, że się wygadał, gdzie pracuje, szanujący się włamywacz nie powinien zostawiać śladów na każdym kroku, bo przypuścimy, że kobieta z pralni jest żoną sprzedawcy ze sklepu żelaznego, gdzie kupił diament szklarski, albo żoną rzeźnika, u którego kupił smalec, i że wieczorem, w trakcie zwykłej małżeńskiej pogawędki, opowiedzą sobie te drobne epizody dnia powszedniego, a jak wiadomo z dużo bardziej błahych powodów niejedynemu zbrodniarz, któremu wydawało się, że jest poza wszelkimi podejrzeniami, trafił do więzienia. Nic jednak nie wskazywało na to, żeby z tej strony groziło panu José jakieś niebezpieczeństwo, chyba że pracownica pralni była perfidną donosicielką, która dla niepoznaki powiedziała z miłym uśmiechem, że tym razem daje panu José bonifikatę i pralnia zapłaci za cerowanie, Jako dowód naszej specjalnej uwagi, z uwagi na to, że jest pan urzędnikiem Archiwum, dodała. Pan José podziękował uprzejmie, choć bez wylewności i wyszedł. Był niezadowolony. Zostawia zbyt wiele śladów w całym mieście, rozmawia ze zbyt wieloma osobami, nie tak sobie wyobrażał to dochodzenie, co jednak wcale nie było prawdą, gdyż wcześniej nic sobie nie wyobrażał, dopiero teraz przyszło mu do głowy, że powinien szukać i odnaleźć nieznajomą w taki sposób, żeby nikt niczego nie podejrzewał, jakby niewidzialny szukał niewidzialnej. Jednak na zachowanie ścisłej, absolutnej tajemnicy było za późno, jako że dwie osoby, to znaczy żona zazdrosnego męża i starsza pani z parteru, wiedziały o jego poczynaniach, co już było wystarczająco niebezpieczne, bo weźmy dla przykładu, że któraś z nich, wiedzioną chwalebny zamiarem ułatwienia mu poszukiwań, co jest obowiązkiem każdego dobrego obywatela, zjawi się w Archiwum podczas jego nieobecności i powie, Chcę rozmawiać z panem José,

Niestety, pan José jest na urlopie, Szkoda, bo mam dla niego wiadomość o osobie, której szuka, Co to za wiadomość, co to za osoba, pan José wolał nawet nie myśleć o tym, jak potoczyłaby się dalej rozmowa między żoną zazdrosnego męża a referentem, Pod ruszającą się deską w sypialni znalazłam dziennik, Znaczy gazetę, Nie, taki dziennik, jaki niektórzy ludzie lubią pisać, ja sama też prowadziłam dziennik przed wyjściem za mąż, A co ma do tego Archiwum, nas interesują wyłącznie urodzenia i zgony, Ale może to dziennik kogoś z rodziny tej kobiety, której szuka pan José, Nic mi nie wiadomo o tym, żeby pan José kogoś szukał, tak czy inaczej to nie jest sprawa Archiwum Głównego, Archiwum Główne nie interesuje się prywatnym życiem pracowników, To nie jest prywatna sprawa, pan José powiedział, że reprezentuje Archiwum, Proszę chwilę poczekać, zawołam kierownika, lecz nim kierownik podszedł do barierki, starsza pani z parteru zmieniła taktykę, życie nauczyło ją bowiem, że najlepszym sposobem na zachowanie własnych tajemnic jest dochowywanie cudzych. Kiedy pan José wróci z urlopu, proszę mu powiedzieć, że była tu staruszka z parteru, Może zechce pani podać swoje nazwisko, Nie trzeba, będzie wiedział, o kogo chodzi. Pan José odetchnął z ulgą, starsza pani z parteru jest wcieleniem dyskrecji, nigdy by nie powiedziała kierownikowi, że właśnie dostała list od chrzestnej córki. Ta grypa chyba pomieszała mi rozum, pomyślał, to czysta fantazja, nie takiego się nie zdarza, nikt nie znajduje dzienników pod podłogą, niemożliwe też, żeby po tylu latach milczenia nieznajoma przypomniała sobie o matce chrzestnej i napisała list, całe szczęście, że staruszka okazała się na tyle przytomna, że nie podała swojego nazwiska, to byłaby nitka, po której Archiwum Główne w mig doszłoby do kłębka, czyli skopiowanych kart i sfalszowanych referencji, dla nich to byłoby dziecinnie łatwe, niczym układanka według załączonego rysunku. Pan José wrócił do domu, pierwszego dnia nie miał ochoty stosować się do rad kierownika, czyli iść na spacer do parku, wystawiać bladą twarz rekonwalescenta na ciepłe promienie słońca, innymi słowy, odzyskiwać nadwątlone gorączką siły. Musiał się zastanowić nad dalszymi krokami, a nade wszystko rozwiać pewien drążący go niepokój. Zostawił swój domek na łasce Archiwum, przyklejony do cyklopich murów, które jakby lada moment miały go połknąć. Chyba w jego pustej głowie tliły się jeszcze resztki gorączki, gdyż nagle pomyślał, że taki właśnie los spotkał pozostałe urzędnicze domki, że zostały pożarte przez Archiwum w celu wzmocnienia jego murów. Pan José przyśpieszył kroku, co będzie, jeśli jego dom już zniknął, a razem z nim karty i notatnik, to byłaby prawdziwa klęska,

wszystko poszłoby na marne, tyle zachodu na nic, tyle zbędnego ryzyka. Może już stoi tam grupka gapiów i ktoś ciekawski zapyta, czy w wyniku katastrofy stracił coś cennego, a on odpowie, Tak, papiery, wtedy padną kolejne pytania, Akcje, Obligacje, Listy kredytowe, bowiem zwykli ludzie, o ograniczonych horyzontach, myślą wyłącznie o sprawach materialnych, na co on odparłby twierdząco, w myślach nadając całkiem inny sens tym słowom, akcje, które przeprowadził, obligacje, jakie zaciągnął, fałszywy list z referencjami otwierający mu kredyt zaufania.

Dom stał na swoim miejscu, wydawał się jednak dużo mniejszy, być może dlatego, że Archiwum w ostatnich godzinach zwiększyło swoje rozmiary. Wchodząc do środka, pan José schylił głowę, choć wcale nie musiał, gdyż framuga się nie obniżyła, a i on sam raczej nie urósł, nie poszły też w górę jego akcje ani obligacje, ani listy kredytowe. Przez chwilę nasłuchiwał pod wewnętrznymi drzwiami, wprawdzie nie spodziewał się usłyszeć żadnych głosów, gdyż w Archiwum pracowało się w milczeniu, chciał jedynie uwolnić się od niejasnych podejrzeń, które nękały go od chwili, kiedy szef polecił mu iść na urlop. Potem uniósł materac, wyjął karty, ułożył je na stole według dat i patrzył na trzynaście niewielkich kartoników, ukazujących szereg twarzy, małej dziewczynki, podlotka i prawie dorosłej kobiety. W ciągu tych lat rodzina trzykrotnie się przeprowadzała, lecz nigdy na tyle daleko, żeby trzeba było zmieniać szkołę. Pan José nie musiał opracowywać żadnych skomplikowanych planów działania, jedyne, co mógł teraz zrobić, to udać się pod adres odnotowany na ostatniej karcie.

\*

Wybrał się tam następnego ranka, postanowił jednak nie pytać ani aktualnych lokatorów mieszkania, ani pozostałych mieszkańców domu, czy znają dziewczynkę ze zdjęcia. Najprawdopodobniej odpowiedzieliby, że nie, że mieszkają tu od niedawna lub że sobie nie przypominają, Wie pan, jak to jest, lokatorzy ciągle się zmieniają, naprawdę nie pamiętam tej rodziny, nie warto nawet wysilać pamięci, a jeśli nawet ktoś miałby jakieś mgliste wspomnienia, to zapewne natychmiast by dodał, że jego kontakty z tą rodziną nie wykraczały poza formalne grzeczności dobrze wychowanych ludzi, Później już pan ich nie spotkał, spytałby dla pewności pan José, Nie, po tym, jak się



wyprowadzili, więcej ich nie widziałem, Szkoda, Powiedziałem wszystko, co wiem, żałuję, że nie mogę bardziej pomóc Archiwum Głównemu. Niemożliwe, żeby szczęście powtórnie mu dopisało i na parterze znów natknął się na dobrze poinformowaną i blisko związaną ze sprawą staruszkę, choć jak się okazało znacznie później, kiedy opisywane tu wypadki przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, również tym razem szczęście go nie opuściło, oszczędzając mu nader przykrych konsekwencji. Nie wiedział bowiem, że fatalnym zbiegiem okoliczności w tymże domu mieszka jeden z kierowników z Archiwum Głównego, łatwo więc można sobie wyobrazić taką oto scenkę, pan José jakby nigdy nic puka do drzwi, pokazuje zdjęcie, może nawet i fałszywe referencje, na co stojąca w drzwiach kobieta mówi perfidnie, żeby przyszedł później, kiedy mąż wróci do domu, bo to on się zajmuje takimi sprawami i pan José, z sercem pełnym nadziei, wróciłby tam wieczorem i stanąłby twarzą w twarz z zagniewanym kierownikiem, który natychmiast posłałby go do więzienia, to wcale nie są żarty, gdyż regulamin Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, którego niestety w całości nie znamy, nie toleruje najmniejszej lekkomyślności czy improwizacji. Dzięki temu, że pan José, chyba za sprawą niezwykle czujnego anioła stróża, postanowił tym razem ograniczyć swoje indagacje do okolicznych sklepów, uniknął największego blamażu w swojej długiej karierze urzędniczej. Jeśli idzie o dom, w którym nieznajoma mieszkała w czasach młodości, to ograniczył się jedynie do tego, że chwilę postać na ulicy i popatrzył w okna, spróbował też wejść w skórę prawdziwego detektywa, wyobrażając sobie, że dziewczynka z teczką w ręce wychodzi do szkoły, kieruje się na przystanek i czeka na autobus, dalej nie warto już jej śledzić, gdyż pan José doskonale wie, dokąd się udaje, ma na to niezbite dowody ukryte między siennikiem a materacem. Piętnaście minut później pojawia się ojciec, idzie w przeciwną stronę, pewnie dlatego nie towarzyszy córce w drodze do szkoły, choć przyczyna może być całkiem inna, na przykład ojciec i córka nie lubią chodzić razem, dlatego późniejsze wyjście ojca jest jedynie pretekstem lub też istnieje między nimi cicha umowa, gdyż nie chcą, żeby sąsiedzi zauważyli ich wzajemną niechęć. Pan José musi jeszcze cierpliwie poczekać, aż matka, jak to zwykle bywa, wyjdzie na zakupy i wtedy zorientuje się, jak dalej pokierować dochodzeniem, trzy domy dalej jest apteka, lecz już od progu pan José ma wątpliwości, czy otrzyma tu jakąś pożyteczną informację, gdyż magister to człowiek młody wiekiem i stażem pracy, Nie znam jej, pracuję tu dopiero dwa lata. Oczywiście pan José tak łatwo się nie zniechęca, gdyż dobrze wie, zarówno z lektury tygodników i

dzienników, jak i z własnych życiowych doświadczeń, że śledztwo na starą modłę jest bardzo uciążliwe, trzeba się przy tym porządnie nachodzić, po ulicach, zaułkach, schodach, w górę i w dół, pukać do różnych drzwi, tysiące razy zadawać to samo pytanie i otrzymywać identyczne odpowiedzi, prawie zawsze powściągliwe, Nie znam, nigdy o niej nie słyszałem, rzadko kiedy zdarzy się, że z zaplecza wyjdzie jakiś starszy, ciekawski aptekarz i zapyta, Czym mogę służyć, Szukam pewnej osoby, odparł pan José, sięgając jednocześnie do wewnętrznej kieszeni marynarki z zamiarem pokazania referencji. Nie zrobił tego jednak, gdyż ogarnął go nagły niepokój, tym razem to nie anioł stróż powstrzymał jego rękę, lecz spojrzenie aptekarza, świdrujące i ostre jak sztylet, nie pasujące do pomarszczonej twarzy i siwych włosów, takie spojrzenie zamyka usta nawet najbardziej naiwnej istocie, prawdopodobnie dlatego ciekawość aptekarza pozostaje nienasycona, im więcej chce wiedzieć, tym mniej się dowiaduje. Tak też było z panem José. Ani nie pokazał fałszywych referencji, ani nie powołał się na Archiwum Główne, tylko z innej kieszeni wyjął ostatnią szkolną kartę, którą na szczęście miał przy sobie, Nasza szkoła poszukuje tej pani z powodu dyplomu, którego nie odebrała, powiedział pan José, zachwycony swoją pomysłowością, o którą wcześniej nigdy się nie podejrzewał, był przy tym tak pewny siebie, że nie dał się aptekarzowi zbić z tropu, Czemu szukacie jej po tylu latach, Jeśli chce pan wiedzieć, szkoła ma obowiązek zrobić wszystko, by dyplom został doreczony, Tyle czasu z tym czekaliście, Prawdę mówiąc, jest to godne ubolewania niedopatrzenie z naszej strony, biurokratyczne przeoczenie, że tak powiem, wszakże na naprawę błędu nigdy nie jest za późno, Jeśli ta pani umarła, może być za późno, Mamy podstawy sądzić, że żyje, Dlaczego, Sprawdziliśmy w rejestrze, pan José bardzo się pilnował, żeby z jego ust nie padły słowa Archiwum Główne, co go uratowało, gdyż przynajmniej podczas rozmowy aptekarz nie przypomniał sobie, że pewien klient mieszkający trzy domy dalej jest kierownikiem w Archiwum Głównym. Po raz drugi pan José uniknął miecza sprawiedliwości. Wprawdzie kierownik rzadko zaglądał do apteki, gdyż wszystkie zakupy, z wyjątkiem prezerwatyw, które z racji moralnych skrupułów kupował w innej dzielnicy, robiła jego żona, trudno więc sobie wyobrazić jego rozmowę z aptekarzem, choć równie dobrze mogła tę rozmowę prowadzić jego żona, Był u mnie jakiś pracownik szkoły, który poszukuje pewnej osoby, mieszkającej przed laty w państwa domu i wspomniał, że szukali jej w rejestrze, dopiero po jego wyjściu zastanowiłem się, czemu nie powiedział po prostu w Archiwum Głównym, wyglądało na

to, że się maskował, w pewnej chwili włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, jakby chciał coś wyjąć, ale się rozmyślił i z innej kieszeni wyjął szkolną kartę immatrykulacyjną, w głowę zachodzę, co to mogło być, uważam, że powinna pani porozmawiać z mężem, nigdy nie wiadomo, na świecie teraz tyle zła, Niewykluczone, że to ten sam, który przedwczoraj stał na ulicy i patrzył w nasze okna, Taki facet w średnim wieku, trochę młodszy ode mnie, wyglądał, jakby dopiero co wstał po chorobie, Zgadza się, No właśnie, ja mam takiego nosa, że jeszcze się taki nie urodził, który by mnie nabrał, Szkoda, że nie przyszedł do mnie, powiedziałabym mu, żeby wrócił pod wieczór, jak mąż będzie w domu, i teraz już byśmy wiedzieli, co to za jeden i czego chciał, Będę mieć oczy i uszy otwarte na wypadek, gdyby znów się tu pojawił, A ja nie zapomnę opowiedzieć o tym mężowi. Istotnie nie zapomniała, jednak nie powiedziała wszystkiego, gdyż niechcący pominęła ważny, jeżeli nie najważniejszy szczegół, a mianowicie, że mężczyzna, który kręcił się wokół domu, wyglądał, jakby dopiero co wstał po chorobie. Kierownik, przywykły do tego, że nie ma skutku bez przyczyny, jako że ta zależność jest podstawową zasadą działania Archiwum Głównego, tak było od zarania dziejów, jest i będzie po wsze czasy, jako że tutaj wszystko ze wszystkim się wiąże, żywi z umarłymi, umierający z rodzącymi się, wszystkie istoty ze wszystkimi istotami, wszystkie rzeczy ze wszystkimi rzeczami, nawet wówczas, gdy jedynym ogniwem łączącym wydaje się to, co na pierwszy rzut oka je różni, a więc tenże kierownik z pewnością od razu pomyślałby o kanceliście panu José, który ostatnio bardzo dziwnie się zachowuje, na co szef nie wiedzieć czemu pozwala. Od tej nitki do kłębka byłby tylko jeden krok. Jednakże tak się nie stało, gdyż pan José więcej się tam nie pojawił. Prócz apteki był jeszcze w dziewięciu sklepach, ale tylko w trzech trafił na osoby, które na widok zdjęcia przypominały sobie dziewczynkę i jej rodziców albo może tylko tak mówiły przez grzeczność, chcąc oszczędzić rozczarowania zagryzionemu mężczyźnie, który powoływał się na nie doręczony dyplom sprzed dwudziestu lat. Pan José wrócił do domu wyczerpany i zniechęcony, nie tylko utknął już na samym początku nowej fazy dochodzenia, ale miał wrażenie, że wyrósł przed nim jakiś mur nie do pokonania. Nieszczęśnik padł na łóżko, zadając sobie pytanie, czemu nie zrobi tego, co z ledwie ukrywanym sarkazmem poradził mu aptekarz, Na pana miejscu, dawno bym rozwiązał ten problem, Jak, spytał pan José, Szukając w książce telefonicznej, w dzisiejszych czasach to najprostszy sposób, żeby kogoś znaleźć, Dziękuję za dobrą radę, już to zrobiliśmy, ale nazwisko tej pani tam nie

figuruje, odparł pan José z nadzieją, że zamknie tym usta aptekarzowi, lecz ten nie dał za wygraną, Skoro tak, niech pan idzie do urzędu skarbowego, oni tam wszystko o wszystkich wiedzą. Pan José patrzył na wścibskiego aptekarza, starając się ukryć zmieszanie, że też starsza pani z parteru o tym nie pomyślała, w odpowiedzi mruknął tylko, To dobra myśl, powiem o tym dyrektorowi, i wyszedł. Był wściekły na siebie, czuł się tak, jakby w ostatniej chwili zabrakło mu refleksu, żeby zareagować na obrazę, chciał już nawet wrócić do domu i nikogo więcej o nic nie pytać, lecz potem pomyślał z rezygnacją, Skoro nawarzyłeś piwa, to je wypij, nie przyszły mu bowiem do głowy słowa wypowiedziane przez kogo innego i w innych okolicznościach, Zabierzcie stąd ten kielich, pewnie chcecie mnie otruć. Wstąpił zatem jeszcze do drogerii, sklepu mięsnego, papirniczego, z artykułami elektrycznymi, spożywczego i tak dalej, tym razem miał więcej szczęścia, gdyż w kolejnych sklepach nikt więcej nie wspomniał o księżce telefonicznej i urzędzie skarbowym. Teraz zaś, leżąc na plecach, z rękami pod głową, patrzy w górę i rozmawia z sufitem, Co mógłbym jeszcze zrobić, na co sufit, Nic, odnalazłeś jej ostatni adres, to znaczy ostatni z czasów szkolnych, ale nie naprowadziło cię to na żaden nowy trop, oczywiście mógłbyś również obejść wcześniejsze miejsca zamieszkania, lecz byłaby to strata czasu, jeśli bowiem kupcy, którzy mogli ją pamiętać, nie udzielili żadnych informacji, to co mówić o innych, Uważasz więc, że powinienem zrezygnować, Nie widzę innego wyjścia, chyba, że zdecydujesz się pójść do urzędu skarbowego, z takimi referencjami powinno ci się udać, tym bardziej, że są to tacy sami urzędnicy jak ty, Referencje są fałszywe, Rzeczywiście, lepiej tego nie używać, nie chciałbym być w twojej skórze, jak cię złapią na gorącym uczynku, Nie możesz być w mojej skórze, bo jesteś tylko stiukowym sufitem, Ale to, co widzisz jest też moją skórą, nawiasem mówiąc, zawsze staramy się pokazywać innym tylko skórę, bo tak naprawdę sami nie wiemy, jacy jesteśmy pod spodem, Schowam te referencje, Na twoim miejscu bym podarł albo spalił ten papier, Z powrotem włożę go do teczki biskupa, Jak chcesz, Nie podoba mi się twój złowrogi ton, Mądrość sufitów jest nieskończona, Jeśli jesteś mądrym sufitem, podsuń mi jakiś pomysł, Wpatruj się we mnie, to czasem pomaga.

Pomysłem, który pan José wziął z sufitu, było przerwanie urlopu i powrót do pracy, Powiesz szefowi, że już nabrałeś dość sił i poprosisz, żeby zostawił ci resztę wolnych dni na inną okazję, kiedy wreszcie znajdziesz jakieś wyjście z tego ślepego zaułka, w który zabrnąłeś, może odkryjesz jakiś nowy trop, Szef będzie zdziwiony, że

jakiś urzędnik wraca do pracy bez potrzeby i bez wezwania, Ostatnio robiłeś dużo dziwniejsze rzeczy, Przedtem żyłem sobie tak spokojnie, to jakaś absurdalna obsesja, po co ja szukam jakiejś nieznajomej, która nawet nie wie o moim istnieniu, Ale ty wiesz o jej istnieniu, w tym cały problem, Najlepiej będzie raz na zawsze z tym skończyć, Może i tak, w każdym razie pamiętaj, że nie tylko mądrość sufitów, ale także liczba niespodzianek, jakie przynosi życie, jest nieskończona, To oklepany frazes, co chcesz przez to powiedzieć, Że dni płyną, lecz nie powtarzają się, To jest jeszcze bardziej oklepane, czyżby mądrość sufitów sprowadzała się do podobnych komunałów, spytał pogardliwie pan José, Widać nie znasz życia, skoro myślisz, że można tu coś jeszcze dodać, odpowiedział sufit i zamilkł. Pan José wstał z łóżka, schował referencje między papiery biskupa, potem wyjął notatnik i zaczął opisywać frustrujące wypadki ostatniego poranka, szczególnie podkreślając antypatyczne zachowanie aptekarza i jego przeszywające spojrzenie. Pod koniec relacji napisał, zupełnie jakby to był jego pomysł, Myślę, że najlepiej będzie, jak wrócę do pracy. W chwili gdy wkładał notatnik pod materac, przypomniał sobie, że nie jadł obiadu, ale to nie żołądek mu o tym przypomniał, tylko głowa, tak to już jest, że osoby nie przywiązujące uwagi do jedzenia z wiekiem przestają odczuwać głód. Gdyby pan José zamierzał kontynuować urlop, mógłby sobie leżeć do wieczora bez jedzenia i picia, a nawet iść spać bez kolacji lub też, szukając ucieczki od przykrej rzeczywistości, mógłby z własnej woli pograć się w stanie głębokiej apatii.

Musiał jednak się pokrzepić z uwagi na to, że postanowił nazajutrz wrócić do pracy, a za nic nie chciałby drugi raz zasłabnąć, narażając się na fałszywe współczucie kolegów i zniecierpliwienie zwierzchników. Rozmieszał dwa jajka, dodał parę plasterków kielbasy i szczyptę soli, wlał na patelnię trochę oliwy i poczekał, aż będzie odpowiednio gorąca, był to szczyt jego umiejętności kulinarnych, poza tym umiał tylko otwierać puszki. Gotowy omlet pokroił na równe kawałeczki i starał się jeść jak najwolniej, bynajmniej nie z chęci delektowania się, lecz dla zabicia czasu. Przede wszystkim nie chciał myśleć. Ów metafizyczny dialog z sufitem wymyślił sobie tylko po to, żeby zagłuszyć uczucie kompletnego zagubienia i paniki, jakie budziła w nim myśl o tym, że jeśli nie zdoła kontynuować poszukiwań nieznajomej, to nie będzie miał już w życiu nic do roboty. Dławiło go w gardle, jak niegdyś w dzieciństwie, kiedy go łajano, a on ze wszystkich sił bronił się przed płaczem, wytrzymywał najdłużej, jak mógł, aż wreszcie łzy tryskały mu z oczu, zupełnie tak samo jak w tej chwili. Odsunął talerz, położył głowę na

splecionych rękach i płakał, wcale się tego nie wstydząc, przynajmniej tym razem nie było nikogo, kto mógłby się z niego śmiać. W takich przypadkach sufity są bezradne, mogą tylko czekać, aż burza minie, strapiona dusza da upust żalom, a ciało się zmęczy. Tak też się stało i tym razem. Po kilku minutach pan José poczuł się lepiej, szybko otarł łzy rękawem koszuli i wziął się za zmywanie. Miał przed sobą całe wolne popołudnie i nic do roboty. Pomyślał, że może odwiedzi starszą panią z parteru i przynajmniej opowie jej o wszystkim, lecz doszedł do wniosku, że nie warto, powiedziała wszystko, co wiedziała, a w dodatku mogłaby zapytać, po jakie licho Archiwum Główne zadaje sobie tyle trudu z powodu zwykłego szarego człowieka, jakiejś nic nie znaczącej kobiety, on zaś nie może okazać się na tyle głupi i bezwstydnym, żeby powiedzieć, że dla Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego wszyscy są równi, wszak słońce jednako wszystkim świeci, starym ludziom lepiej nie mówić pewnych rzeczy, jeśli nie chcemy, żeby nas wyśmiali. Pan José wziął z kąta kilka starych czasopism, z których wprawdzie już powycinał wiadomości i zdjęcia, ale zawsze coś mogło umknąć, poza tym może warto zwrócić uwagę na wzmianki o ludziach, którzy mają zadatki na to, by w przyszłości wkroczyć na trudną drogę sławy. Wracał więc do swojej kolekcji.

Najmniej ze wszystkich zdziwił się kustosz. Przyszedł jak zwykle w porze, kiedy wszyscy już pracowali na swoich miejscach, jakieś trzy sekundy postał obok pana José, ale nic nie powiedział. Pan José spodziewał się, że zapyta go o przyczynę wcześniejszego powrotu z urlopu, lecz on wysłuchał jedynie wyjaśnień kierownika, po czym odprawił go szybkim ruchem prawej dłoni, w której palce wskazujący i środkowy były wyprostowane i złączone, reszta zaś nieco zgięta, co w kodzie migowym Archiwum oznaczało, że nie chce słyszeć ani słowa więcej na ten temat. Próbując uporządkować sprzeczne myśli spowodowane najpierw obawą przed pytaniami, potem zaś ulgą, że zostawiono go w spokoju, pan José starał się skupić na pracy, jako że referent położył mu na biurku dwadzieścia zgłoszeń urodzin, które należało przepisać na karty, a te z kolei włączyć w porządku alfabetycznym do kartoteki pod barierką. Było to zadanie proste, lecz odpowiedzialne, a dla pana José, jeszcze słabego na ciele i duchu, miało tę zaletę, że mógł je wykonać na siedząco. Błędy kopistów należą do gatunku trudno wybaczalnych, nie może on po prostu powiedzieć, Zamyśliłem się, gdyż to by znaczyło, że myślał nie wiadomo o czym, zamiast skupić uwagę na nazwiskach i datach, których doniosłość bierze się stąd, że dzięki nim istnienie realne staje się istnieniem legalnym. Szczególnie

ważne jest imię i nazwisko noworodka. Zwykła pomyłka, choćby zmiana pierwszej litery, może sprawić, że karta nie tylko trafi w niewłaściwe miejsce, ale co gorsza może zostać ulokowana w jakiejś bardzo odległej szufladce, co nie powinno dziwić, jako że w Archiwum Głównym Akt Stanu Cywilnego figuruje mnóstwo nazwisk, jeżeli nie wszystkie. Gdyby tak na przykład kancelista, który przed laty wpisał do karty imię pana José, pod wpływem podobieństwa w wymowie pomylił się i napisał Jos , trzeba by było sporo si  naszukać, żeby odnaleźć zabl kaną kartę i dokonać w niej któregoś z trzech rutynowych wpisów dotyczących małżeństwa, rozvodu i śmierci, nawiasem mówiąc, pana Jos  dotyczyłby jedynie ten trzeci, nieunikniony, gdyż dwóch pierwszych zdołał uniknąć. Dlatego też pan Jos  ze zdwojoną uwagą, litera po literze, przepisuje wszystkie dane potwierdzające istnienie powierzonych mu nowo narodzonych istot, przepisał ju  szesnaście zgłoszeń i w chwili gdy spojrzal na siedemnaste, r ka mu zadrzała, w oczach pociemniało, a na czoło wystąpił pot. Widniejące na zgłoszeniu nazwisko osobnika płci żeńskiej różniło się bowiem od nazwiska nieznajomej kobiety jedynie ostatnim członem, który zresztą zaczynał się na tę samą literę. Najprawdopodobniej więc obydwie karty będą ze sobą sąsiadować w kartotece, dlatego też pan Jos , jakby nie mogąc się doczekać upragnionego spotkania, ledwie sporządził kartę, wstał, pobiegł do stosownej szufladki i nerwowo przebijając palcami, znalazł wreszcie miejsce, którego szukał. Karty nieznajomej nie było. W głowie poczuł przeszywający blysk. Umarła. Pan Jos  doskonale wiedział, że brak karty niechybnie oznacza śmierć danej osoby, on sam w ciągu dwudziestu pięciu lat pracy wyjął z kartoteki i przeniósł do archiwum zmarłych niezliczoną liczbę kart, teraz jednak, wbrew wszelkiej logice, nie chce pogodzić się z myślą, że karta zniknęła właśnie z tej przyczyny, a nie przez to, że jakiś roztargniony kolega włożył ją w niewłaściwe miejsce, trochę bliżej lub trochę dalej niż powinien, zrozpaczony pan Jos  próbuje sam siebie oszukać, choć dobrze wie, że od wieków w Archiwum Głównym nie zdarzyło się, żeby w tej kartotece jakaś karta znalazła się w niewłaściwym miejscu, jest wprawdzie jeszcze jedna jedyna możliwość, a mianowicie, że nieznajoma żyje, lecz jej karta znajduje się w tej chwili na którymś z biurka celem dokonania nowego wpisu, Może po raz drugi wyszła za mąż, pomyślał pan Jos  i niespodziewana przykrość, jaką mu sprawiła ta myśl, przesłoniła na chwilę jego trwogę. Nie bardzo wiedząc, co robi, włożył wypisaną przez siebie kartę na miejsce tej, która zniknęła i na drżących nogach wrócił do biurka. Nie mógł zapytać kolegów, czy

przypadkiem nie mają karty tej pani, nie mógł krążyć wokół ich biurka i spoglądać ukradkiem na leżące tam papiery, jedyne, co mógł zrobić, to obserwować, czy ktoś nie włoży do tej właśnie szufladki małego prostokątnego kartonika, wyjętego przez pomyłkę lub z jakiegoś innego powodu, mniej rutynowego niż śmierć. Czas płynął, minął ranek, nadeszła pora obiadu ale pan José nie był w stanie prawie nic przełknąć, pewnie ma problemy z gardłem, tak często coś go dławi, ściska, dusi. Do końca dnia żaden kolega nie otworzył tej szufladki, żadna zagubiona karta nie wróciła na swoje miejsce, nieznajoma umarła.

\*

Tej nocy pan José wrócił do Archiwum. Wziął kieszonkową latarkę i stumetrowy kłębek mocnego sznurka. Do latarki włożył nową baterię, która powinna starczyć na wiele godzin nieprzerwanej pracy, gdyż przykre doświadczenia związane z włamaniem do szkoły nauczyły go, że w życiu trzeba być na wszystko przygotowanym, zwłaszcza jeśli człowiek schodzi z drogi cnoty i wkracza na kręte ścieżki przestępstwa. Może się przecież zdarzyć, że żaróweczka się przepali lub soczewka, która ją chroni i wzmacnia strumień światła, wypadnie z oprawki albo po prostu cała, dobrze funkcjonująca latarka wpadnie w jakąś dziurę, gdzie pan José nie sięgnie ani ręką, ani jakimś drutem, wówczas z braku prawdziwej nici Ariadny, której nie ośmielił się wziąć, mimo że szuflada w biurku szefa, gdzie jest przechowywana wraz z mocną latarką, nie jest zamykana na klucz, pan José posłuży się kłębkem zwykłego sznurka kupionego w drogerii, dzięki czemu będzie mógł bezpiecznie wrócić z królestwa zmarłych, dokąd się wybiera. Jako urzędnik Archiwum Głównego pan José ma dostęp do wszystkich dokumentów stanu cywilnego, które, jak wiadomo, stanowią podstawę jego pracy, może więc komuś wydać się dziwne, że stwierdziwszy brak karty, po prostu nie powiedział referentowi, Idę tam, żeby odszukać kartę zmarłej kobiety. W takim wypadku bowiem nie wystarczy powiadomić zwierzchnika, trzeba mu jeszcze podać administracyjnie uzasadnioną i biurokratycznie logiczną przyczynę, a przecież na pytanie referenta, Po co panu ta karta, nie mógłby odpowiedzieć, Chcę się upewnić, że umarła, jeszcze by tego brakowało, żeby Archiwum Główne zaczęło zaspokajać podobne zachcianki, tyleż niezdrowe, ile nieproduktywne.



Najgorsze jednak było to, że w chaosie, jaki panował w archiwum zmarłych, pan José podczas nocnej wyprawy mógł wcale nie odnaleźć papierów nieznajomej. Zważywszy na to, że chodzi o niedawny zgon, w zasadzie papiery powinny znajdować się w miejscu pospolicie zwanym wejściem, problem jednak tkwi w tym, żeby jasno określić, gdzie znajduje się owo wejście do archiwum zmarłych. Byłoby zbytnim uproszczeniem twierdzić, jak sądzą niepoprawni optymiści, że teren zmarłych zaczyna się tam, gdzie się kończy teren żywych i vice versa, być może tak się dzieje w świecie zewnętrznym, gdzie poza wyjątkowymi sytuacjami, które jednak wcale nie są tak wyjątkowe, jak by się mogło wydawać, takimi, jak klęski żywiołowe czy konflikty zbrojne, nie ma zwyczaju, żeby na ulicach żywi mieszały się ze zmarłymi. Jednakże w Archiwum Głównym z przyczyn strukturalnych, choć nie tylko, może się to zdarzyć i istotnie się zdarza. Jak już wcześniej wyjaśniliśmy, od czasu do czasu, gdy zator spowodowany przez ciągły, niepoohamowany napływ zmarłych zaczyna utrudniać poruszanie się po korytarzach, co w konsekwencji uniemożliwia jakąkolwiek kwerendę archiwalną, nie ma innej rady, jak zburzyć tylną ścianę i parę metrów dalej zbudować nową. Przez zapomnienie nie wspomnieliśmy wówczas o dwóch fatalnych skutkach owych zatorów. Po pierwsze, podczas budowy nowej ściany jest rzeczą nieuniknioną, że karty i teczki osób niedawno zmarłych, z powodu braku własnego miejsca w głębi budynku zbliżają się niebezpiecznie, a nawet stykają się z dokumentami osób żywych, które układa się na tych samych regałach, tyle że na przeciwległym brzegu półki, co bywa niekiedy przyczyną delikatnych sytuacji z powodu mylenia tych, którzy jeszcze żyją z tymi, co już umarli. Po drugie, kiedy ściana już jest wzniesiona, dach przedłużony i archiwizacja zmarłych mogłaby wreszcie przebiegać normalnie, owo, by tak rzec, przygraniczne zamieszanie uniemożliwia, a w każdym razie bardzo utrudnia przeniesienie wszystkich, za przeproszeniem, martwych intruzów do ciemnicy w głębi budynku. Oprócz wyżej wymienionych, dodatkowym utrudnieniem jest jeszcze to, że dwaj nowi kanceliści, o co nikt ich wcale nie podejrzewa, być może z braku odpowiedniego przygotowania zawodowego, a może z racji braku zasad etycznych, potrafią byle gdzie rzucić zmarłego, nawet nie zadając sobie trudu, żeby sprawdzić, czy w głębi budynku nie znajdzie się dla niego jakieś miejsce. Jeśli więc tym razem szczęście panu José nie dopisze, jeśli nie pomoże mu przypadek, to w porównaniu z tym, co go tu czeka, włamanie do szkoły, mimo całego ryzyka, było zwykłą przechadzką.

Można by zapytać, po co panu José aż stumetrowy sznurek, skoro długość

budynku po kolejnych rozbudowach nie przekracza osiemdziesięciu metrów. Takie wątpliwości może mieć tylko ktoś, kto sądzi, że w życiu można wszystko robić, poruszając się wyłącznie po linii prostej, i że z jednego miejsca do drugiego zawsze można dojść najkrótszą drogą, być może niektórzy ludzie z zewnątrz myślą, że im się to udało, lecz tutaj, gdzie żywi dzielą terytorium z martwymi, trzeba czasem sporo kluczyć, żeby odnaleźć któregoś z nich, obchodząc góry teczek, kolumny akt, sterty kart, masywy butwiejących staroci, zagłębiać się w posępne wąwozy, między zbocza brudnego papieru, stykające się gdzieś w górze, zostawiając za sobą, niby kręty, delikatny, odcisnięty w kurzu ślad, dziesiątki metrów rozwijanego stopniowo sznurka, to jedyny sposób, żeby wiedzieć, gdzie jeszcze się nie było, oraz żeby znaleźć drogę powrotną. Pan José przywiązał jeden koniec sznurka do nogi biurka szefa, bynajmniej nie z braku szacunku, lecz z chęci zyskania paru metrów, natomiast drugi koniec do kostki własnej nogi i rzuciwszy za siebie kłębek, rozwijający się z każdym krokiem, ruszył jednym z głównych korytarzy archiwum żywych. Postanowił rozpocząć poszukiwania w głębi budynku, gdzie teoretycznie powinny znajdować się akta i karta nieznanego, choć z wymienionych wyżej przyczyn jest mało prawdopodobne, by ich archiwizacja została prawidłowo wykonana. Pan José był urzędnikiem z innej epoki, wychowanym w dawnej dyscyplinie i wpojone mu surowe zasady wykluczały pójście na ustępstwa wobec nieodpowiedzialnych młodych ludzi, czyli rozpoczęcie poszukiwania w miejscu, gdzie jakiś zmarły mógł być złożony jedynie w wyniku świadomego i skandalicznego lekceważenia podstawowych reguł archiwistyki. Zdawał sobie sprawę z tego, że największą trudnością, jaką będzie musiał pokonać, jest brak światła. Prócz biurka szefa, oświetlonego wiszącą nad nim bladą lampką, całe Archiwum tonie w nieprzeniknionych ciemnościach. Zapalenie wszystkich świateł, mimo że dość anemicznych, było bardzo ryzykowne, gdyż jakiś uważny policjant robiący obchód dzielnicy lub jakiś dobry obywatel, z tych, co to troszczą się o bezpieczeństwo publiczne, mógłby dostrzec mglistą światłość w wysokich oknach i narobić alarmu. Dlatego też pan José musi się zadowolić małą świetlną plamą, która kołysze się przed nim w rytm kroków i drżenia ręki trzymającej latarkę. Co innego iść do archiwum zmarłych w godzinach pracy, kiedy w pobliżu są koledzy, wprawdzie, jak wiemy, niezbyt solidarni, ale w razie niebezpieczeństwa lub załamania nerwowego na pewno przyszliby mu z pomocą, szczególnie, gdyby szef polecił, Zobaczcie, co się z nim dzieje, a zupełnie co innego ciemną nocą zapuścić się w te katakumby ludzkości, gdzie

człowieka zewsząd otaczają imiona i słychać jakiś szum, ni to poszeptywanie papierów, ni to szmer głosów, trudno powiedzieć.

Pan José doszedł do końca regałów żywych i teraz szuka przejścia w głąb budynku, które w zasadzie, według projektu zagospodarowania przestrzennego, powinno przebiegać wzdłuż osi środkowej, która geometrycznie dzieli prostokątny zarys budynku na dwie równe części, jednakże osunięcia akt, które ciągle się zdarzają, mimo tego, że się je podpira, zamieniły to, co miało służyć jako bezpośrednie i łatwe przejście, w plątaninę ścieżek i drózek, gdzie co krok natrafia się na przeszkody i ślepe zaułki. W ciągu dnia, przy zapalonych wszystkich światłach, można względnie łatwo utrzymać właściwy kierunek, wystarczy baczyć na to, którędy się idzie i wybierać przejścia, gdzie jest mniej kurzu, co oznacza, że są często używane, w każdym razie do tej pory nie zdarzyło się, żeby urzędnik nie wrócił z takiej wyprawy, choć bywało, że ktoś najadł się strachu lub przyczynił innym troski z powodu przeciągającej się nieobecności. Pan José wybrał nie najlepszą latarkę, gdyż wydaje się, że jest źródłem jakichś dodatkowych cieni, skoro już nie chciał wziąć latarki kustosa, to powinien był kupić jeden z tych nowoczesnych reflektorów, które oświetlą nawet koniec świata. Właściwie nie obawia się, że zabłądzi, w jakiejś mierze uspokaja go sznurek, który czuje na kostce, lecz jeśli zacznie krążyć, kluczyć, kręcić się w kółko, to się zamota jak kokon, utknie w miejscu, będzie musiał zawrócić i zacząć od początku. Parę razy już był zmuszony to zrobić, gdy cienki sznurek ugrzązał w stosie papierów, przez co nie mógł ruszyć z miejsca. Trudno się dziwić, że przy tylu problemach i komplikacjach pan José posuwa się bardzo wolno i że nie na wiele przydaje mu się znajomość topografii, tym bardziej, że właśnie przed chwilą na drogę, którą wybrał, osunęła się sterta akt, zagrządzając ją na wysokość mężczyzny, wzbijając gęsty tuman kurzu i wypłaszając chmurę przerażonych moli, które w świetle latarki wydawały się przezroczyste. Pan José nienawidzi tych owadów, które na pierwszy rzut oka robią wrażenie stworzonych dla ozdoby świata, nienawidzi również rybików, od których się tu roi, przez to całe żarłoczne robactwo zaginęła pamięć o tylu rzeczach, tyle dzieci straciło rodziców, tyle spadków wpadło w chciwe ręce władzy państwowej z braku dowodów prawnych, jak tu bowiem dowieść, że stosowny dokument został zjedzony, poplamiony, obgryziony, pożarty przez robactwo, które pleni się w Archiwum Głównym, co należałoby uwzględnić choćby z przyczyn czysto humanitarnych, jednakże to nie przemawia do kuratora wdów i sierot, który wszak powinien im pomagać, a wcale tego

nie robi. Albo znajdzie się papier, albo po spadku. Jeśli idzie o szczury, to lepiej nie mówić o stratach, jakie powodują. Choć z drugiej strony, mimo wielkich szkód, te gryzonie są w pewnym stopniu pożyteczne, gdyż bez nich Archiwum Główne dawno by popękało w szwach lub byłoby dwa razy większe. Wprawdzie może się komuś wydać dziwne, że jeszcze nie rozmnożyły się do tego stopnia, żeby pożreć wszystkie archiwalia, tym bardziej że wiadomo, iż stuprocentowa deratyzacja jest niemożliwa. Być może dzieje się tak dlatego, że w tym środowisku, które zwierzęta same sobie wybrały lub rzucił je tu zły los, z powodu braku wody i niedostatecznej wilgotności są one skazane wyłącznie na suche pożywienie, którego konsekwencją jest stopniowy zanik mięśni organów płciowych, co bardzo negatywnie wpływa na zdolności kopulacyjne. Jednakże powyższe wyjaśnienie nie wszystkich przekonuje i jego przeciwnicy twierdzą, że mięśnie nie mają tu nic do rzeczy, tak więc sprawa pozostaje otwarta.

Pan José, cały zakurzony, z grubymi strzępami pajęczyn zwisającymi z włosów i ramion, dotarł wreszcie do wolnej przestrzeni między ostatnim rzędem archiwaliów a tylną ścianą budynku, był to nieregularny trzymetrowy korytarz, który łączył boczne ściany i z każdym dniem stawał się coraz węższy. Panowały tam nieprzeniknione ciemności. Jeżeli nawet światło z ulicy zdołałoby się przedrzeć przez ostatnie okienka w bocznych ścianach, najbliższe tego miejsca i podobnie jak wszystkie inne pokryte grubą warstwą brudu od wewnątrz i z zewnątrz, to i tak tutaj by nie dotarło z powodu sięgających sufitu stert akt powiązanych w paczki. Jeśli idzie o tylną ścianę, to z niewiadomych przyczyn jest ona ślepa, pozbawiona nawet najmniejszego okienka, które mogłoby teraz wspomóc słaby blask latarki. Architekci, powołując się na mało przekonujące względy estetyczne, z niepojętym uporem odmawiają modyfikacji historycznego projektu i nie zgadzają się na wstawienie okien przy okazji przesuwania ściany, choć dla każdego laika jest jasne, że przemawiają za tym względy praktyczne. Szkoda, że ich tu teraz nie ma, burknął pan José, przekonaliby się, jaki to kłopot. Stosy papierów ułożone po obydwu stronach głównego przejścia są różnej wysokości, karta i akta nieznanym mogą znajdować się w każdym z nich, choć jeśli się założy, że kancelista, który je przyniósł, kierował się zasadą najmniejszego wysiłku, jest wielce prawdopodobne, że złożył je na którymś z niższych stosów. Niestety, w tej naszej zdezorientowanej ludzkości nie brak różnych pomyłków, toteż niewykluczone, że urzędnik, który przynosił dokumenty nieznanym, jeżeli w ogóle je tu położył, mógł z

czystej złośliwości i przekory wejść na największą z używanych w Archiwum drabin i położyć papiery na samym szczycie najwyższej sterty. Tak to jest na tym świecie.

Metodycznie, bez pośpiechu, jakby przypominając sobie gesty i ruchy z owej nocy spędzonej na szkolnym strychu, kiedy nieznajoma najprawdopodobniej jeszcze żyła, pan José rozpoczął poszukiwania. Na stercie, którą przeglądał, było znacznie mniej kurzu, co jest zrozumiałe z uwagi na to, że codziennie docierają tu wciąż nowe karty i akta zmarłych, można by więc powiedzieć, używając przenośni w złym guście, że w głębi Archiwum Głównego zmarli są zawsze czysti. Jedynie na górze, gdzie papiery, jako się rzekło, dotykają sufitu, pył, który czas osadza, powoli nawarstwia się na pył czasu, toteż żeby odczytać napisy na teczkach, trzeba go najpierw energicznie strząsnąć. Jeśli pan José nie znajdzie w niższych warstwach tego, czego szuka, będzie zmuszony wejść na drabinę, ale na szczęście tylko na chwilę, gdyż wystarczy przesunąć latarką po papierach, żeby stwierdzić, czy w ostatnich dniach coś nowego doszło, więc pewnie nawet nie zakręci mu się w głowie. Jeśli założyć, co jest wielce prawdopodobne, że śmierć nieznajomej nastąpiła w ostatnim czasie, podczas jego dwóch nieobecności w pracy, najpierw z powodu tygodniowej choroby, a potem jednodniowego urlopu, to będzie można dość szybko przejrzeć dokumenty w każdym ze stosów, a gdyby nawet zmarła wcześniej, wkrótce po pamiętnym dniu, kiedy znalazł jej kartę, nie jest to na tyle długi okres, żeby dokumenty zostały przywalone dużą stertą innych akt. Powyższe analizy możliwych sytuacji, systematyczne rozważania i szczegółowe refleksje na temat

tego, co jasne i ciemne, proste i zagmatwane, czyste i brudne, zostały przekazane zgodnie z procesami myślowymi zachodzącymi w głowie pana José. Wprawdzie ich wyjaśnienie, a ściślej mówiąc, odtworzenie, trwało może zbyt długo, lecz było to nieuniknione zarówno z racji złożoności istoty i formy wspomnianych czynników, jak i z powodu specyfiki rozumowania naszego kancelisty. Którego czeka teraz ciężka próba. Posuwając się krok za krokiem wąskim korytarzem utworzonym, jak już wspomniano, z jednej strony przez sterty papierów, a z drugiej przez tylną ścianę budynku, pan José powoli zbliża się jednej z bocznych ścian. Obiektywnie rzecz biorąc, trudno uznać za wąski korytarz mający prawie trzy metry szerokości, jednakże biorąc pod uwagę stosunek szerokości do długości, która, przypomnijmy, jest równa długości ściany szczytowej, należałoby zapytać, jak to możliwe, że w tej zamkniętej, dusznej przestrzeni, pan José, który wszak cierpi na pewne zaburzenia natury psychicznej, objawiające się zawrotami

głowy i bezsennością, nie dostał jeszcze ostrego ataku klaustrofobii. Być może zawdzięcza to właśnie ciemnościom, które nie pozwalają dojrzeć granic tej przestrzeni, ani bliższych, ani dalszych, a przed sobą widzi jedynie swojską, dodającą otuchy masę papierów. Pan José nigdy jeszcze tak długo tu nie przebywał, zwykle składał tylko dokumenty jakiegoś dokonanego żywota i zaraz wracał w bezpieczne miejsce, czyli do swojego biurka, w dodatku tym razem, od chwili gdy wszedł do archiwum zmarłych, nie może oprzeć się niepokojącemu wrażeniu, że prócz niego ktoś tam jeszcze jest, co tłumaczy sobie niejasnymi obawami przed nieznanym i niewidzialnym, drzemiącymi w każdym, nawet najbardziej odważnym człowieku. Tego, co nazywamy strachem, pan José nie czuł, póki nie doszedł do końca korytarza i stanął przed zamykającą go ścianą. Schylił się, żeby obejrzeć papiery leżące na podłodze, mogły to być przecież dokumenty nieznajomej, rzucone byle jak przez niedbałego urzędnika i nagle, nim zdążył na nie zerknąć, z pana José, pięćdziesięciodwuletniego kancelisty w Archiwum Głównym Akt Stanu Cywilnego, przemienił się w małego chłopca z pierwszej klasy, w dziecko, które nie chce spać, gdyż co noc śni mu się zawsze ten sam koszmarny sen, stoi właśnie w takim kącie, przyparty do muru, a gdzieś hen, daleko, na drugim końcu korytarza leży ukryty w ciemności zwykły, mały kamień. Kamień powoli rośnie, chłopiec nie widzi tego na własne oczy, lecz pamięć o snach mówi mu, że kamień tam jest, że rośnie i porusza się jak żywy, rozlewa się w górę i na boki, wpełza na ściany, sunie w jego stronę, przewalając się, jakby to nie był kamień, lecz błoto, nie błoto, lecz gęsta krew. Dziecko zawsze budziło się z krzykiem, gdy obrzydliwa masa dotykała jego stóp i przerażenie ścisnęło je za gardło, jednak biedny pan José nie może się obudzić, gdyż to już nie jest jego sen. Skulony pod ścianą, niby przestraszony pies, drżącą ręką kieruje latarkę na drugi koniec korytarza, lecz światło nie sięga tak daleko, zatrzymuje się w połowie drogi, mniej więcej na wysokości przejścia do archiwum żywych. Przychodzi mu na myśl, że szybki bieg uchroniłby go przed zbliżającym się kamieniem, lecz strach ostrzega, Uważaj, skąd możesz wiedzieć, czy kamień nie zaczął się tam na ciebie, wpadniesz prosto do jaskini lwa. We śnie ruchowi kamienia towarzyszyła dziwna, jakby zrodzona z powietrza muzyka, lecz teraz panuje cisza, głucha, całkowita i tak głęboka, że tonie w niej nawet oddech pana José, podobnie jak w ciemnościach tonie światło latarki. Właśnie utonęło na dobre. Pan José miał wrażenie, że ciemność gwałtownie na niego natarła i przyssała się do twarzy jak cięte bańki. W tej samej chwili skończył się dziecięcy koszmar. Zaiste niezgłębione są tajniki

ludzkiej duszy, kiedy bowiem pan José przestał widzieć mury, które go więziły, odebrał to tak, jakby naprawdę przestały istnieć, jakby przestrzeń wokół niego stała się szeroka, wolna, bezkresna, jakby kamienie były jedynie nieruchomym zlepkiem minerałów, jakby błoto powstawało tylko z wody, jakby krew płynęła wyłącznie w jego żyłach. Kiedy koszmar z dzieciństwa ustąpił, ogarnął go paraliżujący strach przed tym, że może umrzeć w tym kącie, wyobraził sobie, że leży martwy wśród papierów zmarłych, podobnie jak niegdyś sobie wyobrażał, że leży martwy na skutek upadku z drabiny, przygnieciony ciemnością i lawiną, która niebawem spadnie z góry, że znajdą go dopiero nazajutrz, Pan José nie przyszedł do pracy, gdzie on się podział, Znajdzie się, i kiedy ktoś pójdzie odnieść kolejne akta, zobaczy go w świetle latarki dużo lepszej niż ta, która zawiodła w chwili, gdy była najbardziej potrzebna. Minęło parę minut, nim w panu José odezwał się głos, który mówił, Człowieku, przecież do tej pory prócz strachu nic złego cię nie spotkało, siedzisz sobie, cały i zdrowy, wprawdzie latarka zgasła, ale po co ci ona, masz przecież sznurek z jednej strony przywiązany do kostki, a z drugiej do biurka szefa, jesteś bezpieczny jak noworodek połączony pępowiną z macicą matki, oczywiście szef to nie matka, lecz tutaj stosunki międzyludzkie są skomplikowane, zrozum, że koszmary z dzieciństwa nigdy się nie urzeczywistniają, a tym bardziej senne marzenia, ta historia z kamieniem była naprawdę straszna, ale pewnie ma jakieś naukowe wytłumaczenie, podobnie jak twoje sny o lataniu, w których rozpościerałeś ręce i szybowałeś raz niżej, raz wyżej nad ogrodami, pamiętasz, to znaczyło, że rośniesz, ten kamień też pewnie coś znaczył, jeśli już trzeba przeżyć jakiś koszmar, to im wcześniej, tym lepiej, poza tym powinieneś przecież wiedzieć, że tu nie ma prawdziwych zmarłych, to makabryczna przesada, żeby mówić o archiwum zmarłych, jeśli papiery, które trzymasz w ręku dotyczą nieznanym, to są przecież tylko papiery, a nie kości czy gnijące ciało, wszak to w twoim Archiwum Głównym dokonuje się cud przemiany życia i śmierci w papiery, wiem, że chciałeś odnaleźć tę kobietę, ale się spóźniłeś, nawet to ci się nie udało, nie wiedziałeś, czego chcesz, chciałeś i bałeś się, jak to często bywa, mogłeś przecież iść do urzędu skarbowego, jednak nie skorzystałeś z dobrej rady, teraz już po wszystkim, zostaw ją tutaj, jej ostatnia godzina już wybiła, twoja także się zbliża.

Powoli, bardzo ostrożnie, by nie poruszyć chwiejnej ściany wzniesionej z papierów, która była tuż obok, pan José zaczął wstawać. Głos, który przed chwilą do niego przemawiał, znów się odezwał, Człowieku, nie bój się, przecież ciemności, które cię

otaczają, wcale nie są gorsze od tych, jakie masz wewnątrz ciała, to są po prostu dwie ciemności oddzielone skórą, założę się, że nigdy o tym nie pomyślałeś, cały czas nosisz w sobie ciemność i wcale cię to nie przeraża, przed chwilą mało brakowało, a zacząłbyś krzyczeć tylko dlatego, że wyobraziłeś sobie jakieś niebezpieczeństwo, że przypomniał ci się koszmarny sen z dzieciennych lat, mój drogi, musisz nauczyć się żyć z zewnętrzną ciemnością, tak jak nauczyłeś się żyć z wewnętrzną, a teraz proszę cię, wstań wreszcie, schowaj latarkę do kieszeni, jest do niczego, schowaj też te papiery, skoro już się uparłeś, żeby je zabrać, włóż je pod marynarkę albo nawet jeszcze lepiej pod koszulę, chwyć mocno za sznurek, zwijaj go w miarę posuwania się, żeby ci się nie zaplątał wokół nóg i ruszaj naprzód, nie bądź tchórzem, bo to najgorsze ze wszystkiego. Ocierając się lekko ramieniem o papierową ścianę, pan José zrobił nieśmiało dwa kroki. Ciemności rozstąpiły się niczym czarna woda i natychmiast się za nim zamknęły, zrobił kolejny krok, potem jeszcze jeden i już miał zwinięte pięć metrów sznurka, szkoda, że nie ma trzeciej ręki, którą mógłby badać powietrze przed sobą, ale jest na to rada, wystarczy wyciągnąć przed siebie obydwie ręce służące mu za motowidło, czyli tę, która zwija, i tę, na którą zwija sznurek. Przez całą drogę powoli spadały mu na głowę papiery, jeden, drugi, trzeci, jakby ktoś rzucił je na pożegnanie. Kiedy wreszcie dotarł do biurka szefa, zanim odwiązał sznurek, wyjął spod koszuli teczkę, którą podniósł z ziemi i kiedy zobaczył, że są to akta nieznanego, poczuł tak silne wzruszenie, że nie usłyszał trzaśnięcia drzwiami, jakby ktoś właśnie wyszedł z Archiwum.

\*

O tym, że czas psychiczny różni się od czasu matematycznego, podobnie jak o paru innych mniej lub bardziej pożytecznych rzeczach, pan José wie przede wszystkim z własnego doświadczenia, gdyż to, że jest zwykłym kancelistą, wcale nie znaczy, że jego życie ogranicza się wyłącznie do obserwacji życia innych, poza tym pewne informacje na ten temat zaczerpnął również z czasopism i książek popularnonaukowych, uważanych za godne zaufania lub jak kto woli, wiarygodne, a ponadto z paru utworów literackich z gatunku lżejszej prozy introspekcyjnej, gdzie ten problem również występuje. Jednakże dopiero w chwili, gdy spoglądając kolejny raz na datę śmierci nieznanego i usiłując



umieścić ją w czasie, który upłynął od chwili, kiedy zaczął jej szukać, po raz pierwszy odczuł realną niemożność mierzenia tego, co można by nazwać czasem duchowym, a odczucie to było tak przejmujące, obiektywne i namacalne jak nagły skurcz mięśni. Na pytanie, Co robiłeś tego dnia, pan José-kancelista zajrzałby do kalendarza i stwierdził, że był nieobecny w pracy z powodu choroby, toteż od razu by odparł, Tego dnia leżałem w łóżku, nie poszedłem do pracy, gdyż miałem gripę, gdyby jednak inaczej postawić to pytanie, A jak ta data ma się do twojej działalności detektywistycznej, musiałby wpierw zajrzeć do notatnika, który trzyma pod materacem, i dopiero wówczas by powiedział, Stało się to dwa dni po włamaniu do szkoły. Jeśli przyjąć, że data zgonu wpisana w karcie opatrzonej nazwiskiem nieznanym jest zgodna z prawdą, to istotnie umarła dwa dni po tym godnym pożałowania incydencie, który z uczciwego do tej pory pana José zrobił przestępcę, jednakże te krzyżujące się potwierdzenia kancelisty i detektywa, pozornie wystarczające, żeby zgrać czas psychiczny detektywa z czasem matematycznym kancelisty, ani jednemu, ani drugiemu nie wystarczają, żeby pozbyć się wrażenia przyprowadzającej o zawrót głowy dezorientacji. Pan José bynajmniej nie stoi na szczycie niebotycznej drabiny, patrząc w dół na coraz bardziej zwięzające się stopnie, przy samej ziemi zredukowane do maleńkiego punktu, a mimo to ma wrażenie, że w czasie ostatnich dni, w czasie psychicznym czy subiektywnym, nie zaś w rzeczywistym czy matematycznym, jego ciało zatraciło poczucie swojej jednolitości i spójności, że w miarę mijających chwil dzieliło się na kawałki, kurczyło i rozszerzało. To jakiś absurd, obruszył się na siebie pan José, doba ma dwadzieścia cztery godziny, odkąd tak zostało ustalone, godzina ma i zawsze miała sześćdziesiąt minut, a minuta sześćdziesiąt sekund, jeśli zegar się śpieszy lub spóźnia, to nie z winy czasu, lecz mechanizmu, chyba więc mam zepsutą sprężynę. Ta myśl sprawiła, że blade się uśmiechnął, Jeśli, jak mi się wydaje, nie chodzi tu o zakłócenia w mechanizmie czasu rzeczywistego, lecz w zegarze psychicznym, który go odmierza, to powinienem iść do psychologa, żeby mi naprawił balans. Znów się uśmiechnął, lecz zaraz spoważniał. Można ten problem rozwiązać dużo prościej, a właściwie już został rozwiązany przez matkę naturę, ta kobieta umarła, nie ma tu już nic do zrobienia, mogę sobie zatrzymać akta i kartę jako namacalny dowód tej przygody, z punktu widzenia Archiwum Głównego to będzie tak, jakby się wcale nie urodziła, prawdopodobnie nikt nie będzie szukać tych papierów, mogę też położyć je gdziekolwiek w archiwum zmarłych, choćby przy samym wejściu, wśród najstarszych akt, to przecież

bez znaczenia, z każdym z nas jest tak samo, rodzi się i umiera, kogo to obchodzi, kim się było, rodzice, jeśli ją kochali, przez jakiś czas będą ją opłakiwać, stopniowo coraz mniej, aż wreszcie przestaną, tak to już jest, mężczyźnie, z którym się rozwiodła, jest to obojętne, może ostatnio była z kimś związana, może mieszkali razem, może mieli się pobrać, lecz to należy do przyszłości, która nigdy się nie spełni, doprawdy, nie ma na świecie osoby, którą mogłaby zainteresować niezwykła sprawa nieznajomej. Pan José miał przed sobą kartę, akta i trzynaście szkolnych fiszek, na wszystkich trzynastu to samo nazwisko, dwanaście różnych zdjęć tej samej twarzy, jako że jedno się powtarza, lecz te wszystkie twarze już dawno umarły, jeszcze przed śmiercią kobiety, którą potem stała się dziewczynka, stare fotografie są bardzo zwodnicze, dają nam złudzenie, że jesteśmy na nich żywi, a to nieprawda, osoba, na którą patrzymy, już nie istnieje i gdyby ona sama mogła nas zobaczyć, to też by siebie w nas nie rozpoznała i spytałaby, Kto to przygląda mi się z taką smutną miną. Nagle przypomniał sobie, że ma jeszcze jedno zdjęcie, które dostał od starszej pani z parteru. W ten sposób niespodziewanie znalazł odpowiedź na pytanie, kogo mogłaby zainteresować niezwykła sprawa nieznajomej.

Pan José nie czekał do soboty. Następnego dnia po pracy poszedł do pralni po ubranie. Z roztargnieniem przyjął słowa gorliwej pracownicy, Proszę tylko spojrzeć, jak to zostało zacerowane, proszę przesunąć palcami i powiedzieć, czy jest jakaś różnica, jakby się nic nie stało, tak zwykle mówią ludzie, którzy zadowolają się pozorami. Pan José zapłacił, wziął paczkę pod pachę i poszedł do domu, by się przebrać. Wybierał się do starszej pani z parteru i chciał dobrze się zaprezentować, korzystając nie tylko z doskonałej pracy cerowaczki, istotnie godnej pochwały, lecz także z ostrego kantu spodni, lśniącej czystością koszuli i cudem odzyskanego krawata. Miał już wyjść, kiedy do głowy, która, o ile wiadomo, jest jedyną myślącą częścią ciała, przyszła mu taka oto przykra myśl, A jeśli starsza pani z parteru też umarła, wcale nie wyglądała na tryskającą zdrowiem, poza tym, żeby umrzeć, wystarczy żyć, zwłaszcza w jej wieku, wyobraził sobie, że dzwoni do jej drzwi, raz, drugi, trzeci i po chwili otwierają się drzwi po lewej, pojawia się w nich jakaś zirytowana hałasem kobieta i mówi, Niech pan przestanie, tam nikogo nie ma, Ta pani gdzieś wyszła, Umarła, A więc umarła, Tak jest, Kiedy, Jakieś dwa tygodnie temu, a kim pan jest, Jestem z Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, Widać to pańskie archiwum niezbyt dobrze funkcjonuje, skoro nie wiecie, że umarła. Pan José sam siebie nazwał maniakiem, lecz mimo wszystko wolał od ręki to wyjaśnić, żeby

nie narażać się na złe maniery kobiety z parteru po lewej. Wystarczy wejść do Archiwum i szybko sprawdzić w kartotece, o tej porze obydwie sprzątaczkі już pewnie skończyły pracę, która, nawiasem mówiąc, nie zajmuje im zbyt wiele czasu, gdyż ograniczają się do tego, że opróżniają kosze, zamiatają i przecierają lekko podłogę, ale tylko do regału stojącego za biurkiem szefa, gdyż w żaden sposób, ani prośbą, ani groźbą, nie można ich przekonać, żeby posunęły się dalej, mówią, że tylko po ich trupie, widać też należą do tych, którzy zadowolają się pozorami, i nie ma na to rady. Pan José zerknął do karty nieznajomej, żeby przypomnieć sobie nazwisko chrzestnej matki, czyli starszej pani z parteru, potem uchylił ostrożnie drzwi i zajrzał do Archiwum. Zgodnie z jego przewidywaniami sprzątaczek już nie było. Podeszedł do kartoteki, sprawdził, Oto ona, powiedział i westchnął z ulgą. Wrócił do domu, skończył się ubierać i wyszedł. Żeby dojechać do domu starszej pani z parteru musiał wsiąść do autobusu zatrzymującego się na placu przed Archiwum. Mimo późnego popołudnia niebo nad miastem było jeszcze rozświetlone blaskiem dnia, z pewnością uliczne latarnie nie zapalą się wcześniej niż za jakieś dwadzieścia minut. Prócz pana José na przystanku czekało jeszcze kilka osób, prawdopodobnie nie uda mu się wsiąść do pierwszego autobusu, który przyjedzie. Tak też się stało. Po chwili jednak nadjechał drugi autobus, który nie był przepelniony. Pan José wsiadł i znalazł miejsce siedzące przy oknie. Popatrzył na ulicę i zauważył ciekawe zjawisko optyczne, a mianowicie światło rozproszone w atmosferze barwiło na czerwony kolor fasady budynków, jakby dla każdego z nich słońce w tej chwili właśnie wschodziło. Widział też Archiwum Główne, jego zabytkowe drzwi i prowadzące do nich trzy schodki z czarnego kamienia, pięć smukłych frontowych okien, cały budynek robił wrażenie ruiny, dla której czas się zatrzymał, jakby zamiast koniecznych remontów dokonano mumifikacji. Z powodu jakiegoś zakłócenia w ruchu autobus stał w miejscu. Pan José denerwował się, nie chciał zbyt późno zjawić się u starszej pani z parteru. Mimo długiej i otwartej rozmowy, mimo pewnych, nieoczekiwanych jak na pierwsze spotkanie zwierzeń, nie zbliżyli się do siebie na tyle, żeby mógł przychodzić do niej w niestosownej porze. Pan José ponownie spojrział na plac, którego koloryt już się zmienił. Fasada Archiwum Głównego szybko szarzała, lecz była to jeszcze szarość pulsująca światłem, autobus wreszcie ruszył z miejsca, włączając się powoli do ruchu i właśnie w tej chwili na schodach Archiwum pojawił się wysoki, korpulentny mężczyzna, który wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. To szef, szepnął pan José, po co on tam idzie o tej porze.

Ogarnięty nagłą, instynktowną paniką, zerwał się z miejsca, zrobił ruch, jakby chciał wstać, na co siedzący obok pasażer zrobił zdziwioną i złą minę, po czym usiadł speszony. Chciał odruchowo pobiec do domu, żeby go bronić przed jakimś niebezpieczeństwem, co było czystym absurdem. Żaden złodziej, nawet gdyby szef nim był, co jest jeszcze większym absurdem, nie będzie przecież wchodził do jego mieszkania przez Archiwum. Jednak na absurd zakrawało również to, że szef po godzinach pracy wrócił do Archiwum, gdzie, jak już wcześniej mówiliśmy, nie miał nic do roboty, za to pan José może ręczyć głową. Przypuszczenie, że szef Archiwum pracuje po godzinach było równie bezsensowne jak próba wyobrażenia sobie kwadratowego koła. Autobus wyjechał już z placu, a pan José nadal usiłował dociec, co właściwie spowodowało jego panikę. W końcu doszedł do wniosku, że przyczyna leży w tym, iż od wielu lat jest jedynym nocnym mieszkańcem kompleksu budynków, jaki tworzy Archiwum Główne wraz z jego domem, jeżeli ten ostatni zasługuje na miano budynku, bez wątpienia słuszne z punktu widzenia językoznawstwa, gdyż budynkiem jest wszystko to, co zostało zbudowane, lecz zupełnie nie na miejscu z punktu widzenia architektonicznego dostojności, jakie emanuje z tego słowa, szczególnie, gdy je wymawiamy. Względny spokój, jaki pan José poczuł na myśl, że jest rzeczą fizycznie niemożliwą, aby szef Archiwum Głównego wszedł do mieszkania podwładnego i tam się rozsiadł, nagle prysł, gdy przypomniał sobie o szkolnych kartach nieznajomej i zadał sobie pytanie, czy schował je pod materac, czy też przez nieuwagę zostawił na stole. Nawet gdyby jego dom był tak bezpieczny jak bankowy skarbiec z szyfrowym zamkiem, opancerzoną podłogą, ścianami i sufitem, to i tak karty nigdy nie powinny leżeć na wierzchu. Fakt, że nie ma tam nikogo, kto mógłby je zobaczyć, nie usprawiedliwia karygodnej nieostrożności, wszak przeciętny zjadacz chleba nie wie, jak daleko posunęła się nauka, bo skoro fale radiowe, których nikt nie widzi, przenoszą z wiatrem i eterem dźwięki i obrazy, gdzieś hen, za siedem gór i siedem rzek, przez pustynie i oceany, to niewykluczone, że już zostały lub wkrótce zostaną odkryte czy wynalezione jakieś fale czytające lub fotografujące, zdolne przenikać mury, rejestrować i przekazywać nasze życiowe sprawy, tajemnice i nieprawości, które wydawały się nam dobrze ukryte przed wścibskością innych. Chowanie spraw, tajemnic i nieprawości pod materac jest nadal najlepszym sposobem ich ukrycia, przede wszystkim dlatego, że dziś nikt nie rozumie dawnych zwyczajów. Choćby więc te fale czytające czy fotografujące były nie wiem jak sprytne,

nigdy im nie przyjdzie do głowy, żeby wtykać nos między siennik i materac.

Wiadomo, że nasze myśli, zarówno niespokojne, jak radosne, a także ni takie, ni siakie, wcześniej czy później wyczerpują się same przez się, to tylko kwestia czasu, wystarczy pozwolić, aby zgodnie ze swoją naturą mogły sobie leniwie błędzić, nie należy ich podsycać żadnymi irytującymi bądź polemicznymi refleksjami, szczególnie zaś należy uważać, by nie interweniować za każdym razem, kiedy samoistnie zaczynają się rozpraszać i otwierają się przed nimi jakieś atrakcyjne rozwidlenia, boczne drogi, objazdy. Interwencja jest wskazana tylko wówczas, gdy chodzi o przykre myśli, wtedy tak, można je delikatnie, zachęcająco popchnąć, Bardzo dobrze, możecie sobie iść. Tak właśnie postąpił pan José. Kiedy naszła go bezsensowna, lecz zbawienna myśl o falach czytających i fotografujących, natychmiast puścił wodze fantazji i oczyma wyobraźni zobaczył owe fale atakujące i przeszukujące jego mieszkanie, jednak ku ich zdumieniu i zawstydzeniu bez skutku, gdyż karty nieznamomej nie zostały na stole, Macie znaleźć, odczytać i sfotografować te karty, inaczej wracamy do klasycznego szpiegostwa. Pan José pomyślał jeszcze o szefie, ale tylko przelotnie, tylko po to, żeby znaleźć jakieś rozsądne uzasadnienie jego wizyty w Archiwum po godzinach pracy, Pewnie zapomniał czegoś potrzebnego, to jedyne wytłumaczenie. Bezwiednie powtórzył na głos drugą część zdania, To jedyne wytłumaczenie, wzbudzając po raz drugi nieufność sąsiada, który natychmiast się przesiadł, można więc iść o zakład, że pomyślał sobie mniej więcej tak, To jakiś wariat. Pan José nie zauważył rejterady sąsiada, gdyż wyobraźnia natychmiast przeniosła go do domu starszej pani z parteru, oto stoi przed nim w otwartych drzwiach, Pamięta mnie pani, jestem z Archiwum Głównego, Oczywiście, że pamiętam, Przychodzę z powodu tej samej sprawy, Czy znalazł pan moją chrześniaczkę, Niestety nie, a właściwie tak, to znaczy, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym z panią porozmawiać, jeżeli ma pani chwilę czasu, Proszę wejść, ja też mam panu coś do powiedzenia. W rzeczywistości ich rozmowa wyglądała podobnie, tyle tylko, że gdy kobieta go zobaczyła, powiedziała Ach, to pan, a zatem pan José nie musiał pytać, Czy pamięta mnie pani, jestem pan José z Archiwum Głównego, a mimo to zapytał, widać nie mógł oprzeć się drzemiącej w każdym z nas potrzebie mówienia wszystkim wokół, kim jesteśmy, nawet wówczas, gdy słyszymy, Ach, to pan, bo jeśli ktoś nas rozpoznaje, to wcale nie znaczy, że nas zna, być może tak mu się wydaje, a jeśli nawet ma co do tego wątpliwości, to uważa, że i tak nie warto zadawać dalszych pytań.

W małym saloniku nic się nie zmieniło, krzesło, na którym pan José kiedyś siedział, stoi w tym samym miejscu, w tej samej odległości od stołu, zasłonki wiszą tak samo, są identycznie pofałdowane, kobieta identycznie składa ręce na kolanach, prawą na lewą, jedynie lampka zwisająca z sufitu słabiej świeci, jakby lada moment miała zgasnąć. Co u pani słyhać, dawno się nie widzieliśmy, spytał pan José, lecz natychmiast ugryzł się w język, uznając, że zachował się nietaktownie i głupio, powinien przecież wiedzieć, że nie zawsze można dosłownie przestrzegać zasad dobrego wychowania, że trzeba brać pod uwagę okoliczności, że każda sytuacja jest inna, bo wyobraźmy sobie, że kobieta odpowie mu z szerokim uśmiechem, Na szczęście wszystko dobrze, zdrowie mi dopisuje, humor też, dawno się tak świetnie nie czułam, a on wtedy wypali prosto z mostu, Chcę pani powiedzieć, że pani chrześniaczka nie żyje, ale niech się pani nie przejmuje. Jednakże odpowiedzią kobiety było tylko wzruszenie ramion, odezwała się dopiero po chwili, Wie pan, jakiś czas temu miałam zamiar zadzwonić do Archiwum Głównego, żeby panu coś powiedzieć, ale później się rozmyśliłam, doszłam do wniosku, że jeszcze kiedyś mnie pan odwiedzi, Dobrze, że pani tego nie zrobiła, kustosz nie lubi, jak do nas dzwonią, mówi, że to przeszkadza w pracy, Rozumiem, ale nie musiałby wcale pana wołać, mogłabym przekazać tę informację bezpośrednio jemu. Czoło pana José zrosił zimny pot. Zrozumiał, że w ostatnich tygodniach groziło mu wielkie niebezpieczeństwo, prawdziwa katastrofa, mało brakowało, a wyszłyby na jaw jego wykroczenia przeciwko etyce zawodowej, przeciwko szacownym zasadom kodeksu moralnego Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, zawartym w nieco skomplikowanych, z racji archaicznego języka, artykułach, paragrafach i punktach, które w wyniku wielowiekowego doświadczenia zostały sprowadzone do tego oto praktycznego zalecenia, Nie wtykaj nosa w cudze sprawy. Przez chwilę pan José czuł do siedzącej naprzeciw niego kobiety wściekłą nienawiść, w duchu nazwał ją głupią staruchą, kretynką, wapniaczką i chcąc się odegrać za strach, jakiego się przed chwilą najadł, miał już na końcu języka, Ach tak, ja też mam coś w zanadrzu, pani chrześniaczka, ta ze zdjęcia, wykorkowała. Panie José, czy źle się pan czuje, może napije się pan wody, Dziękuję, nic mi nie jest, odpowiedział speszony własną podłością, Zrobię panu herbaty, Nie trzeba, bardzo dziękuję, nie chciałbym sprawiać kłopotu, odparł, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy ze wstydu, starsza pani poszła do kuchni, skąd słyhać było brzęk naczyń, trwało to parę minut, najpierw trzeba zagotować wodę, pan José przypomniał sobie, że

gdzieś wyczytał, prawdopodobnie w jakimś czasopiśmie, z którego wycinał zdjęcia sławnych ludzi, że herbatę trzeba zaparzać gorącą, lecz nie wrzącą wodą, mógł wprawdzie zadowolić się szklanką zimnej wody, ale herbata z pewnością dobrze mu zrobi, wszak powszechnie wiadomo, zarówno ludziom Wschodu, jak i Zachodu, że nic tak człowieka nie podnosi na duchu jak filiżanka herbaty. Gospodyni zjawiała się z tacą, na której prócz czajniczka znajdował się talerzyk z ciastkami, filiżanki i cukiernica, Nawet nie spytałam, czy lubi pan herbatę, ale pomyślałam, że o tej porze herbata jest bardziej wskazana niż kawa, Lubię herbatę, nawet bardzo, Tu jest cukier, Dziękuję, nie słodzę, pan José nagle zbladł, oblał się potem i uznał, że powinien się jakoś usprawiedliwić, To chyba pozostałości grypy, którą niedawno przeszedłem, To znaczy, że gdybym zadzwoniła, mogłabym pana nie zastać w pracy i istotnie musiałabym opowiedzieć szefowi, co mi się przytrafiło. Tym razem panu José zwilgotniały tylko dłonie, na szczęście filiżanka stała na stole, inaczej porcelana znalazłaby się na podłodze, a gorąca herbata na nogach zatrwożonego kancelisty, z łatwymi do przewidzenia skutkami w postaci poparzenia i powtórnego oddania spodni do pralni. Pan José wziął z talerzyka ciasteczko, ugryzł je powoli, bez apetytu, po czym udając, że z powodu jedzenia słowa z trudem przechodzą mu przez gardło, zdobył się wreszcie na mocno spóźnione pytanie, Jaką informację chciała mi pani przekazać. Kobieta wypiła łyk herbaty i sięgnęła po ciastko, lecz się rozmyśliła. Pamięta pan, że pod koniec pierwszej wizyty, kiedy był pan już prawie w drzwiach, powiedziałam, żeby pan poszukał mojej chrześniaczki w książce telefonicznej. Pamiętam, lecz nie skorzystałem z tej rady, Dlaczego, Trudno to wyjaśnić, Z pewnością miał pan swoje powody, Podanie powodów, dla których coś się zrobiło lub czegoś się nie zrobiło, jest bardzo łatwe, bo jeśli nawet ich nie mamy albo są niewystarczające, to je zmyślamy, jeśli chodzi o pani chrześniaczkę, to mógłbym na przykład powiedzieć, że wolałem dłuższą, bardziej skomplikowaną drogę, To jest prawda czy kłamstwo, Powiedzmy, że tyleż prawda, ile kłamstwo, A na czym polega kłamstwo, Na tym, że zachowuję się tak, jakby to była cała prawda, A nie jest, Nie, gdyż pomijam powód, dla którego wybrałem tę, a nie inną drogę, Nudzi pana zawodowa rutyna, To mógłby być jeden z powodów.

W jakim stadium są pana poszukiwania, Proszę mi najpierw powiedzieć, co się pani przytrafiło, wyobraźmy sobie, że jestem w Archiwum Głównym, pani dzwoni i szef prosi mnie do telefonu. Kobieta uniosła filiżankę do ust, odstawiła ją bezszelestnie na

spodeczek i składając ręce na kolanach identycznie jak poprzednio, prawą na lewą, powiedziała, Sama zrobiłam to, co radziłam panu, Zadzwoń pani do niej, Tak, Rozmawiała pani z nią, Tak, Kiedy to było, Kilka dni po pańskiej wizycie, naszły mnie wspomnienia, nie mogłam spać, Jak to było, Po prostu rozmawiałyśmy, Musiała być zdziwiona, Chyba nie, To byłoby naturalne po tylu latach rozłąki i milczenia, Widać, że niewiele wie pan o kobietach, a szczególnie o nieszczęśliwych, Była nieszczęśliwa, Po chwili obydwie płakałyśmy, jakby łączył nas sznur łez, Czy opowiedziała coś o swoim życiu, Niewiele, tylko tyle, że wyszła za mąż i się rozwiodła, To wiadomo, jest odnotowane w karcie, Umówiłyśmy się, że odwiedzi mnie w najbliższym czasie, Przyszła, Jak dotąd, nie, Co to może znaczyć, Nic, po prostu nie przyszła, Ani nie zadzwoniła, Nie, Kiedy to było, Mniej więcej dwa tygodnie temu, Mniej czy więcej, Wydaje mi się, że raczej mniej, Co było potem, Najpierw myślałam, że zmieniła zdanie, że nie chce odnawiać dawnej znajomości ani zażytych stosunków, że jej łzy były wynikiem chwilowej słabości, często przecież bywa tak, że w chwilach załamania jesteśmy gotowi zwierzyć się z naszych smutków pierwszemu lepszemu nieznanemu, pamięta pan, jak to było podczas pańskiej pierwszej wizyty, Pamiętam i jestem pani niesłychanie wdzięczny za zaufanie, To nie kwestia zaufania, tylko rozpaczy, Tak czy inaczej, obiecuję, że nie będzie pani tego żałować, może pani liczyć na moją dyskrecję, Nie mam co do tego wątpliwości, Dziękuję, Nie mam wątpliwości tylko dlatego, że w głębi duszy jest mi wszystko jedno, Ach tak, powiedział z niejakim rozczarowaniem pan José i uznał, że powinien chwilę odczekać, nim zada pytanie, Co było potem. Kobieta, jakby to rozumiejąc, spytała go, Może napije się pan jeszcze herbaty, na co on wyciągnął filiżankę, mówiąc, Bardzo chętnie. Po chwili powiedziała, Kilka dni temu zadzwoniłam do niej, No i co, Nikt nie odebrał, odezwała się tylko automatyczna sekretarka, Tylko raz pani zadzwoniła, Pierwszego dnia raz, ale w następnych dniach dzwoniłam o różnych porach, rano, po południu, wieczorem, w nocy, I nic, Nic, chyba wyjechała, Czy powiedziała, gdzie pracuje, Nie. Nadeszła chwila, żeby przestać kluczyć, przemilczając gorzką prawdę i wreszcie powiedzieć, Pani chrześniaczka nie żyje, nawiasem mówiąc, powinien to zrobić na samym początku, co starsza pani słusznie niebawem mu zarzuci, Dlaczego od razu pan nie powiedział, po co były te wszystkie pytania, skoro ona nie żyje, na co pan José nie mógł skłamać, że zwlekał tylko dlatego, żeby przygotować ją na tę smutną wiadomość i oszczędzić jej przykrego zaskoczenia, gdyż w istocie zrobił to wyłącznie z powodu tego, co powiedziała na



powitanie, Ja też mam panu coś do powiedzenia, nie potrafił bowiem oprzeć się pokusie, żeby dowiedzieć się, o co chodzi, nawet jeśli miało to być jakieś głupstwo, nie potrafił zdobyć się na to, żeby ze spokojną rezygnacją powiedzieć, Nie warto, ona nie żyje. Zupełnie jakby miał nadzieję, że to, co usłyszy odwróci bieg czasu i w ostatniej chwili wyrwie nieznaną z objęć śmierci. Pan José poczuł się zmęczony i chcąc odwlec jeszcze choć o parę chwil nieuchronne wyznanie, zapytał, Nie pomyślała pani o tym, żeby iść do niej, ewentualnie spytać sąsiadów, czy ją widzieli, Owszem, ale nie zrobiłam tego, Dlaczego, To by wyglądało na wtrącanie się w jej sprawy, mogłaby być niezadowolona, Ale dzwoniła pani, To co innego. Zapadła cisza, wyraz twarzy kobiety zaczął się zmieniać, popatrzyła na niego pytająco i pan José zrozumiał, że lada moment, zapyta go, co go tym razem sprowadza, czy rozmawiał z osobą, której szuka, czy i jak sprawa w Archiwum Głównym została rozwiązana, dlatego też powiedział szybko, Z przykrością informuję panią, że pani chrześniaczka nie żyje. Kobieta szeroko rozwarła oczy, podniosła rękę do ust, Co takiego, Pani chrześniaczka nie żyje, Skąd pan wie, spytała bez namysłu, Od tego jest Archiwum, odparł, wzruszając lekko ramionami, jakby dodając, To nie moja wina, Kiedy umarła, Mam tu jej kartę, mogę pani pokazać. Kobieta wyciągnęła rękę, podniosła kartę do oczu, lecz zaraz ją opuściła, szepcząc, Okulary, jednak nawet nie próbowała ich włożyć, wiedziała bowiem, że na nic się nie zdadzą, że i tak nic nie przeczyta, gdyż przez łyzy nie będzie mogła rozróżnić słów. Pan José powiedział, Bardzo mi przykro. Kobieta wyszła z pokoju i po paru chwilach wróciła, ocierając oczy chusteczką. Usiadła, ponownie naląła sobie herbaty i zapytała, Przyszedł pan, żeby mi powiedzieć o jej śmierci, Tak, To bardzo uprzejmie z pana strony, Po prostu uznałem, że to mój obowiązek, Dlaczego, Gdyż uważam, że mam wobec pani dług, Dlaczego, Ponieważ była pani dla mnie bardzo miła i pomogła mi pani, odpowiadając na pytania. Skoro misja, którą panu zlecono, siłą rzeczy dobiegła końca, nie będzie się pan już musiał trudzić poszukując mojej biednej chrześniaczki, Istotnie, Być może w Archiwum Głównym dali już panu polecenie szukania kogoś innego, Nie, to się rzadko zdarza, Dlatego właśnie śmierć jest dobra, że wraz z nią wszystko się kończy, Nie zawsze, czasem staje się początkiem walki między spadkobiercami, zaciętych sporów o podział spadku, trzeba też płacić podatek, Miałam na myśli śmierć tej jednej konkretnej osoby, Jeśli o nią idzie, to istotnie wszystko się skończyło, Ciekawe, czemu nigdy mi pan nie powiedział, dlaczego Archiwum Główne poszukiwało mojej chrześniaczki, czemu się nią interesowało, Sama pani przed chwilą

powiedziała, że śmierć rozwiązuje wszystkie problemy, A więc był jakiś problem, Tak, Jaki, Nie warto o tym mówić, teraz ta sprawa jest bez znaczenia, Jaka sprawa, Proszę nie nalegać, to poufne, uciął pan José. Kobieta odstawiała filiżankę i powiedziała, patrząc mu chłodno prosto w oczy, Któreś z nas, zarówno poprzednim razem, jak i teraz, bez przerwy kłamię, Ani przedtem, ani teraz nie kłamię, Przyzna pan, że przez cały czas rozmawiałam z panem szczerze i otwarcie, bez niedomówień, że nie wyczuł pan w moich słowach nawet cienia kłamstwa, Przyznaję, A więc jeśli ktoś tu kłamię, czego jestem pewna, to w każdym razie nie ja, Nie jestem kłamcą, Wierzę, że nie jest pan kłamcą z natury, lecz zaczął pan kłamać w chwili przekroczenia mojego progu i nadal pan to robi, Pani tego nie zrozumie, Rozumiem dostatecznie dużo, żeby nie wierzyć, że dostał pan z Archiwum polecenie odszukania mojej chrześniaczki, Myli się pani, zapewniam panią, że tak było, Skoro tak, skoro nie ma mi pan nic więcej do powiedzenia, skoro to jest pańskie ostatnie słowo, wobec tego proszę stąd wyjść, i to już, ostatnie słowa prawie wykrzyczała, po czym zaczęła płakać. Pan José wstał, zrobił krok w stronę drzwi, lecz zawrócił, usiadł i powiedział, Proszę mi wybaczyć, proszę nie płakać, wszystko pani opowiem.

\*

Kiedy skończyłem opowiadać, spytała, Co pan zamierza teraz robić, Nic, odrzekłem, Będzie pan nadal kolekcjonował sławnych ludzi, Sam nie wiem, możliwe, muszę sobie czymś wypełnić czas, lecz po krótkim namyśle powiedziałem, Nie, nie sądzę, Dlaczego, Jak się dobrze zastanowić, wszyscy oni mają podobne życie, stale gdzieś się pojawiają, uśmiechają się do fotografa, gdzieś wchodzą lub wychodzą, Jak każdy z nas, Ja nie, Pan też, podobnie jak ja i wszyscy inni ludzie, też się pokazujemy tu i ówdzie, mówimy, wychodzimy z domu, potem wracamy, czasem nawet się uśmiechamy, różnica polega tylko na tym, że nikt na to nie zwraca uwagi, Nie wszyscy mogą być sławni, Całe szczęście, niech pan sobie wyobrazi, że pańska kolekcja byłaby tak duża, jak zasoby Archiwum Głównego, Byłaby nawet większa, gdyż w Archiwum odnotowuje się niewiele ponad datę urodzin i śmierci, No, jeszcze ślub, rozwód, wdowieństwo, ponowne związki, niestety dla Archiwum jest rzeczą obojętną, czy w tym wszystkim byliśmy szczęśliwi, czy

też nieszczęśliwi, Szczęście i nieszczęście są jak sławni ludzie, przychodzą i odchodzą, najgorsze jednak jest to, że dla Archiwum nie ma znaczenia, kim naprawdę jesteśmy, tam człowiek jest tylko kawałkiem papieru zapisanego nazwiskami i datami, Tak jak karta mojej chrześniaczki, Albo jak moja czy pani, Co by pan zrobił, gdyby ją pan spotkał, Nie wiem, może bym z nią porozmawiał, a może nie, nigdy o tym nie myślałem, A pomyślał pan o tym, że w chwili spotkania wiedziałby pan o niej tyle samo co w dniu, kiedy postanowił pan jej szukać, czyli właściwie nic, że chcąc się dowiedzieć, kim naprawdę jest, musiałby pan zacząć nowe, znacznie trudniejsze poszukiwania, bo na przykład mogłoby się okazać, że w przeciwieństwie do sławnych ludzi, którzy lubią się pokazywać, ona woli się ukrywać, Ma pani rację, Ale teraz, kiedy nie żyje, jest jej wszystko jedno, może więc pan nadal jej poszukiwać, Nie rozumiem, Do tej pory, mimo tylu wysiłków, zdołał pan jedynie ustalić, do jakiej szkoły chodziła, nawiasem mówiąc to ja panu ją wskazałam, Mam fotografie, Fotografia to tylko papier, Możemy się nimi podzielić, I będzie nam się wydawać, że to nią samą się dzielimy, część dla pana, a część dla mnie, Nic innego nie można zrobić, powiedziałem, uważając sprawę za zamkniętą, lecz ona zapytała, Czemu nie porozmawia pan z rodzicami i z byłym mężem, Po co, Żeby dowiedzieć się czegoś o niej, jak żyła, co robiła, Mąż pewnie nie zechce ze mną rozmawiać, wiadomo, co z oczu, to i z serca, Ale rodzice na pewno zechcą, zauważyłam, że rodzice zawsze są gotowi rozmawiać o dzieciach, nawet zmarłych, Skoro nie poszedłem do nich wcześniej, to tym bardziej teraz, przedtem mógłbym przynajmniej powołać się na Archiwum Główne, Na co umarła moja chrześniaczka, Nie wiem, Jak to możliwe, przecież zgon musiał być zgłoszony w pańskim Archiwum, Na karcie odnotowujemy tylko datę zgonu, bez przyczyny, Ale przecież lekarze są prawnie zobowiązani do wystawiania dokumentu stwierdzającego zgon, w którym zwykle pisze się coś więcej niż tylko Stwierdzam śmierć, W papierach, które znalazłem w archiwum zmarłych nie było aktu zgonu, Dlaczego, Nie wiem, może ta kartka wypadła z teczki, kiedy ją odnoszono do archiwum, może ja sam ją zgubiłem, teraz nic się nie poradzi, to tak jakby szukać igły w stogu siana, nawet pani sobie nie wyobraża, jak to wszystko tam wygląda, Skoro tak, to ma pan dobry pretekst do rozmowy z rodzicami, powie pan, że w Archiwum zaginął akt zgonu i że musi pan uzupełnić dokumenty, bo inaczej szef pana ukarze, niech pan udaje pokornego i zmartwionego, niech pan spyta o nazwisko lekarza, który stwierdził zgon, gdzie umarła i na co była chora, czy to się stało w domu czy w

szpitalu, mam nadzieję, że ma pan jeszcze te referencje, Tak, ale proszę nie zapominać, że są fałszywe, Mnie pan oszukał, to ich też pan oszuka, skoro nie ma życia bez kłamstwa, to w tej śmierci też może być jakieś oszustwo, Gdyby pani pracowała w Archiwum Głównym, to by pani wiedziała, że śmierci nie da się oszukać. Zbyła to milczeniem, widocznie uznała, że nie warto odpowiadać i miała rację, gdyż moje słowa, choć na pozór głębokie, były tylko pustym frazesem. Przez parę minut milczeliśmy, starsza pani spoglądała na mnie z wyrzutem, jakbym jej coś solennie obiecał i w ostatniej chwili się wycofał. Nie wiedziałem, co począć, miałem ochotę pożegnać się i wyjść, lecz byłby to brak taktu, a nawet zwykłe chamstwo, starsza pani na to nie zasługuje, poza tym to nie jest zachowanie w moim stylu, tak już zostałem wychowany, chociaż w moim domu nie było eleganckiego zwyczaju picia herbaty. W chwili, gdy pomyślałem, że najlepiej będzie przystać na jej propozycję i rozpocząć poszukiwania w przeciwnym kierunku, to znaczy od śmierci do życia, kobieta powiedziała, Niech pan sobie tym nie zawraca głowy, to zwariowany pomysł, kiedy człowiek jest stary i dostrzega, że zostało mu już mało czasu, myśli, że ma w zanadrzu lekarstwo na wszystkie nieszczęścia świata i wpada w rozpacz, że nikt go nie słucha, Nigdy nie miałem takich myśli, Jest pan na to jeszcze za młody, Gdzie tam, mam pięćdziesiąt dwa lata, Jest pan w kwiecie wieku, Proszę nie żartować, Człowiek staje się mądry dopiero po siedemdziesiątce, ale to już nie służy ani jemu samemu, ani innym. Ponieważ jeszcze sporo brakuje mi do tego wieku, więc nie wiedziałem, czy przytaknąć, czy nie i w końcu nic nie powiedziałem. Teraz już mogłem się pożegnać, Nie będę już pani przeszkadzać, dziękuję, że była pani dla mnie tak uprzejma i wyrozumiała, proszę mi wybaczyć, to wszystko przez ten mój zwariowany, absurdalny pomysł, żyła pani sobie spokojnie w domowym zaciszu, a ja wtargnąłem tu podstępnie, kłamałem jak najęty, po prostu palę się ze wstydu na myśl o niektórych pytaniach, jakie pani zadałem, Myli się pan, nie byłam spokojna, byłam samotna i kiedy opowiedziałam panu trochę o swoich smutkach, zrobiło mi się lżej na duszy, Całe szczęście, że pani tak uważa, Tak właśnie uważam i na pożegnanie mam do pana pewną prośbę, Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją spełnić, Jest pan jedyną osobą, która może to zrobić, to bardzo proste, chcę pana prosić, żeby pan do mnie zaglądał od czasu do czasu, kiedy tylko przyjdzie panu ochota, choćby po to, żeby porozmawiać o mojej chrześniaczce, Zrobię to z prawdziwą przyjemnością, Zawsze będzie na pana czekać filiżanka kawy lub herbaty, To bardzo miło, lecz mam również inne powody, by panią

odwiedzać, Dziękuję, jeszcze raz proszę, żeby pan się nie przejmował tym moim pomysłem, jest równie zwariowany jak niegdyś pański, Zastanowię się. Podobnie jak za pierwszym razem pocałowałem ją w rękę i wtedy stało się coś, czego nigdy bym się nie spodziewał, starsza pani przytrzymała moją rękę, a potem uniosła ją do ust. Nigdy w życiu żadna kobieta tego nie zrobiła, byłem do głębi wstrząśnięty, serce we mnie zadrżało, nawet jeszcze teraz, po tylu godzinach, kiedy o świcie kończę spisywać wydarzenia minionego dnia, patrzę na swoją prawą rękę i widzę, że jest inna, choć nie potrafię określić, na czym polega różnica, gdyż na zewnątrz nic nie widać, a więc musi to być coś wewnątrz.

Pan José przestał pisać, odłożył ołówek, skrupulatnie schował do zeszytu szkolne karty nieznajomej, które jednak wcześniej zapomniał schować, zeszyt zaś wsunął głęboko między siennik i materac. Odgrzał resztę gulaszu z wczorajszego obiadu i zaczął jeść. Panowała głęboka cisza, trzeba się było dobrze wsłuchać, żeby wyłowić odgłos nielicznych samochodów poruszających się po mieście. Znacznie lepiej słyszalny był przytłumiony szum, raz głośniejszy, raz cichszy, jakby jakiegoś dalekiego miecha, do którego pan José był przyzwyczajony, był to bowiem oddech Archiwum Głównego. Pan José położył się do łóżka, lecz nie mógł zasnąć. Myślał o wydarzeniach minionego dnia, o przykrej niespodziance, jaką sprawił mu widok szefa wchodzącego do Archiwum po godzinach pracy, o burzliwej rozmowie ze starszą panią z parteru, której treść wiernie przekazał w notatniku, choć nieco mniej wiernie oddał jej formę, co należy zrozumieć i wybaczyć, jako że pamięć, która jest drażliwa i nie lubi, jak się jej wytyka błędy, ma tendencję do wypełniania luk własnymi wytworami, oczywiście fałszywymi, lecz zbliżonymi do tych, o których zachowała mgliste, nieuchwytnie jak cień wspomnienie. Pan José miał wrażenie, że ciągle nie może wyciągnąć żadnego logicznego wniosku z tego, co zaszło, że musi podjąć jakąś decyzję, chyba że jego pożegnalne słowa, Zastanowię się, były li tylko cczą obietnicą, grzecznościowym frazesem, którego nie należy traktować poważnie. Gdy rozpaczliwe starał się zasnąć, nagle, gdzieś w głębi duszy, niczym nowa nić Ariadny, pojawiła się upragniona decyzja, W sobotę pójdę na cmentarz, powiedział głośno. Był tak podekscytowany, że nagle usiadł na łóżku, ale wnet odezwał się głos rozsądku, Skoro zdecydowałeś, co robić, kładź się i śpij, nie bądź dzieckiem, chyba nie zamierzasz w środku nocy przeskakiwać przez cmentarny mur, oczywiście ta uwaga była mocno przesadzona. Pan José posłusznie się położył, przykrył się po same

uszy i nie zamykając jeszcze oczu, pomyślał, Nie zdołam zasnąć. Za chwilę już spał.

Obudził się późno, prawie w chwili otwarcia Archiwum, nie zdążył nawet się ogolić, ubrał się w biegu i pognął jak szalony, zupełnie niestosownie do swojego wieku i kondycji. Wszyscy urzędnicy, poczynając od siedmiu kancelistów, a kończąc na dwóch kierownikach, siedzieli przy biurkach z oczami utkwionymi w ścienny zegar, czekając, aż dłuższa wskazówka znajdzie się równo na dwunastce. Pan José skierował się do siedzącego obok referenta, przed którym w pierwszej kolejności powinien się wytłumaczyć, Przepraszam za spóźnienie, źle dziś spałem, powiedział, choć wieloletnie doświadczenie nauczyło go, że takie usprawiedliwienie na nic się nie zda, Proszę siadać, rzucił sucho referent. W chwili gdy wskazówka znalazła się we wspomnianym punkcie, co oznaczało koniec oczekiwania i rozpoczęcie pracy, pan José, potykając się o nie związane sznurowadła, był jeszcze w drodze do swojego biurka, czemu referent chłodno się przyglądał, a następnie odnotował ten niezwykły fakt w swoim terminarzu. Kustosz zjawił się ponad pół godziny później. Wszedł ze skupioną, prawie posępną miną, co zaniepokoiło urzędników, na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że i on źle spał, choć jak zwykle wyglądał nienagannie, był starannie ogolony i uczesany, a na garniturze nie było najmniejszego zagniecenia. Na chwilę zatrzymał się przy biurku pana José i popatrzył nań surowo, w milczeniu. Pan José czuł się zakłopotany i instynktownie, męskim zwyczajem, miał już ochotę podnieść rękę i potrząść brodę, żeby sprawdzić, czy urosła, lecz zatrzymał ją w połowie drogi, jakby w ten sposób chciał zatuszować to, co wszyscy jasno widzieli, a mianowicie niewybaczalnie niechlujny wygląd. Nie ominie go nagana, pomyśleli koledzy. Kustosz podszedł do swojego biurka, usiadł i wezwał obydwu kierowników. W powszechnym odczuciu oznaczało to, że pan José znalazł się w poważnych tarapatach i że szef wezwał obydwu zastępców w celu zasięgnięcia opinii w kwestii dotkliwej kary, którą chciał wymierzyć. Tym razem stracił cierpliwość, myśleli z radością kanceliści, których ostatnio oburzały względy, jakimi szef niezasłużenie darzył pana José, Wreszcie miarka się przebrała, zawyrokowali w duchu. Niebawem jednak doszli do wniosku, że nie tu jest pies pogrzebany.

W chwili gdy jeden z kierowników nakazywał wszystkim referentom i kancelistom, aby odwrócili się w stronę szefa, drugi obszedł barierkę, zamknął drzwi wejściowe i umieścił na nich wywieszkę, Chwilowo zamknięte z przyczyn urzędowych. Co to może być, zastanawiali się wszyscy, łącznie z kierownikami, którzy wiedzieli niewiele

więcej niż inni, gdyż szef poinformował ich jedynie, że wygłosi przemówienie. Kustosz powiedział najpierw, Siadajcie. Kierownicy powtórzyli ten rozkaz referentom, a ci z kolei kancelistom, w wyniku czego rozległ się hałas krzesel ustawianych tyłem do biur, jednak nie trwało to długo i już po chwili w Archiwum zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nie słychać było nawet brzęczenia much, choć wiadomo że tam były, niektóre ukryte w bezpiecznych miejscach, inne zaś dogorywające pod sufitem w brudnych pajęczynach. Kustosz powoli wstał, równie powoli przesunął wzrokiem kolejno po wszystkich pracownikach, jak by widział ich pierwszy raz w życiu lub jakby próbował sobie przypomnieć ich twarze po długiej nieobecności i wprawdzie nie miał już posępnej miny, ale wyglądał, jakby nękało go jakieś moralne cierpienie. Potem przemówił, Panowie, jako szef Archiwum Głównego, ostatni z historycznej dynastii piastujących tę zaszczytną funkcję, ustanowioną w chwili, gdy do naszego Archiwum trafił najstarszy z istniejących dokumentów, działając w ramach posiadanych kompetencji i idąc za przykładem moich poprzedników, zawsze sam przestrzegałem i wymagałem skrupulatnego przestrzegania pisanych praw, które regulują funkcjonowanie naszej służby, nie tylko nie zapominając o tradycji, lecz wręcz przeciwnie, mając ją bezustannie na uwadze. Zdaję sobie sprawę z tego, że czasy się zmieniają i że zachodzi też konieczność aktualizacji środków i procesów w życiu społecznym, lecz zarazem rozumiem, podobnie jak rozumieci to ci, którzy przede mną kierowali tutejszym Archiwum, że utrzymanie ducha, by tak rzec, ducha ciągłości i organicznej samoświadomości musi być sprawą pierwszoplanową, w przeciwnym razie na naszych oczach legnie w gruzach ład moralny, który - jako pierwsi i ostatni depozytariusze życia i śmierci - ciągle tutaj reprezentujemy. Nie brak pewnie ludzi, którzy krytykują Archiwum Główne za to, że nie mamy choćby jednej maszyny do pisania, nie mówiąc już o bardziej nowoczesnych urządzeniach, jak również za to, że szafy i regały nadal są z naturalnego drewna, a urzędnicy nadal maczają stalówki w atramencie i używają bibuły, nie brak pewnie też i takich, którzy uważają nas za śmieszny relikwiarz przeszłości i domagają się od rządu szybkiego wprowadzenia u nas najnowszej technologii, o ile jednak prawdą jest, że prawa i regulaminy w każdej chwili mogą być zmieniane i zastępowane innymi, o tyle tradycji nie można zmienić, gdyż ze swej natury jest ona niezmienna, zarówno w wymiarze całościowym, jak i pod względem sensu. Nikt nie cofnie się w czasie, żeby zmienić tradycję, która z czasem się zrodziła, którą czas wzbogacał i podtrzymywał. Nikt

nam nie powie, że istniejące nie istniało, nikt nie odważy się twierdzić jak dziecko, że to, co się zdarzyło, nie zdarzyło się. A jeśli nawet, to niepotrzebnie traci czas. Na tym właśnie zasadzają się nasze racje i nasza siła, to nasz bastion, który do dziś pozwolił chronić naszą tożsamość i autonomię. Zawsze tak było. I nadal tak będzie, chyba że nowe przemyslenia wskażą nam nowe drogi.

Do tej chwili w przemówieniu szefa nie było żadnych nowinek, choć trzeba przyznać, że po raz pierwszy w Archiwum Głównym można było usłyszeć coś w rodzaju uroczystej deklaracji pryncypiów. Ujednoliconą mentalność urzędników tworzyła się przede wszystkim w praktyce, podczas pracy, która dawniej była surowo i precyzyjnie kontrolowana, lecz ostatnimi czasy, być może z racji historycznego zmęczenia instytucji, młodzi pracownicy zaczęli sobie pozwalać na znaną nam już, notoryczną opieszałość, nie do przyjęcia nawet przy najbardziej pobłażliwym podejściu do sprawy. Większość szablonoowo myślących urzędników sądziła, że właśnie ten problem będzie głównym tematem nieoczekiwanego przemówienia, lecz niebawem okazało się, że się mylą. Nawiasem mówiąc, gdyby zwrócili baczniejszą uwagę na zachowanie kustosza, od razu by pojęli, że nie chodzi mu o sprawy dyscyplinarne, gdyż w takim wypadku każde jego słowo byłoby niczym smagnięcie biczem, a na twarzy malowałaby się pogardliwa obojętność. Tym razem jednak kustosz zachowywał się inaczej, wyglądał jak człowiek, który do tej pory zawsze zwyciężał i nagle, po raz pierwszy w życiu stanął wobec czegoś przekraczającego jego siły. Mylili się również kierownicy oraz ci, którzy z ostatniego zdania kustosza wnioskowali, że przemówienie jest zapowiedzią natychmiastowego wprowadzenia usprawnień technicznych, na zewnątrz będących już chlebem powszednim. Kustosz mówił dalej, Nie wyobrażajcie sobie jednak, że powyższe refleksje są zapowiedzią otwarcia naszych podwoi dla nowoczesnych wynalazków, gdyż to nie wymaga żadnych refleksji, wystarczy wezwać odpowiedniego specjalistę i w ciągu doby mielibyśmy pełno najróżniejszych maszynarii. Choć niełatwo mi o tym mówić, muszę wyznać, że moje refleksje, które być może wydadzą wam się szokujące, dotyczą fundamentalnej i uświęconej tradycją kwestii podziału na żywych i zmarłych, umieszczanych w różnych archiwach i w różnych częściach budynku. Dał się słyszeć lekki szmer, jakby myśli zdumionych urzędników stały się słyszalne, nie mogło to być nic innego, gdyż z pewnością żaden z nich nie pisał nawet słowa. Rozumiem wasze poruszenie, mówił dalej kustosz, gdyż ja sam poczułem się niemal winny herezji, gdy o



tym pomyślałem, a nawet więcej, miałem wrażenie, jakbym zbezczeszczył pamięć tych wszystkich, którzy przede mną piastowali funkcję kustosa oraz wszystkich tych, którzy pracowali na waszych stanowiskach, lecz porażająca oczywistość tej sprawy skłoniła mnie do sprzeniewierzenia się głęboko zakorzenionej tradycji, którą przez całe życie uważałem za nienaruszalną. Wnioski, do których doszedłem, nie są ani sprawą przypadku, ani nagłego olśnienia. Po dwakroć w czasie piastowania swojej funkcji otrzymałem sygnały ostrzegawcze, do których początkowo nie przywiązałem większej wagi i potraktowałem je w sposób, który dziś określiłbym jako prymitywny, dopiero teraz rozumiem, że służyły one przygotowaniu mnie do tego, żebym właściwie zrozumiał trzeci, niedawny sygnał, o którym z przyczyn, które wolę przemilczeć, nie będę tym razem mówić. Pierwszym sygnałem była propozycja jednego z obecnych tu kierowników, aby dokumentacje zmarłych układać w odwrotnym porządku, im starsze dokumenty, tym głębiej, a im nowsze, tym bliżej. Ogrom pracy związany z jej realizacją i szczupłość kadry czyniły tę propozycję niewykonalną. Wspomniany kierownik pokraśniał z zadowolenia, spojrzął do tyłu, żeby pokazać się kolegom, po czym znów zwrócił się twarzą do kustosa i lekko skinął głową, jakby mówiąc, No proszę, warto czasem posłuchać innych. Kustosz mówił dalej, Nie dostrzegłem wówczas, że za pomysłem, który wydał mi się absurdalny i istotnie taki był z operacyjnego punktu widzenia, krył się iście rewolucyjny zamysł, wprowadzie nieświadomy, tym niemniej słuszny. Oczywiście po kierowniku nie należy się niczego więcej spodziewać, lecz ja, jako kustosz, miałem obowiązek, zarówno z racji swojej funkcji, jak i doświadczenia, dostrzec ukryty sens tego pozornie błędnego pomysłu. Tym razem kierownik nie spojrzął do tyłu i jeśli nawet poczerwieniał ze wstydu, nikt tego nie zauważył, gdyż miał spuszczoną głowę. Kustosz zrobił krótką przerwę, głęboko westchnął i ciągnął dalej. Drugi przypadek to sprawa owego znawcy heraldyki, który zaginął w archiwum zmarłych i odnalazł się ledwie żywy po tygodniu, kiedy już straciliśmy wszelką nadzieję. Z uwagi na pospolity charakter zdarzenia, sądzę bowiem, że nie ma człowieka, który choćby raz w życiu gdzieś się nie zgubił, poczyniłem odpowiednie kroki, wydając polecenie służbowe odnośnie obowiązkowego używania nici Ariadny, by użyć tego klasycznego, a zarazem ironicznego określenia w stosunku do sznurka, który trzymam w biurku. O słuszności tej decyzji świadczy fakt, że od tamtej pory nic takiego ani podobnego się nie zdarzyło. Można by zapytać, jakież to wnioski mogłem wysnuć z historii zaginionego heraldyka, na co odpowiem z całą pokorą, że gdyby pewne niedawne

fakty nie pobudziły mnie do nowych przemyśleń, nigdy bym nie pojął, że rozdzielanie żywych i umarłych jest absurdem do kwadratu. Po pierwsze, jest to absurdalne z punktu widzenia archiwistyki, zważywszy na to, że najłatwiej byłoby dotrzeć do zmarłych, gdyby byli razem z żywymi, ponieważ tych ostatnich, z racji tego, że są żywi, ciągle mamy przed oczami, po wtóre jest to absurdalne także z punktu widzenia pamięci, gdyż jeśli zmarli nie są wśród żywych, wcześniej czy później się o nich zapomina, a wówczas trzeba, przepraszam za wyrażenie, nieźle się nagimnastykować, żeby kogoś z nich odnaleźć, gdy znajdzie taka potrzeba, która wcześniej czy później się pojawia. Myślę, że dla wszystkich, którzy mnie słuchają, bez względu na stanowisko, jest całkowicie jasne, że to, co mówię odnosi się wyłącznie do Archiwum Głównego i nie ma żadnego związku ze światem zewnętrznym, gdzie przez wzgląd na zdrowie fizyczne i psychiczne istnieje zwyczaj grzebania zmarłych. Ośmielam się jednak twierdzić, że my, którzy tu, w Archiwum Głównym Akt Stanu Cywilnego wypisujemy i gromadzimy papiery żywych i umarłych, właśnie z uwagi na zdrowie fizyczne i psychiczne powinniśmy utworzyć jedno wielkie archiwum, nazwane po prostu historycznym, w którym żywi i martwi byłiby nierozłączni, skoro już w świecie zewnętrznym prawo, obyczaj i strach na to nie pozwalają. Wydam zatem polecenie służbowe nakazujące co następuje, po pierwsze, poczynając od dnia dzisiejszego zmarli pozostają na tym samym miejscu, gdzie byli za życia, po drugie, teczka po teczce, dokument po dokumencie, od najświeższych po najdawniejsze, czyli wszystkie akta dotyczące przeszłości będą stopniowo włączane do archiwum, które dla wszystkich stanie się teraźniejszym. Wiem, że jest to praca na dziesiątki lat, którą po naszej śmierci będą kontynuować następne pokolenia, aż do chwili, gdy papiery ostatniego zmarłego, rozsypujące się, pogryzione przez mole, pokryte pyłem stuleci wrócą do świata, z którego na skutek ostatecznego i zbędnego gwałtu zostały usunięte. Podobnie jak definitywna śmierć jest wynikiem woli zapomnienia, wola pamiętania może zapewnić życiu wieczne trwanie. Gdybym zechciał zasięgać waszej opinii, być może wysunęlibyście pozornie ważki argument, że takie trwanie na nic się nie zda tym, którzy umarli. Taki argument może wysunąć jedynie ktoś, kto widzi tylko czubek swego nosa. Gdybym coś takiego usłyszał i gdybym uznał za stosowne odpowiedzieć, wyjaśniłbym wam, że cały czas mówię wyłącznie o życiu, nie o śmierci, i jeśli do tej pory tego nie pojęliście, to znaczy, że w ogóle nie jesteście w stanie czegokolwiek zrozumieć. Ta sarkastyczna uwaga była wstrząsem dla słuchaczy, do tej

chwili traktujących słowa szefa z najwyższą rewerencją. Kustosz na powrót stał się szefem, którego dobrze znali, wyniosłym, ironicznym, bezwzględny w sądach i egzekwowaniu dyscypliny, co jasno potwierdził dalszy ciąg jego wypowiedzi, Muszę wam jeszcze powiedzieć, wyłącznie w waszym interesie, że byłby to z waszej strony kardynalny błąd, gdybyście moje szczere i płynące z serca słowa wzięli za przejaw osobistej słabości lub obniżenia oficjalnego autorytetu. Jeśli nie ograniczyłem się do wydania polecenia połączenia archiwów, bez żadnych wyjaśnień, do czego mam prawo, to tylko dlatego, że chciałem, byście zrozumieli głębokie przyczyny tej decyzji i byście tę pracę wykonywali w poczuciu tworzenia czegoś nowego, a nie z biurokratyczną obojętnością urzędnika, któremu polecono przenosić papiery. Nadal obowiązuje ta sama dyscyplina, żadnej nieuwagi, żadnego roztargnienia, ani słowa bezpośrednio nie związanego z pracą, żadnych spóźnień, żadnego rozluźnienia obyczajów, tak w zachowaniu, jak i w wyglądzie. Z pewnością pije do mnie, pomyślał pan José, bo się nie ogoliłem, jednak się tym nie przejął w nadziei, że na tej aluzji się skończy, tak czy inaczej schylił głowę, niczym uczeń, który nie odrobił lekcji i chce uniknąć wywołania do tablicy. Wyglądało na to, że przemówienie dobiegło końca, ale nikt się nie ruszał, gdyż należało czekać na polecenie powrotu do pracy, toteż wszyscy się przestraszyli, gdy znenacka kustosz głośno i ostro zawołał, Panie José. Wezwany zerwał się na równe nogi, O co mu chodzi, groźna mina kustosza zdawała się mówić, że przyczyną nagłego wezwania nie może być nie ogolona broda, toteż w ogarniętej paniką głowie pana José jakiś przerażony głos krzyczał, To musi być coś znacznie poważniejszego niż zwykła nagana, kustosz tymczasem szedł w jego stronę, a kiedy przed nim stanął, pan José, wstrzymując oddech, czekał na jego pierwsze słowo jak skazaniec na ostrze gilotyny, szarpnięcie sznura lub salwę plutonu egzekucyjnego, szef zaś powiedział, Pańska broda, po czym odwrócił się na pięcie i dał znak do rozpoczęcia pracy. Na jego twarzy malowała się jakaś ulga, jakiś dziwny spokój, jakby również on sam dotarł do kresu jakiejś podróży. Nikt nie podzielił się z panem José tymi wrażeniami, po pierwsze, żeby nie podsycać jego skłonności do fantazjowania, po wtóre dlatego, że rozkaz był jasny, Ani słowa nie związanego bezpośrednio z pracą.

\*

Na cmentarz wchodzi się przez stary budynek, od frontu bliźniaczo podobny do Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego. Do zabytkowych drzwi prowadzą takie same trzy stopnie z czarnego kamienia, a w górnej części fasady jest pięć identycznych wąskich okien. Gdyby nie duża, dwuskrzydłowa brama przylegająca do budynku, jedyną widoczną różnicą byłaby tabliczka nad wejściem, na której wypisano, również farbą, Cmentarz Główny. Brama od dawna jest zamknięta, gdyż przestała spełniać swoją podstawową funkcję, a mianowicie zapewniać dogodny dostęp na cmentarz zarówno orszakom pogrzebowym, jak i odwiedzającym groby. Na początku swego istnienia Cmentarz, podobnie jak na wszystkie cmentarze na tym czy jakimkolwiek innym świecie, był bardzo miły, zajmował zaledwie skrawek ziemi na peryferiach ówczesnego załążka miasta, jego front wychodził na pola i łąki, lecz z biegiem czasu, co niestety było nieuniknione, bez przerwy się rozrastał, aż wreszcie zamienił się w ogromną nekropolię. Z początku był otoczony murem, jednak z każdym nowym pokoleniem, gdy ciasnota zaczynała utrudniać zarówno lokowanie zmarłych według wcześniej ustalonego porządku, jak i poruszanie się żywych, podobnie jak w Archiwum Głównym burzono mury i przesuwano je nieco dalej. Pewnego dnia, będzie już ze cztery wieki temu, ówczesny zarządca cmentarza wpadł na pomysł, żeby zburzyć wszystkie mury z wyjątkiem tego od ulicy, co według niego było jedynym sposobem na ożywienie związków uczuciowych między tymi, którzy są wewnątrz, a tymi, którzy są na zewnątrz murów, jako że w owym czasie te związki bardzo się rozluźniły, czego naocznym dowodem było zaniedbanie grobów, szczególnie najdawniejszych. Uważał, że mury, choć pożyteczne z punktu widzenia higieny i przyzwoitości, miały też negatywny skutek, gdyż sprzyjały zapomnieniu, co zresztą nie powinno dziwić, wszak mądrość ludowa głosi od niepamiętnych czasów, że co z oczu, to i z serca. Wiele przemawia za tym, że szef Archiwum kierował się wyłącznie względami natury wewnętrznej, wydając wbrew tradycji i rutynie polecenie połączenia archiwaliów żywych i umarłych i w ten sposób powtórnie integrując społeczność ludzką w tej szczególnej dziedzinie dokumentacji znajdującej się w jego gestii. Tym trudniej zrozumieć, dlaczego wcześniej nie skorzystał z prekursorskiego przykładu zarządcy Cmentarza, człowieka wprawdzie skromnego, prostego i nieuczonego, co było normalne na takim stanowisku w owych czasach, lecz mającego rewolucyjne pomysły, którego innowacja, co ze smutkiem stwierdzamy, nie została uwieczniona stosownym napisem nagrobnym. Wręcz przeciwnie, od czterech

stuleci pamięć nieszczęsnego nowatora kalają przekleństwa, wyzwiska, oszczerstwa i zniewagi, jemu bowiem przypisuje się winę za obecną sytuację nekropolii, określaną jako katastrofalna i chaotyczna, gdyż Cmentarz Główny nie tylko nadal jest pozbawiony murów, ale wzniesienie ich stało się niemożliwe. Zaraz to wyjaśnimy. Jak już wspomniano, Cmentarz nie rozrastał się sam przez się, nie miał bowiem jakiejś swoistej woli, makabrycznej właściwości reprodukcyjnej, w wyniku której zmarli nieopatrznie rodziłiby zmarłych, rozrósł się wyłącznie dlatego, że bezustannie rosła liczba mieszkańców, a wraz z nią poszerzały się obszary zabudowane. Jeszcze w czasach, gdy był otoczony murem, w kolejnych epokach działo się coś, co obecnie określa się jako skokowy przyrost demograficzny w ośrodkach miejskich. Rozległe pola na tyłach Cmentarza stopniowo się zaludniały, powstawały małe aglomeracje, osady, wsie, osiedla, wiejskie rezydencje i w miarę, jak ich przybywało, miejscami zaczęły się ze sobą łączyć, a miejscami zostawały między nimi spore połacie ziemi uprawnej, lasów, pastwisk lub nieużytków. Na te wolne tereny zaczął wciskać się Cmentarz po zburzeniu murów. Niczym powódź, która najpierw zatapia obszary najniżej położone, potem rozlewa się krętymi strumieniami po równinach, aż wreszcie stopniowo podchodzi na wzniesienia, Cmentarz zaczął się rozprzestrzeniać, niejednokrotnie z wielką szkodą dla rolnictwa, gdyż osaczeni chłopcy byli zmuszeni sprzedawać zagony, groby bowiem otaczały sady, zasiewy, stodoły i zagrody dla bydła, widać je było z domów, niekiedy, by tak rzec, znajdowały się drzwi w drzwi. Z lotu ptaka Cmentarz Główny przypomina ogromne leżące drzewo, którego krótki, gruby pień tworzy pierwotny zespół najstarszych grobów, od pnia odchodzą cztery grubsze konary, bliskie u nasady, lecz potem rozwidlające się hen, daleko, tworząc wedle słów natchnionego poety gęstą koronę, w której życie i śmierć są trudne do rozróżnienia, podobnie jak w prawdziwych drzewach trudno rozróżnić ptaszęta od listowia. Z tego właśnie powodu brama Cmentarza Głównego przestała służyć jako wejście dla orszaków pogrzebowych. Otwiera się ją bardzo rzadko, kiedy zjawia się badacz nagrobków, który dokonawszy na miejscu oględzin jakiejś prastarej steli, prosi o zezwolenie na wykonanie kilku odlewów, co pociąga za sobą konieczność użycia różnych surowców, takich jak gips, pakuły, druty, niekiedy też wykonuje dodatkowo precyzyjne fotografie wymagające światła, reflektorów, zasilaczy, fotometrów, parasoli i innych urządzeń, których, z uwagi na to, żeby nie zakłócać pracy kancelarii, nie pozwala się wnosić przez wewnętrzne drzwi łączące budynek z Cmentarzem.

Mimo tego nadmiaru szczegółów, które komuś mogą się wydać zbędne, dlatego uprzedzając ewentualne zarzuty i pozostając ciągle w kręgu porównań botanicznych, przypominamy, że przecież las nie przesłania drzew, a więc mimo tego nagromadzenia jest możliwe, że jakiś słuchacz tej historii, ktoś uważny i czujny, kto nie stracił poczucia normatywnej konieczności, będącej wynikiem procesów myślowych uwarunkowanych głównie metodą zdobywania wiedzy, że taki właśnie słuchacz zdecydowanie wypowie się przeciwko istnieniu, a tym bardziej upowszechnieniu cmentarzy tak źle zarządzanych i tak obłąkańczych jak ten, który doszedł do tego, że krok w krok towarzyszy miejscom zarezerwowanym wyłącznie dla żywych, a mianowicie domom, ulicom, placom, parkom i skwerom, teatrom i kinom, kawiarniom i restauracjom, szpitalom, domom wariatów, posterunkom policji, boiskom, placom zabaw, targowym i wystawowym, parkingom, supermarketom, sklepikom, zaułkom, uliczkom i alejom. Nawet rozumiejąc nieuniknioną konieczność powiększania Cmentarza Głównego stosowanie do rozwoju miasta i wzrostu liczby mieszkańców, ów słuchacz stwierdzi, że teren przeznaczony na ostatni spoczynek powinien mieścić się w określonych granicach i spełniać określone wymogi. Zwyczajny czworobok otoczony wysokim murem, bez żadnych ozdób i fantazyjnych upiększeń architektonicznych z powodzeniem mógłby zastąpić tę ogromną ośmiornicę, trzeba jednak przyznać, bez obrazy dla poetyckiej wyobraźni, że istotnie bardziej niż drzewo Cmentarz Główny przypomina ośmiornicę, rozciągającą na wszystkie strony swoje macki, osiem, szesnaście, trzydzieści dwie, sześćdziesiąt cztery, które jakby zamierzały w końcu objąć cały świat. W krajach cywilizowanych istnieje zwyczaj, którego zasadność sprawdziła się w praktyce, że ciało pozostaje w ziemi na ogół od czterech do pięciu lat, po czym, chyba że za sprawą cudu nie ulega rozkładowi, wyjmuje się resztki, które nie uległy rozpadowi w wyniku żrącego działania wapna i trawienia robaków, żeby zrobić miejsce komuś innemu. W cywilizowanych krajach nie istnieje coś tak absurdalnego jak stałe miejsce na cmentarzu i przekonanie o nietykalności każdego grobu, jakby wieczność śmierci miała rekompensować ulotność życia. Konsekwencje tego widać gołym okiem, zamknięta brama, zamęt w ruchu wewnętrznym i coraz większe objazdy, jakie pogrzeby muszą robić poza Cmentarzem, żeby dotrzeć na właściwe miejsce, gdzieś na samym końcu którejś z sześćdziesięciu czterech macek ośmiornicy, dokąd nie da się trafić bez przewodnika. Cmentarz, podobnie jak Archiwum Główne, o czym wcześniej zapomnieliśmy powiedzieć, za swoją niepisaną dewizę przyjął słowa

Wszystkie Imiona, choć prawdę mówiąc, odnoszą się one w pełni tylko do Archiwum, gdyż właśnie tam naprawdę znajdują się wszystkie imiona, zarówno zmarłych, jak i żywych, podczas gdy Cmentarz, ze swej istoty będący ostatnim miejscem przeznaczenia i miejscem ostatniego spoczynku, musi się zadowolić wyłącznie imionami zmarłych. Ten oczywisty fakt nie przemawia jednak do zarządców Cmentarza, którzy określają go jako pozorną niższość ilościową i komentują, wzruszając ramionami, Wcześniej czy później wszyscy tu trafią, Archiwum Główne Akt Stanu Cywilnego jest jedynie odgałęzieniem Cmentarza Głównego. Chyba nie trzeba mówić, że nazwanie Archiwum odgałęzieniem jest poczytywane za obelgę. Jednakże mimo całej tej rywalizacji i emulacji zawodowej, stosunki między pracownikami Archiwum i Cmentarza są oparte na przyjaźni i wzajemnym szacunku, gdyż prócz współpracy instytucjonalnej, wynikającej z powiązań formalnych oraz zbieżności statutowych, obie instytucje zdają sobie sprawę z tego, że pracują na przeciwległych krańcach tej samej niwy, zwanej życiem, która rozciąga się między nicością a nicością.

Pan José bywał już niejednokrotnie na Cmentarzu. Urzędowa potrzeba sprawdzania, wyjaśniania rozbieżności, porównywania danych i usuwania nieścisłości sprawia, że pracownicy Archiwum dość często muszą udawać się na Cmentarz, prawie zawsze są to kanceliści, z rzadka referenci, zaś nigdy kierownicy i szef oczywiście nigdy. Z tych samych powodów kanceliści i niekiedy referenci Cmentarza Głównego odwiedzają Archiwum i są tu przyjmowani z równą serdecznością, jaka niebawem zostanie okazana panu José. Podobnie jak fasada, również i wewnątrz budynku jest dokładną kopią Archiwum, choć pracownicy Cmentarza twierdzą, że to Archiwum jest kopią Cmentarza, w dodatku niepełną, zważywszy na brak bramy, na co ci z Archiwum odpowiadają, Ładna mi brama, wiecznie zamknięta. Tak czy inaczej jest tu identyczna barierka na całą szerokość ogromnej sali, takie same niebotyczne regały, biurka są również ustawione w kształcie trójkąta, którego podstawę stanowi osiem biurka kancelistów, za nimi czterech referentów, potem dwóch kierowników, którzy są zastępcami zarządcy, podobnie jak w Archiwum kierownicy są zastępcami kustosza i wreszcie na wierzchołku trójkąta siedzi zarządca. Wspomniani urzędnicy nie są jednak jedynymi pracownikami Cmentarza. Po obydwu stronach drzwi wejściowych znajdują się jeszcze długie ławki, na których, twarzą do barierki, siedzą przewodnicy. Niektórzy nazywają ich brutalnie, jak to dawniej bywało, grabarzami, lecz w oficjalnym biuletynie municypalnym ta kategoria

pracownicza jest określana jako przewodnik cmentarny, co wcale nie jest, jak by można sądzić, jakimś eufemizmem, użytym w dobrej wierze, żeby zatuszować okrutne i bolesne skojarzenia z łopatą kopiącą prostokątny dół, jest to bowiem odpowiednia nazwa dla kogoś, kto nie tylko zakopuje nieboszczyka w ziemi, lecz również prowadzi go po jej powierzchni. Owi przewodnicy pracujący parami czekają, siedząc w milczeniu, na przybycie orszaku pogrzebowego i wówczas zaopatrzeni w marszrutę, sporządzoną przez kancelistę, któremu przypadł dany zmarły, wsiadają do czekającego na parkingu samochodu, mającego z tyłu migający świetlny napis Idź za mną, jaki widzi się na lotnisku, a więc przynajmniej pod tym względem zarządca Cmentarza Głównego ma rację, twierdząc, że są bardziej zaawansowani pod względem nowoczesnej technologii niż w Archiwum Głównym, gdzie do tej pory przestrzega się tradycji nakazującej pisać piórem maczanym w kałamarzu. Istotnie, kiedy się widzi samochód pogrzebowy i cały orszak posłusznie posuwający się za przewodnikami po zadbanych ulicach miasta i podmiejskich wertepach, w ślad za migającym napisem Idź za mną, Idź za mną, Idź za mną, aż do samego grobu, trudno nie pogodzić się z tezą, że nie wszystko na świecie zmienia się na gorsze. Nie od rzeczy będzie jeszcze wspomnieć, choć nie ma to specjalnego znaczenia dla całościowego zrozumienia niniejszej relacji, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech osobowości przewodników jest przeświadczenie, że świat naprawdę jest rządzony przez wyższą inteligencję, wrażliwą na ludzkie potrzeby, bo jak mawiają, gdyby było inaczej, to samochody nie zostałyby wynalezione dokładnie w czasie, gdy zaczęły być potrzebne, to znaczy, gdy Cmentarz Główny rozrósł się do tego stopnia, że transport zwłok tradycyjnymi środkami lokomocji, takimi jak drąg i sznur lub wózek na dwóch kółkach, byłby prawdziwą drogą krzyżową na gólgotę. Jeśli ktoś grzecznie zwróci im uwagę, żeby uważali na słowa, gdyż droga krzyżowa i gólgota znaczy jedno i to samo i że nie ma sensu używać wyrażeń związanych z bólem odnośnie do kogoś, kto raz na zawsze przestał cierpieć, jest bardziej niż pewne, że odburkną niegrzecznie, Niech każdy pilnuje własnego nosa.

Po wejściu do kancelarii pan José skierował się prosto do barierki, patrząc z ukosa na siedzących przewodników, których nie lubił, gdyż przez nich Cmentarz górował nad Archiwum liczbą pracowników. Wszyscy go tutaj znali, nie musiał więc pokazywać legitymacji służbowej stwierdzającej, że jest pracownikiem Archiwum Głównego, a jeśli chodzi o jego słynne referencje, to nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby je wziąć, gdyż



najmniej doświadczony kancelista od razu by odkrył, że dokument od początku do końca jest fałszywy. Spośród ośmiu pracowników siedzących przy barierce wybrał mężczyznę, który mu przypadł do gustu, trochę starszego niż on sam, z nieobecnym wyrazem twarzy, jakby już niczego nie oczekiwał od życia. Ilekroć pan José przychodził do kancelarii, był on zawsze w pracy, podobnie jak wszyscy inni urzędnicy. Dlatego też z początku myślał, że urzędnicy cmentarnej kancelarii nie korzystają z wolnych niedziel ani urlopów, że pracują przez okrągły rok, aż wreszcie ktoś mu wyjaśnił, że tak nie jest, gdyż jest grupa osób pracujących na zlecenie we wszystkie niedziele, Czasy niewolnictwa dawno minęły, panie José. Oczywiście urzędnicy Cmentarza Głównego od

dawna starają się o to, by te same osoby zastępowały ich również w sobotnie popołudnia, lecz jakoby z powodu budżetu i funduszy do tej pory ich roszczenia nie zostały zaspokojone, nic im nie pomogło powoływanie się na przykład Archiwum Głównego, gdzie w soboty pracuje się do południa, gdyż zwierzchnik, który odrzucił prośbę, powiedział zjadliwie, Żywi mogą poczekać, umarli nie. Było więc rzeczą niezwykłą, że pracownik Archiwum zjawił się u nich służbowo w sobotnie popołudnie, zamiast odpoczywać wraz z rodziną gdzieś na wsi, zająć się domowymi naprawami, odkładanymi na wolną chwilę lub po prostu leniuchować, bądź zastanawiać się, czemu służy wolny czas, skoro nie wiadomo, co z nim zrobić. Nie chcąc wzbudzać niepotrzebnego zdziwienia, które mogłoby się okazać kłopotliwe, pan José od razu zaspokoił ciekawość rozmówcy zawczasu przygotowanym wyjaśnieniem, To sprawa wyjątkowa, bardzo pilna, mój kierownik chce mieć tę informację w poniedziałek rano, dlatego prosił, żebym załatwił ją dzisiaj, w czasie wolnym od pracy, Skoro tak, proszę powiedzieć, o co chodzi, To bardzo proste, chcemy tylko wiedzieć, kiedy ta kobieta została pochowana. Kancelista wziął kartę, którą pan José mu pokazał i poszedł zasięgnąć opinii stosownego referenta. Pan José nie słyszał ich rozmowy, zarówno z powodu odległości, jak i dlatego, że tutaj, podobnie jak w Archiwum, rozmawia się przyciszonym głosem, lecz zobaczył, że referent potakująco skinął głową, a z ruchu warg odgadł, że powiedział, Można poinformować. Kancelista podszedł do stojącej wzdłuż barierki kartoteki, która mieściła karty zmarłych z ostatnich pięćdziesięciu lat, pozostałe leżały na półkach, ciągnących się w głąb budynku, otworzył szufladkę, znalazł kartę zmarłej kobiety, przepisał datę, o którą chodziło, i wrócił do pana José, Proszę bardzo, i dodał, jakby uznał, że to może mieć znaczenie. Jest w kwaterze samobójców. Pan José

poczuł nagły skurcz w dołku, czyli mniej więcej tam, gdzie, jak wyczytał w czasopiśmie popularnonaukowym, połączenie nerwów tworzy coś w rodzaju wieloramiennej gwiazdy, zwanej splotem słonecznym, zdołał jednak ukryć zdumienie, przybierając automatycznie maskę obojętności, przyczyna śmierci musiała być podana w zagubionym świadectwie zgonu, którego nie widział, a przecież powinien, skoro jest urzędnikiem Archiwum, w dodatku zajmującym się służbowo tą sprawą. Starannie złożył kartkę, schował ją do portfela, podziękował za informację, nie zapominając powiedzieć, jak wypadło koledze po fachu, choć obydwaj byli tylko kancelistami, że gdyby czegoś potrzebował z Archiwum, może zawsze na niego liczyć. Pan José zrobił już dwa kroki w stronę drzwi, lecz zawrócił, Pomyślałem sobie, że może skorzystam z okazji i pospaceruję trochę po Cmentarzu, gdybyście pozwolili mi przejść przez budynek, nie musiałbym obchodzić dookoła, zaraz zapytam, powiedział kancelista. Podszedł do referenta, z którym przed chwilą rozmawiał, lecz ten nic nie powiedział, tylko wstał i skierował się do kierownika. Choć kierownik siedział jeszcze dalej, pan José z kiwnięcia głową i ruchu warg domyślił się, że otrzyma zgodę na przejście wewnętrznymi drzwiami. Kancelista nie wrócił od razu do barierki, najpierw podszedł do szafy, wyjął duży arkusz papieru i umieścił go pod klapą jakiejś maszyny z kolorowymi światełkami. Nacisnął przycisk, rozległ się hałas mechanizmu i przez boczny otwór wyszła kartka papieru mniejsza od tamtej. Kancelista schował arkusz do szafy i wreszcie podszedł do barierki, Lepiej, żeby pan wziął ze sobą mapę, czasem ludzie się gubią, co przysparza nam wielu kłopotów, gdyż do poszukiwań używa się samochodów, przez co mamy opóźnienia w pracy, pogrzeby muszą czekać, Ludzie łatwo wpadają w panikę, wystarczy przecież iść prosto przed siebie, w tym samym kierunku i zawsze gdzieś się dojdzie, choć u nas, w archiwum zmarłych to bardzo trudne, tam nie ma linii prostych, Teoretycznie ma pan rację, jednak tutaj linie proste tworzą labirynt, bez przerwy się urywają, zmieniają kierunek, wystarczy obejść grób dookoła i już człowiek nie wie, gdzie jest, U nas w Archiwum używamy nici Ariadny, jest niezawodna, My też przez pewien czas tak robiliśmy, ale niedługo, gdyż wielokrotnie ktoś przecinał sznurek i nie udało nam się odkryć ani sprawcy, ani przyczyny tych dowcipów, W każdym razie to nie sprawka zmarłych, Nigdy nie wiadomo, Osoby, które zabłądziły, były pozbawione inicjatywy, mogły kierować się słońcem, Niektórzy tak robili, ale czasem niebo jest zachmurzone, W Archiwum nie mamy takich maszyn, Żeby pan wiedział, jak to ułatwia pracę. Trzeba było kończyć rozmowę, gdyż referent dwukrotnie spojrzął w ich

stronę, za drugim razem marszcząc już brwi i pan José powiedział półgłosem, referent już dwa razy na nas spojrzął, nie chcę, żeby pan miał przeze mnie kłopoty, Jeszcze tylko wskażę panu miejsce pochówku tej kobiety, proszę spojrzeć na koniec tego odgałęzienia, ta falująca linia to strumień, który na razie stanowi granicę, grób znajduje się w tym zakątku, rozpozna go pan po numerze, Myślałem, że po nazwisku, Nie wiem, czy już jest tabliczka z nazwiskiem, najważniejszy jest numer, nazwiska nie zmieściłyby się na mapie, musiałyby być wielka jak świat, W skali jeden do jednego, Tak, ale i wówczas nazwiska nakładałyby się na siebie, Czy to aktualna mapa, Tak, aktualizujemy ją co dzień, Niech mi pan powie, skąd pan wiedział, że chcę zobaczyć grób tej kobiety, Po prostu na pana miejscu zrobiłbym to samo, Dlaczego, żeby mieć pewność, że umarła, Nie, że żyła. Referent spojrzął na nich po raz trzeci, zrobił ruch, jakby miał zamiar wstać, lecz nie zdążył, gdyż pan José szybko pożegnał kancelistę. Jeszcze raz dziękuję, powiedział, kłaniając się lekko zarządcy, co zawsze jest wskazane wobec takich osobistości, podobnie jak wskazane jest dziękowanie niebiosom, z tą różnicą, że w tym przypadku nie pochylamy głowy, lecz ją podnosimy.

Najstarsza część Cmentarza Głównego, która ciągnie się kilkadziesiąt metrów w głąb na tyłach budynku administracji, jest ulubionym miejscem badań archeologicznych. Prastare kamienie, niektóre tak zniszczone przez czas, że widoczne na nich słabe rysy równie dobrze mogą być pozostałością liter, jak i śladem po niewprawnym dłucie, są ciągle przedmiotem gorących sporów i polemik, dotyczących nie tyle tożsamości znajdujących się pod nimi ludzkich szczątków, gdyż w większości przypadków okazało się to niemożliwe, ile wieku samych kamieni. Nawet niewielkie różnice w ich datowaniu, na przykład jakieś sto lat w jedną czy w drugą stronę, wywoływały nie kończące się spory zarówno publiczne, jak i naukowe, prawie zawsze kończące się zerwaniem znajomości i śmiertelną nienawiścią. Dyskusje stawały się jeszcze bardziej zażarte, jeżeli to w ogóle możliwe, kiedy oliwy do ognia dolewali historycy i krytycy sztuki, o ile bowiem archeolodzy mogli względnie łatwo uzgodnić znaczenie szeroko rozumianego pojęcia dawności bez wchodzenia w szczegółowe daty, o tyle problem piękna i prawdziwości stawiał historyków i estetyków, tak mężczyzn, jak i kobiety, po przeciwnych stronach barykady i bywało, że jakiś krytyk nagle zmieniał zdanie tylko dlatego, że w wyniku wcześniejszej zmiany zdania przez oponenta ich poglądy stały się zbieżne. Cmentarz Główny, z jego dzikimi zaroślami, kwiatami, pnączami, gęstymi kępami, festonami i

girlandami, pokrzywami, ostami i ogromnymi drzewami, których korzenie nierzadko rozsadzały nagrobne płyty i wydobywały na światło dzienne zdziwione kości, tchnął niewymownym spokojem, który jednak na przestrzeni wieków bywał zakłócany przez ostre potyczki słowne, przechodzące czasem w rękoczyn. Gdy dochodziło do takich incydentów, zarządca zaczynał od tego, że nakazywał będącym pod ręką przewodnikom rozdzielanie znakomitych adwersarzy, a jeśli to nie pomagało, zjawiał się sam we własnej osobie i ironicznie przypominał walczącym, że nie warto targać się za włosy za życia z powodu takiej błahostki, gdyż wcześniej czy później wszyscy znajdą się tu jako łysi. Podobnie jak szef Archiwum Głównego, zarządca Cmentarza jest mistrzem w sztuce sarkazmu, potwierdzając tym samym rozpowszechnione przekonanie, że jest to cecha charakteru konieczna do pełnienia tak wysokich funkcji, oczywiście w połączeniu z odpowiednimi kwalifikacjami teoretycznymi i praktycznymi z zakresu archiwistyki. Jest jednak coś, co do czego wszyscy, tak archeolodzy i historycy, jak i estetycy są zgodni, a mianowicie dla wszystkich jest rzeczą bezsporną, że Cmentarz Główny jest doskonałym katalogiem, ekspozycją i kompendium wszelkich możliwych stylów, szczególnie w architekturze, rzeźbie i zdobnictwie, stanowiąc tym samym przegląd dotychczasowych sposobów widzenia, bycia i budowania od czasów najdawniejszych do dnia dzisiejszego, od pierwszego prymitywnego szkicu ludzkiej postaci, poprzez rysunki ryte w żywej skale, aż po chromowaną stal, włókna syntetyczne i lustrzane szyby stosowane na każdym kroku w naszych czasach, o których cały czas tu mówimy.

Pierwszymi nagrobkami były dolmeny, mastaby i kurhany, potem, niczym wielkie reliefowe stronice zaczęły pojawiać się nisze, ołtarze, tabernakula, granitowe dzbany, marmurowe wazy, płyty gładkie i zdobione, kolumny doryckie, jońskie, korynckie, i kompozytowe, kariatydy, fryzy, akanty, belkowania i frontony, ślepe sklepienia, prawdziwe sklepienia, a także połączenia murów zwieńczonych warstwą cegieł, strzeliste ściany szczytowe, prześwity, rozety, gargulce, wysokie okna, tympanony, wieżyczki, kamienne posadzki, łuki przyporowe, kolumny, pilastry, posągi leżących mężczyzn w hełmach, w zbroi, z szablą u boku, kapitele ze scenami i bez, kampanule, lilie, nieśmiertelniki, dzwonnice, kopuły, posągi leżących kobiet ze spłaszczonymi piersiami, malowidła, łuki, warujące psy, dzieci w powijakach, kobiety składające dary, płaczki z chustami na głowach, iglice, żebrowania, witraże, trybuny, ambony, balkony, kolejne tympanony, kapitele i łuki, anioły z rozpostartymi skrzydłami, anioły z opuszczonymi

skrzydłami, medaliony, urny puste, urny zwieńczone kamiennymi płomieniami lub spowite miękko spływającym kirem, melancholie, łzy, majestatyczni mężczyźni, wspaniałe kobiety, śliczne dzieci, które śmierć zabrała w kwiecie wieku, starcy i staruszki, którzy już nie mogli się jej doczekać, krzyże całe i połamane, schody, gwoździe, cierniste korony, lance, zagadkowe trójkąty, gdzieś jakiś niezwykle kamienny gołąb oraz stada żywych gołębi bezustannie szybujących nad tym świętym miejscem. A poza tym cisza. Cmentarna cisza z rzadka przerywana krokami jakiegoś miłośnika samotności, który w przyływie nagłego smutku odchodzi zadumany od grobu, gdzie żałobnicy wciąż płaczą i składają świeże, jeszcze nabrzmiałe sokami kwiaty i zapuszcza się, by tak rzec, w najgłębsze pokłady czasu, między grobowce sprzed trzech tysięcy lat, wprawdzie różniące się kształtem, formą i zamysłem, lecz jednako opuszczone i zapomniane, gdyż ból, którego niegdyś były przyczyną, jest tak zamierzchły, że nie ma już spadkobierców. Pan José, który z mapą w ręce, choć prawdę mówiąc, przydałby mu się też kompas, zmierza w kierunku kwatery samobójców, czasami zwalnia nieco kroku lub też zatrzymuje się, by podziwiać jakiś fragment rzeźby upstrzony ciemnymi plamami mchu lub zaciekami spływającego deszczu, jakieś płaczki zastygłe między jednym a drugim zawodzeniem, jakieś uroczyste daniny, jakieś fałdy, lub też z trudem sylabizuje jakiś napis, którego pisownia zwróciła jego uwagę, mimo że przebrnięcie przez pierwszą linijkę zajmuje mu sporo czasu, gdyż wprawdzie w Archiwum miewa do czynienia z pergaminami mniej więcej z tej samej epoki, ale nie jest biegły w dawnym piśmie i z tego powodu nigdy nie awansował. Gdy stanął na szczycie łagodnego pagórka, w cieniu obelisku służącego niegdyś jako słup geodezyjny, rozejrzał się wokół i stwierdził, że jak okiem sięgnąć widać tylko groby, pokrywające zbocza wzgórz, okalające urwiska i wypełniające doliny. Miliony grobów, szepnął, jak wiele miejsca można by zaoszczędzić, gdyby grzebać ciała w pozycji stojącej, jedno obok drugiego, w zwartym szyku, na baczność, jak w wojsku i każdemu postawić nad głową tylko kamienny sześcian, na którego pięciu kwadratowych ściankach byłyby wypisane główne fakty z życia zmarłego, coś jakby pięciostronicowe streszczenie niemożliwej do napisania książki. Gdzieś daleko, nad samym horyzontem, pan José wypatrył wolno sunące światełka rozbłyskujące i gasnące niczym żółte błyskawice. Były to samochody przewodników wzywające ciągnący za nimi kondukt, Idź za mną, Idź za mną, nagle jeden z nich się zatrzymał i światełko zgasło, to znaczy, że orszak żałobny dotarł do celu. Pan José spojrział na słońce, potem na zegarek i stwierdził,

że robi się późno, musi więc przyspieszyć kroku, jeśli chce przed zmierzchem dotrzeć do nieznajomej. Popatrzył na mapę, przesunął po niej palcem wskazującym, odtwarzając w przybliżeniu przebytą drogę, porównał ją z tą, która go jeszcze czeka i poczuł, że zaczyna upadać na duchu. Z mapy wynikało, że w linii prostej ma do przebycia jeszcze jakieś pięć kilometrów, ale jak już wspomniano, na Cmentarzu Głównym proste odcinki nie są zbyt długie, toteż te pięć kilometrów w linii powietrznej może w rzeczywistości wydłużyć się do siedmiu albo ośmiu. Oceniwszy czas, jakim dysponował oraz sprawność własnych nóg, pan José doszedł do wniosku, że najrozsądniej byłoby wybrać się na grób nieznajomej następnego dnia, spokojnie, bez pośpiechu, tym bardziej, że skoro już wie, gdzie go szukać, będzie mógł pojechać blisko tego miejsca taksówką lub autobusem, tak jak to robią wszyscy inni, kiedy potrzeba serca każe im iść na cmentarz, żeby się wypłakać, wstawić świeże kwiaty do wazonów lub zmienić wodę, szczególnie w lecie. Podczas gdy wahał się, co dalej robić, przypomniał sobie przygodę z włamaniem do szkoły, ową posępną, deszczową noc, daszek, po którym się wspinał, stromy i śliski niczym górski stok, gorączkowe poszukiwania wewnątrz budynku, był wtedy przemoczony do suchej nitki, bolały go poobcierane kolana, a mimo to, dzięki sile woli i rozumu zdołał pokonać strach oraz piętrzące się trudności, a w rezultacie odkryć tajemniczy strych i zanurzyć się w mrok jeszcze straszniejszy od tego, który zalega archiwum zmarłych. Ktoś, kto odważył się na takie rzeczy, nie ma prawa poddawać się tylko dlatego, że czeka go długi marsz, w dodatku w pełnym słońcu, które, jak wiadomo, sprzyja bohaterom. Jeśli nie zdoła dotrzeć do grobu nieznajomej przed nocą, nim ciemności i nocne mary uniemożliwią mu dalszy marsz, może przecież przespać się do rana na którejś z tych omszałych płyt, w cieniu skrzydeł smutnego kamiennego anioła. Może też schronić się w załomie muru, pod jakąś masywną przyporą, ot, choćby taką, jaką właśnie wypatrzył w pobliżu, zreflektował się jednak, że dalej nie napotka już takich przypór, gdyż wraz z upływem czasu i rozwojem budownictwa wynaleziono inne, mniej kosztowne sposoby wzmacniania murów, doprawdy postęp w tej dziedzinie jest tutaj widoczny gołym okiem zarówno dla specjalistów, jak i laików, stąd też niektórzy porównują Cmentarz Główny do biblioteki, w której zamiast książek są groby, co właściwie na jedno wychodzi, bowiem jedne i drugie są równie pouczające. Pan José obejrzał się za siebie. Z miejsca, w którym się znajdował, mógł dojrzeć jedynie dach budynku administracji, gdyż resztę zasłaniały wysokie kaplice i posągi cmentarne, Nie

przypuszczałem, że zaszedłem tak daleko, powiedział cicho i w tej samej chwili ruszył różnym krokiem w dalszą drogę, jakby dźwięk własnego głosu ostatecznie zakończył jego wahania.

Gdy wreszcie dotarł do kwatery samobójców, zapadła szarówka. W pierwszej chwili pomyślał, że pomylił drogę albo że mapa jest niedokładna, gdyż miał przed sobą rozległy zagajnik lub raczej las i gdyby nie słabo widoczne nagrobki, łatwo mógłby wziąć mogiły rozsiane między drzewami za kępy zarośli. Nie widział strumienia, lecz słyszał cichy szmer wody płynącej po kamieniach, a kryształowozielone powietrze było bardziej, niż to zwykle bywa o zmierzchu, przesycone wilgocią. Nieznajoma została pochowana przed kilkoma dniami, a zatem jej grób powinien znajdować się na skraju kwatery, problem tylko na którym. Chcąc uniknąć błądzenia po lesie, pan José postanowił iść wzdłuż strumienia aż do ostatnich grobów. Gdy wszedł między drzewa, otoczył go mrok, jakby nagle zapadła noc. Ta cisza, te groby i ten las powinny budzić we mnie strach, szepnął pan José, a jednak jestem spokojny, jakbym był u siebie w domu, jedyne, co mi dokucza, to nogi obolałe od długiego marszu, a oto strumyk, gdybym się bał, mógłbym teraz zdjąć buty, zawiesić je na szyi, podwinąć spodnie, woda nie powinna mi sięgać wyżej kolan, przejść na drugą stronę i wkrótce znalazłbym się po drugiej stronie, wśród żywych ludzi, wśród światła, które właśnie się zapaliły. Po półgodzinnym marszu, gdy zza horyzontu wychylał się prawie okrągły księżyc, pan José dotarł na skraj cmentarza. Znajdujące się tam groby nie miały jeszcze ani kamiennych płyt z wrytymi nazwiskami, ani ozdobnych rzeźb i jedyną rzeczą, jaka je odróżniała, były zatknięte w szczycie czarne tabliczki z białymi numerami, które w mroku sprawiały wrażenie zamarłych w powietrzu białych motyli. Księżycowa poświata stopniowo rozlała się po lesie, wciskając się powoli między drzewa niczym dobra, oswojona z miejscem zjawa. Na jednej z polanek pan José znalazł to, czego szukał. Nie musiał wyciągać z kieszeni kartki, którą dostał w administracji Cmentarza, nie starał się też wcześniej zapamiętać wypisanego na niej numeru, a mimo to od razu wiedział, że to właśnie ten, który świeci w mroku, jakby był malowany fosforyzującą farbą. Jest tutaj, powiedział.

\*

W nocy panu José dokuczał chłód. W chwili gdy wypowiedział bezsensowne i zbędne słowa, Jest tutaj, jednocześnie uświadomił sobie, że zupełnie nie wie, co dalej robić. Nie ulegało wątpliwości, że po wielu trudach udało mu się wreszcie odnaleźć nieznaną, a właściwie miejsce jej wiecznego spoczynku, siedem piędzi pod ziemią, która jeszcze jego samego nosi i pomyślał, że w takim miejscu i o takiej porze powinien się bać, że dreszczem strachu powinny przejmować go szumiące drzewa, błędząca między nimi księżycowa poświata, szczególnie zaś to osobliwe zgromadzenie samobójców, ta koncentracja zdławionych głosów, które lada moment mogły się rozkrzyżeć, Odeszliśmy, nim wybiła nasza godzina, jesteśmy tu z własnej woli, jednak zamiast strachu odczuwał coś w rodzaju niepewności i wahania, jakby świadomość tego, że wszystko skończone, wcale nie oznaczała końca poszukiwań, jakby przyjście tutaj było odwiedzinami w kolejnym miejscu, bynajmniej nie ważniejszym niż dom starszej pani z parteru, szkoła, gdzie próbował się czegoś dowiedzieć, czy też archiwum zmarłych. To wrażenie było tak silne, że w końcu, jakby tłumacząc się przed samym sobą, wyszeptał, Ona nie żyje, nic więcej nie mogę zrobić, na śmierć nie ma rady. Wielogodzinna wędrówka przez Cmentarz Główny była dla niego zarazem wędrówką przez czasy i epoki, dynastie i królestwa, imperia i republiki, wojny i zarazy. W czasie, który upłynął między pierwszą bolesną agonią w dziejach ludzkości a samobójczą śmiercią nieznaną kobiety, zmarły nieprzebrane rzesze ludzi, tak więc pan José nie powinien mieć wątpliwości co do tego, że na śmierć nie ma rady. Droga, którą przemierzył, była usłana zmarłymi, a przecież żaden z nich nie powstał na odgłos jego kroków, nie poprosił, żeby mu pomóc pozbierać obrócone w proch ciało i połączyć je z rozsypanym szkieletem, żaden nie poprosił, Tchnij we mnie życie, oni bowiem, podobnie zresztą jak i my, dobrze wiedzą, że na śmierć nie ma rady, ale skoro tak jest, to czemu pana José coś dławi w gardle, czemu czuje się nieswojo, jakby stchórzył, jakby tylko połowicznie coś załatwił i teraz nie wie, jak z honorem z tego wybrnąć. Po drugiej stronie strumienia widać domy z oświetlonymi oknami, mętne światła podmiejskich latarni i od czasu do czasu ruchome błyski jadących drogą samochodów. Nieco dalej, jakieś trzydzieści metrów od pana José znajduje się mostek łączący brzegi strumienia, jeśli więc zechce przejść na drugą stronę, nie będzie musiał zdejmować butów i podwijać spodni. W innej sytuacji dawno by to zrobił, gdyż, jak wiemy, nie jest człowiekiem zbyt odważnym, teraz jednak będzie musiał zebrać się na odwagę, gdyż sytuacja jest, jaka jest, tu już nie chodzi o odwagę lub strach,



lecz o śmierć i życie, dlatego też zamiast ruszyć na drugą stronę, pan José usiadł pod drzewem, w zacisznym wnętrzu rozłupanego pnia i postanowił spędzić noc u stóp grobu, nie bacząc na swoje lęki, na wędrujące księżycowe cienie, na przejmujące zawrodozenie wiatru i na chłód płynący z nieba, który nad ranem stanie się jeszcze bardziej dotkliwy z racji chłodu bijącego od ziemi. Podniósł kołnierz marynarki, skulił się, skrzyżował ręce na piersi, dłonie schował pod pachy i był gotów wytrwać tak do samego rana. Już doskwierał mu głód, ale się tym nie przejmował, jeszcze nikt nie umarł z powodu długiej przerwy między posiłkami, chyba że spóźniony posiłek zostanie podany tak późno, że już na nic się nie zda. Pan José zastanawia się, czy rzeczywiście już wszystko skończone, czy mógłby jeszcze zrobić coś, o czym zapomniał lub może przeoczył coś istotnego, co wreszcie nadałoby sens tej dziwnej przygodzie, która spotkała go przez przypadek. W tylu miejscach poszukiwał nieznajomej i wreszcie znalazł ją tutaj, pod tym kopczykiem, który niebawem zarośnie chwastami, jeżeli w porę nie zjawi się kamieniarz, żeby go spłaszczyć i przykryć marmurową płytą z wrytym imieniem, nazwiskiem oraz datami, pierwszą i ostatnią, choć nie jest wykluczone, że na życzenie rodziny grób zostanie tylko obmurowany, a w środku będzie rosła ozdobna trawa. To drugie rozwiązanie jest korzystniejsze z dwóch powodów, po pierwsze mniej kosztuje, a po drugie grób będzie służyć za siedlisko naziemnym owadom. Tak więc nieznajoma jest tutaj, jej ziemską drogą dobiegła końca, doszła, dokąd miała dojść, zatrzymała się, gdzie chciała i koniec. A mimo to pan José nie może uwolnić się od natrętnej myśli, że właśnie do niego należy ostatni, rozstrzygający ruch jedynym pionkiem, jaki został na szachownicy, ruch, który zadecyduje o tym, czy cała gra nabierze rzeczywistego sensu, czy też na wieki zostanie nie rozstrzygnięta. Pan José jeszcze nie wie, jakie ma być to magiczne posunięcie i bynajmniej nie dlatego postanowił spędzić tu noc, że spodziewa się poznać ten sekret z poszeptów ciszy lub rysunku księżycowych światłocieni między drzewami, po prostu poczuł się jak ktoś, kto wszedł na szczyt góry, żeby zobaczyć krajobraz po tamtej stronie i nie mogąc nasycić oczu zachwycającym przestworzem, zwleka z zejściem w doliny.

Pan José schronił się pod starym drzewem oliwnym, którego owoce są nadal zbierane przez okolicznych mieszkańców, mimo że gaj oliwny zamienił się w cmentarz. Ze starości pień drzewa z jednej strony rozłupał się od góry do dołu, tworząc jakby stojącą pionowo kolebkę, w której pan José to przysypia, to budzi się przestraszony nagłym podmuchem wiatru, to znów w chwilach, gdy przyroda zamiera w głębokiej ciszy

i bezruchu, ponownie zapada w drzemkę i śnią mu się krzyki spadającego w nicość świata. W pewnej chwili, jakby doszedł do wniosku, że należy wybijać klina klinem, puścił wodze fantazji i zaczął sobie wyobrażać różne okropności zwyczajowo związane z miejscem, w którym się znajdował, a więc procesje pokutujących duchów w białych prześcieradłach, makabryczne tańce szkieletów przy rytmicznym akompaniamencie klekotu kości i złowieszczą postać ciągnącą po ziemi zakrwawioną kosę, przypominającą zmarłym, że muszą pogodzić się ze śmiercią. Ponieważ w rzeczywistości nic takiego nie zobaczył, stopniowo zaczął go ogarniać wielki wewnętrzny spokój, zakłócany od czasu do czasu jedynie przez beztrzesko latające świetliki, które mogłyby przyprawić o atak hysterii nawet osobę o żelaznych nerwach i w dodatku znającą podstawy chemii organicznej. Jak widać, pan José wykazuje się odwagą, o którą trudno by go posądzać, znając jego wcześniejsze rozterki i załamania, co jest jeszcze jednym dowodem na to, że dopiero w skrajnie trudnych warunkach wychodzi na jaw prawdziwa siła ludzkiego ducha. Nad ranem, kiedy świat zaczął się wyłaniać ze złowrogich mroków nocy i zwodniczego poblasku księżyca, pan José, który prawie wyzbył się strachu, zasnął spokojnie w ciepłych objęciach starego drzewa. Gdy się obudził, było całkiem widno. Przemarzył do szpiku kości, co by świadczyło o tym, że przyjacielski uścisk drzewa był tylko sennym marzeniem lub że wiekowa oliwka stwierdziła, iż dając mu schronienie w nocy, spełniła obowiązek gościnności, która leży w naturze tych drzew i przedwcześnie wypuściła go z opiekuńczych objęć, pozbawiając tym samym wszelkiej osłony przed przenikliwym chłodem lekkiej mgiełki unoszącej się nisko nad cmentarzem. Pan José z trudem rozprostował nogi i czując, że trzeszczą mu wszystkie stawy, pokuśtykał na słońce, wymachując jednocześnie energicznie rękami dla rozgrzewki. Przy grobie nieznanym biała owca szczypała wilgotną trawę. Wokół, między grobami, widać było całe stado pasących się owiec. W stronę pana José szedł stary mężczyzna z kijem w dłoni. Towarzyszył mu pies, zwykły kundel, niezbyt duży, który wprawdzie nie przejawiał żadnej wrogości, ale wyglądało na to, że tylko czeka na rozkaz pana, żeby zareagować. Mężczyzna stanął po drugiej stronie grobu, patrząc wyczekująco na pana José, jakby uważał, że należy mu się jakieś wyjaśnienie. Dzień dobry, powiedział pan José, Dzień dobry, odparł tamten, Piękny ranek, Owszem, Zasnąłem tu, dorzucił pan José, Ach tak, zasnął pan, powiedział tamten z powątpiewaniem, Przyszedłem na grób bliskiej osoby, usiadłem pod tym drzewem, żeby odpocząć, i zasnąłem, Spędził pan tu całą noc, Tak,

Pierwszy raz w życiu spotykam kogoś o tak wczesnej porze, kiedy moje owce się tu pasą, W ciągu dnia ich tu nie ma, spytał pan José, Nie, nie wypada, żeby owce chodziły między ludźmi podczas pogrzebów albo załatwiały naturalne potrzeby obok osób, które płaczą i modlą się przy grobach swoich bliskich, poza tym przewodnicy nie lubią, żeby im przeszkadzać podczas kopania grobów, dlatego od czasu do czasu daję im parę serów, żeby nie skarżyli się zarządcy, Skoro Cmentarz Główny nie ma żadnego ogrodzenia, to każdy może tu wejść, tak ludzie, jak i zwierzęta, byłem bardzo zdziwiony, że idąc tu od budynku administracji, nie spotkałem żadnego psa czy kota, Pełno tu bezpańskich psów i kotów, Ale nie widziałem ani jednego, Przeszedł pan pieszo tyle kilometrów, Tak, Mógł pan przecież podjechać od tej strony autobusem, taksówką lub własnym samochodem, jeżeli pan go ma, Nie wiedziałem, który to grób, więc poszedłem najpierw do administracji i potem postanowiłem skorzystać z ładnej pogody i zrobić sobie spacer, To dziwne, że nie kazali panu, jak wszystkim innym, obchodzić cmentarza naokoło, Poprosiłem, żeby pozwolili mi wejść przez budynek i zgodzili się, Jest pan archeologiem, Nie, Historykiem, Też nie, Krytykiem sztuki, Skądże znowu, Heraldykiem, Uchowaj Boże, Wobec tego nie rozumiem, po co szedł pan taki szmat drogi i jak mógł pan spać wśród grobów, choć ja przywykłem do tego otoczenia, po zachodzie słońca nie zostałbym tutaj ani chwili, Po prostu usiadłem i zasnąłem, Odważny z pana człowiek, Nie sądzę, żebym był specjalnie odważny, Znalazł pan tę osobę, Tak właśnie stoi pan przy jej grobie, To mężczyzna czy kobieta, Kobieta, Jeszcze nie ma nazwiska, Rodzina zamówiła już marmurową płytę, Zauważyłem, że rodziny samobójców dłużej niż inne zwlekają ze spełnieniem tego podstawowego obowiązku, może mają wyrzuty sumienia, może czują się winne, Możliwe, Czemu odpowiada pan na wszystkie moje pytania, przecież wcale się nie znamy, w tej sytuacji mógłby pan przecież powiedzieć, żebym nie wtykał nosa w pańskie sprawy, Taki już jestem, zawsze odpowiadam, kiedy ktoś mnie o coś pyta, Czy jest pan kimś podwładnym, podległym, zależnym, na przykład służącym lub gońcem, Jestem kancelistą w Archiwum Głównym Akt Stanu Cywilnego, Wobec tego dobrze się składa, że pozna pan prawdę o kwaterze samobójców, ale najpierw musi pan uroczyście przysiąc, że nikomu jej pan nie wyjawisz. Przysięgam na wszystkie świętości, Ale na jakie świętości, co dla pana jest święte, Sam nie wiem, Wszystko, Albo nic, Sam pan przyzna, że to niezbyt wiążąca przysięga, Wobec tego nie wiem, na co mógłbym przysiąc, Na honor, dawniej to była najpewniejsza przysięga, Mogę przysiąc na honor, ale szef

Archiwum pewnie by się uśmieł, gdyby się dowiedział, że jeden z jego kancelistów składa przysięgę na honor, Dla pasterza owiec i kancelisty jest to wystarczająco poważna przysięga i bynajmniej nie śmieszna, zostaliśmy więc przy niej, Jaka zatem jest prawda o kwaterze samobójców, spytał pan José, Tutaj nie wszystko jest tak, jakby się mogło wydawać, Przecież to cmentarz, Cmentarz Główny, To labirynt, Labirynt można od razu rozpoznać, Nie każdy, ten jest niewidzialny, Nie rozumiem, Na przykład osoba, która tu spoczywa, powiedział pasterz, dotykając grobu końcem kija, nie jest tą, za którą ją pan bierze, pan José poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg, nagle wszystko przepadło, zniknął ostatni pionek z szachownicy i ostatnia rzecz, której był pewien, czyli to, że wreszcie odnalazł nieznajomą, To znaczy, że ten numer jest niewłaściwy, powiedział roztrzęsiony pan José, Numer to tylko numer, nie może być niewłaściwy, odparł pasterz, gdyby na przykład ten przenieść w inne miejsce, choćby na koniec świata, będzie to zawsze ten sam numer, nie zmieni się, Nie rozumiem, Zaraz pan zrozumie, Proszę, niech mi pan więcej nie mąci w głowie, W żadnym z tych grobów nie leży zmarły, którego nazwisko widnieje na marmurowej płycie, Nie wierzę, Zapewniam pana, No to co jest z tymi numerami, Wszystkie są pozamieniane, Dlaczego, Ponieważ ktoś je zamienia przed położeniem płyt z nazwiskami, Kto to robi, Ja, To przestępstwo, oburzył się pan José, Żadne prawo tego nie stwierdza, Natychmiast powiadomię o tym administrację Cmentarza, Zapomniał pan o przysiędze, Odwołuję ją, w tej sytuacji jest nieważna, Zawsze można odpłacić dobrym słowem za złe, ale ani jednego, ani drugiego nie można odwołać, słowo to słowo, a przysięga to przysięga. Śmierć jest święta, Raczej o życiu mówi się, że jest święte, panie kancelisto, Przyzwoitość nakazuje okazywać zmarłym choćby odrobinę szacunku, ludzie przychodzą na groby krewnych i przyjaciół, żeby oddać cześć ich pamięci, wspominają ich, oplakują, modlą się, przy drogim imieniu kładą kwiaty, a tu okazuje się, że z powodu złośliwości jakiegoś pasterza nazwisko na płycie nie odpowiada tożsamości zmarłego, że w grobie leżą zwłoki kogoś innego, w ten sposób ze śmierci robi się farsę, Moim zdaniem oplakiwanie kogoś nieznajomego jest przejawem najwyższego szacunku, Ale śmierć, Co takiego, Śmierć należy uszanować, Może mi pan łaskawie powie, na czym ma polegać ten szacunek dla śmierci, Przede wszystkim nie należy jej profanować, Śmierci jako takiej nie można sprofanować, Dobrze pan wie, że mam na myśli zmarłych, nie śmierć jako taką, A gdzie pan tu widzi choćby cień profanacji, Zamiana nazwisk jest już dostateczną profanacją, To całkiem zrozumiałe, że

kancelista z Archiwum Akt Stanu Cywilnego ma taki stosunek do nazwisk. Pasterz zamilkł, dał znak psu, żeby przyprowadził owcę, która oddaliła się od stada i podjął przerwany wątek, jeszcze nie powiedziałem panu, dlaczego zacząłem zamieniać tabliczki z numerami, Wcale nie jestem ciekaw, Chyba jednak jest pan ciekaw, No dobrze, słucham pana, Jeśli naprawdę jest tak, jak sędzę, że ludzie odbierają sobie życie, gdyż nie chcą być odnalezieni, to tutejszym samobójcom, dzięki temu, co pan nazwał złośliwością jakiegoś pasterza, już nikt nigdy nie będzie się naprzykrzał, prawdę mówiąc, ja sam też już nie wiem, który grób jest czyj, wiem tylko, co myślę, przechodząc obok tych marmurów z imieniem, nazwiskiem oraz datami urodzenia i śmierci, Co mianowicie, Że można nie widzieć fałszu, nawet mając go przed oczami. Dopiero kiedy mgła całkiem opadła, pan José mógł zobaczyć, jak duże jest stado owiec. Pasterz machnął kijem nad głową, był to znak dla psa, żeby zaczął zbierać stado. Czas na mnie, powiedział, tylko patrzeć, jak zjawia się tu przewodnicy, o, już widzę światła dwóch samochodów, ale nie jadą tutaj, Ja jeszcze zostanę, powiedział pan José, Naprawdę chce mnie pan oskarżyć, spytał pasterz, Nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr, więc dotrzymam przysięgi, Tym lepiej, bo i tak pewnie poprosiliby pana o zachowanie milczenia, Dlaczego, Wyobraża pan sobie, jaki to byłby kłopot z ekshumacją i identyfikacją tyłu zwłok, tym bardziej, że wiele z nich obróciło się już w proch, z którego powstały. Stado było już gotowe do drogi, jeszcze tylko pojedyncze owce poganiane przez psa zwinnie przesadzały groby i dołączały do reszty. Pasterz zapytał, Jest pan przyjacielem czy krewnym osoby, do której pan przyszedł, Nawet jej nie znałem, A mimo to odszukał ją pan, Szukałem jej właśnie dlatego, że jej nie znałem, A nie mówiłem, że oplakiwanie nieznanego osoby jest wyrazem najwyższego szacunku, Do widzenia, Może jeszcze kiedyś się spotkamy, Nie sędzę, Nigdy nie wiadomo, Kim pan jest, Pasterzem tych owiec, A poza tym, Nikim. W oddali zamigotało światło, Ten samochód jedzie tutaj, powiedział pan José, Na to wygląda, przytaknął pasterz. Stado prowadzone przez psa ruszyło w stronę mostu. Po drugiej stronie pasterz odwrócił się, skinął ręką na pożegnanie, po czym skrył się między drzewami. Pan José też podniósł rękę. Migające światło samochodu przewodników było coraz wyraźniejsze. Chwilami znikало w nierównościach terenu lub chowało się za wysokimi pomnikami w kształcie wież, obelisków czy piramid, lecz szybko się zbliżało, co świadczyło o tym, że orszak pogrzebowy nie był duży. Pan José powiedział do pasterza, Ja jeszcze zostanę, gdyż przed opuszczeniem cmentarza chciał przez parę minut побыć

sam. Chciał zastanowić się nad swoim losem, nad rozczarowaniem, jakiego doznał, pogodzić się z nim, odzyskać spokój ducha i powiedzieć sobie raz na zawsze, Wszystko skończone, ale nagle zaświtała mu nowa myśl. Podeszedł do pobliskiego grobu i przyjął postawę człowieka, który głęboko zamyślił się nad nieuchronną marnością istnienia, nad próżnością wszelkich marzeń i nadziei, nad bezwzględnością ulotnością blasków ziemskiej i boskiej chwały. Wyglądał na tak bardzo pogrążonego w zadumie, że jakby nie zauważył pojawienia się przewodników w asyście kilku osób uczestniczących w pogrzebie. Nawet nie drgnął podczas kopania grobu, spuszczenia trumny, zasypywania dołu i formowania zwyczajowego kopca. Nawet nie drgnął, kiedy jeden z przewodników zatknął w szczycie grobu czarną metalową tabliczkę z białym numerem. Nawet nie drgnął, kiedy odjeżdżał karawan i samochód przewodników, nawet nie drgnął, podczas gdy żałobnicy przez parę chwil wymieniali nad grobem zdawkowe uwagi i ocierali skąpe łzy, nie drgnął też, gdy wsiedli do dwóch samochodów i przejechali przez most. Nawet nie drgnął, póki nie został sam. Wtedy podeszedł do grobu nieznajomej, wyjął tabliczkę z numerem i wetknął ją w świeżo usypany grób. Potem nową tabliczkę wetknął w grób nieznajomej. Zamiana została dokonana, prawda zamieniła się w fałsz. Jest jednak prawdopodobne, że nieświadomy niczego pasterz, widząc nowy grób, powtórnie zamieni tabliczki i w ten sposób, dziwnym zrzędzeniem losu, podwójne oszustwo znów zamieni się w prawdę. Wszystko jest możliwe, życie jest pełne niespodzianek. Po drodze pan José wstąpił do kawiarni, wypił kawę z mlekiem i zjadł grzanekę. Był strasznie głodny.

\*

Po powrocie do domu pan José natychmiast położył się do łóżka. Chciał odespać poprzednią noc, lecz już po dwóch godzinach obudził się. Miał dziwny, zagadkowy sen. Śniło mu się, że jest na cmentarzu, otoczony zewsząd przez nieprzebrane mnóstwo owiec, zza których prawie nie było widać mogił. Każda z nich miała na głowie numer, który bez przerwy się zmieniał, a że owce były identyczne, trudno było się zorientować, czy to one zamieniały się numerami, czy też numery przechodziły z jednej na drugą. Słysząc też było głos, który bezustannie wykrzykiwał, Jestem tu, Jestem tu, który nie mógł pochodzić od owiec, gdyż, jak wiadomo, zwierzęta dawno temu przestały mówić,

nie mógł też wydobywać się z grobów, gdyż jak dotąd nie zdarzyło się, żeby grób przemówił, a jednak uporczywe wołanie rozlegało się bezustannie, coraz to z innej strony, Jestem tu, Jestem tu, i nim zdążył spojrzeć w kierunku, skąd dochodziło, już je słyszał, a to za plecami, a to z prawej, a to z lewej, Jestem tu, Jestem tu, i choć szybko się obracał, nie udało mu się stwierdzić, skąd pochodził głos, wokół siebie widział tylko uniesione pyszczki owiec. Pan José denerwował się, chciał się obudzić, ale nie mógł, sen trwał nadal, teraz z kolei pojawił się pasterz z psem i pan José pomyślał, Ten pasterz wie absolutnie wszystko, on mi powie, czyj to głos, ale pasterz nie odezwał się, machnął kijem nad głową i pies zaczął poganiać owce w stronę mostu, po którym bezszelestnie sunęły samochody z migającymi świetlnymi napisami, Idź za mną, Idź za mną, Idź za mną, potem w mgnieniu oka zniknęły owce, zniknął pasterz, zniknął pies, została tylko cmentarna ziemia zasłana numerami, tymi samymi, które przedtem owce miały na głowach, ale teraz nie można było odróżnić, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi, gdyż łączyły się ze sobą, tworząc wielką spiralę, której środek stanowił on sam. Obudziwszy się, roztrzęsiony, półprzytomny i mokry od potu, pan José powiedział głośno, Jestem tu. Zanim otworzył oczy, jeszcze dwa razy powtórzył mocnym głosem, Jestem tu, jestem tu. Gdy je otworzył, rozejrzał się po nędznym mieszkaniu, w którym spędził już tyle lat, przesunął wzrokiem po niskim, popękkanym suficie, po wypaczonych deskach podłogi, po stole i dwóch krzesłach stojących na środku czegoś, co umownie można by nazwać jadalnią, po szafie, w której trzymał wycinki prasowe dotyczące sławnych ludzi, po kącie kuchennym i wnęce służącej za łazienkę i powiedział, Muszę za wszelką cenę uwolnić się od tego koszmaru, oczywiście nie miał na myśli swojego biednego, smutnego, Bogu ducha winnego domu, ale kobietę, która dla niego już na zawsze pozostanie nieznajoma. Nie próbował powtórnie zasnąć, bał się, że sen może się powtórzyć. Leżał na plecach i patrzył w sufit, jakby miał nadzieję, że usłyszy pytanie, Co tak na mnie patrzysz, ale tym razem sufit pozostał niewzruszony. Widząc, że z tej strony nie może liczyć na żadną pomoc, pan José postanowił samodzielnie rozwiązać problem, choćby wmawiając sobie, że po prostu już go nie ma, i wtedy właśnie wymusnęło mu się z ust przysłowie, Martwy gad, martwy jad, zdecydowanie niestosowne w tej sytuacji, gdyż po pierwsze nazwał nieznajomą gadem, a po wtóre zapomniał o tym, że istnieją jady o tak powolnym działaniu, że skutki objawiają się dopiero wówczas, gdy już wcale nie pamiętamy o przyczynie. Pomyślawszy o tym, pan José szepnął, Uważaj bracie, śmierć często bywa

takim powolnym jadem, po czym zadał sobie pytanie, Kiedy i dlaczego zaczęła umierać. W tej właśnie chwili sufit porzucił postawę biernego obserwatora i rzucił od niechcienia, jakby to była luźna uwaga na całkiem inny temat, Pozostały jeszcze przynajmniej trzy osoby, z którymi powinieneś porozmawiać, To znaczy kto, spytał pan José, Rodzice i były mąż, Istotnie, to niezła myśl, żeby porozmawiać z rodzicami, też o tym myślałem, ale odłożyłem to na inną okazję, Albo zrobisz to teraz, albo nigdy, na razie jeszcze trochę możesz się tym pobawić, nim definitywnie uderzysz głową w mur, Gdybyś nie tkwił tu cały czas, wiedziałbyś, że to nie była zabawa, No to powiedzmy rozrywka, Co to za różnica, Sprawdź w słowniku, od tego są, Tak mi się tylko powiedziało, przecież każdy wie, że zdarzają się mało zabawne rozrywki, A co sądzisz o tym drugim, To znaczy o kim, O byłym mężu, on chyba mógłby ci najwięcej powiedzieć o tej twojej nieznanym, wydaje mi się, że pożycie małżeńskie i w ogóle wspólne życie jest jakby szkłem powiększającym lub mikroskopem, który wydobywa na jaw wszystkie sekrety i tajniki duszy, Niektórzy mówią coś wręcz przeciwnego, że im dłużej się patrzy, tym mniej się widzi, tak czy inaczej nie sądzę, żeby warto było z nim rozmawiać, Boisz się, że zaczniesz mówić o przyczynach rozvodu, nie chcesz usłyszeć o niej nic złego, Na ogół ludzie nie są obiektywni wobec siebie samych, ani wobec innych, najprawdopodobniej więc przedstawiłby wszystko tak, żeby wykazać, że racja jest po jego stronie, Inteligentnie rozumujesz, Nie jestem głupi, Głupi istotnie nie jesteś, ale zbyt wolno wszystko do ciebie dociera, szczególnie rzeczy najprostsze, Na przykład co, Że miałeś tylko jeden powód, żeby jej szukać, Jaki, Miłość, Trzeba być sufitem, żeby coś tak głupiego wymyślić, Chyba już ci kiedyś powiedziałem, że sufity są zwielokrotnionym okiem Boga, Nie przypominam sobie, Jeśli nie powiedziałem ci tego dosłownie w tej formie, czynię to niniejszym, Wobec tego może mi wyjaśnisz, jak mógłbym zakochać się w kobiecie, której nie znałem, której nigdy nie widziałem, Dobre pytanie, ale tylko ty sam możesz na nie odpowiedzieć, Ta koncepcja nie ma rąk ani nóg, Nieważne, czy ma ręce i nogi, tu chodzi o inną część ciała, mianowicie o serce, które według was jest motorem wszelkich uczuć, Powtarzam, że nie mogłem zakochać się w kobiecie, której nie znałem, widziałem ją tylko na zdjęciach z dzieciństwa, Ale chciałeś ją poznać, Chciałeś ją zobaczyć, a to znaczy, że coś do niej czułeś, Fantazje wzięte z sufitu, Nieprawda, to są wyłącznie twoje, nie moje, fantazje, Jesteś zarozumiała, uważasz, że wszystko o mnie wiesz, Może nie wszystko, ale trochę cię poznałem przez tyle lat wspólnego życia. Założę się, że nigdy nie pomyślałeś o tym, że



mieszkamy razem, gdyż ty przypominasz sobie o mnie tylko wówczas, gdy potrzebujesz jakiejś rady, Wtedy właśnie patrzysz w górę, natomiast ja patrzę na ciebie cały czas, Oko Boga, Możesz nie traktować moich metafor na serio, ale bądź łaskaw nie powtarzać ich takim tonem, jakbyś sam je wymyślił. Po tych słowach sufit zamilkł, zauważył bowiem, że myśli pana José były już zaprzątnięte wizytą u rodziców nieznajomej, czyli ostatnim krokiem, jaki mógł zrobić, nim uderzy głową w mur, co jest również metaforą, która w sensie dosłownym znaczy, Wszystko skończone.

Pan José wstał z łóżka, zrobił poranną toaletę, przygotował coś do jedzenia i odzyskawszy tym sposobem siły fizyczne, zaczął mobilizować siły duchowe, żeby zadzwonić do rodziców nieznajomej i z niezbędną biurokratyczną oschłością zapytać ich, czy mogą jeszcze dziś przyjąć urzędnika Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, który musi wyjaśnić pewną sprawę związaną ze śmiercią ich córki. Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną rozmowę, pan José skorzystałby po prostu z budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy, jednakże w tym przypadku istniało niebezpieczeństwo, że osoba, która odbierze telefon, usłyszawszy brzęk monety wpadającej do automatu, mogłaby zacząć się zastanawiać, dlaczego urzędnik Archiwum Głównego w sprawach służbowych dzwoni z budki i w dodatku w niedzielę. Rozwiązanie tego problemu znajdowało się właściwie w zasięgu ręki, mógł przecież jeszcze raz zakraść się do Archiwum i skorzystać z telefonu stojącego na biurku szefa, było to jednak równie ryzykowne, gdyż kustosz co miesiąc sprawdzał skrupulatnie wykaz rozmów, numer po numerze, i z pewnością zapytałby kierowników, Kto stąd dzwonił w niedzielę, i nie czekając na odpowiedź, wydałby rozkaz, Natychmiast przeprowadzić dochodzenie. Wyjaśnienie takiej sprawy nie wymaga wielkiego zachodu, wystarczy, że kierownik zadzwoni pod podejrzany numer i zaraz wszystko wyjdzie na jaw, Tak, istotnie któregoś niedzieli zadzwonił do nas urzędnik Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego i nawet przyszedł tego samego dnia, żeby się dowiedzieć, z jakiego powodu nasza córka popełniła samobójstwo, jakoby dla celów statystycznych, Powiada pani, że dla celów statystycznych, Tak przynajmniej twierdził, Rozumiem, a teraz proszę uważnie posłuchać, Słucham pana, Chcemy tę sprawę wyjaśnić do końca, ale muszą nam państwo w tym pomóc, Co mamy zrobić, Proszę jutro przyjść do Archiwum celem identyfikacji tego urzędnika, Dobrze, Przyślemy po państwa samochód. Fantazja pana José nie poprzestała na tym niepokojącym dialogu, oczyma wyobraźni widział już dalszy bieg wypadków, oto rodzice nieznajomej wchodzą do

Archiwum i wskazują na niego, To on, lub też siedzą w samochodzie, który po nich przysłano, obserwują wchodzących do budynku urzędników i w pewnej chwili mówią, To on. Jestem zgubiony, znalazłem się w sytuacji bez wyjścia, szepnął pan José. A jednak miał wyjście, i to bardzo proste, wystarczyło zrezygnować z tej wizyty lub też iść do rodziców nieznajomej bez uprzedzenia, po prostu zapukać do drzwi i powiedzieć, Dzień dobry, jestem urzędnikiem Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, przepraszam, że niepokoję państwa w niedzielę, ale mamy taki nawał pracy, tylu ludzi wciąż się rodzi i umiera, że musimy pracować również w wolne dni. Bez wątplenia takie rozwiązanie byłoby najrozsądniejsze i najbardziej dla niego bezpieczne, wygląda jednak na to, że ostatnie przeżycia, zwłaszcza godziny spędzone na ogromnym cmentarzu o mackach ośmiornicy, blada poświata księżyca, snujące się wokół cienie, konwulsyjny taniec świetlików, stary pasterz, owce i niemy, jakby pozbawiony strun głosowych pies oraz groby z pozmienianymi numerami, że to wszystko razem zamąciło mu w głowie i odebrało zwykłą jasność umysłu, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że nie tylko postanowił telefonować, ale jeszcze sam przed sobą się usprawiedliwia, że telefoniczna zapowiedź wizyty ułatwi mu rozmowę i zdobycie jakichś informacji. Jest też przekonany, że wymyślił formułkę, która od razu rozwieje wszelkie podejrzenia rozmówcy i właśnie już ją wygłasza, siedząc w fotelu szefa, Tu dyżur Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, uznał bowiem, że słowo dyżur będzie wytrychem, który otworzy mu wszystkie drzwi, i chyba nie bez racji, gdyż w słuchawce zabrzmiały słowa, Proszę bardzo, może pan przyjść w każdej chwili, jesteśmy w domu. Resztką zdrowego rozsądku próbowała go przekonać, że w ten sposób sam zaciska sobie pętlę na szyi, lecz szaleństwo natychmiast go uspokoiło, perswadując, że poczta przyśle wykaz rozmów dopiero za parę tygodni i może szef akurat będzie na urlopie albo zachoruje, albo po prostu zleci sprawdzenie wykazu rozmów któremuś z kierowników, co niekiedy robi, a w takim przypadku jest wielce prawdopodobne, że przestępstwo nie wyjdzie na jaw, gdyż żaden z kierowników nie lubi tego zajęcia, Co tam, nie warto się martwić na zapas, szepnął pan José, zdając się na los. Położył książkę telefoniczną dokładnie tak, jak leżała, równiutko w rogu biurka. Chusteczką starł ze słuchawki odciski palców i wrócił do siebie. Wyczyścił buty i garnitur, włożył czystą koszulę, zawiązał najlepszy krawat i już miał wyjść, kiedy przypomniał sobie o referencjach. Pomyślał, że kiedy zjawi się u rodziców nieznajomej i po prostu powie, To ja dzwoniłem z Archiwum Głównego, nie będzie miał w ich oczach takiego

autorytetu i siły przekonywania jak w sytuacji, gdy na wstępie podsunie im pod nos papier ze stemplem, pieczęcią i podpisem, dający okazicielowi szerokie uprawnienia i pełnomocnictwa do wykonywania wszelkich czynności związanych ze zleconym zadaniem. Otworzył szafę, odszukał teczkę biskupa i wyjął z niej referencje, lecz jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że na nic się już nie zdadzą. Po pierwsze ze względu na datę sprzed samobójstwa, po drugie z uwagi na niektóre sformułowania, jak chociażby polecenie zbadania i sprawdzenia wszystkiego, co się tyczy przeszłości, teraźniejszości i przyszłości nieznajomej, Nawet nie wiem, gdzie ona teraz jest, pomyślał pan José, a jeśli chodzi o przyszłość, to przypomniła mu się ludowa śpiewka, która brzmi tak, Kto żyw się nie dowie, jak jest na tamtym świecie, kostucha kosi ludzi mrowie, ale przedtem nic nie powie. Już miał odłożyć referencje na miejsce, lecz w ostatniej chwili ponownie uległ dziwnemu stanowi ducha, który nakazał mu z uporem maniaka trzymać się do końca raz powziętego zamiaru. Chciał mieć referencje, więc będzie je miał. Wrócił do Archiwum i skierował się do szafy z drukami, zapominając, że po śledztwie szafa była zawsze zamknięta. Po raz pierwszy w życiu wpadł w prawdziwą furję, mało brakowało, a walnąłby pięścią w szybę, było mu wszystko jedno, co będzie potem. Na szczęście w porę sobie przypomniał, że kierownik nadzorujący zużycie druków trzyma klucz od szafy w szufladzie biurka i że szuflady kierowników, w myśl żelaznej zasady obowiązującej w Archiwum, nie są zamykane na klucz. Jediną osobą, która może mieć sekrety, jestem ja, powiedział szef, a jego słowo było prawem, które jednak przynajmniej tym razem nie dotyczyło referentów i kancelistów, gdyż ich biurka po prostu nie miały szuflad. Pan José owinął rękę chusteczką, żeby nie zostawić odcisków palców, wziął klucz i otworzył szafę. Wyjął jeden druk firmowy, zamknął szafę, włożył z powrotem klucz do szuflady kierownika i wtedy usłyszał, że zaskrzypiały drzwi wejściowe i ktoś przekręca klucz w zamku. Na chwilę zamarł w bezruchu, lecz potem, zupełnie jak w snach z czasów dzieciństwa, kiedy to szybował nad dachami i ogrodami, bezszelestnie i lekko pomknął do domu. Gdy zadyszany i z sercem w gardle znalazł się u siebie, usłyszał drugi trzask zamykanej zasuwki. Po kilku chwilach za drzwiami rozległ się kaszel, To szef, o mały włos by mnie przyłapał, pomyślał pan José i poczuł, że nogi się pod nim uginają. Za ścianą znów ktoś zakaszłał, tym razem głośniejsze i jakby specjalnie, żeby zaznaczyć swoją obecność. Pan José patrzył z przerażeniem na zamek wąskich drzwi prowadzących do Archiwum. Nie zdążył ich zamknąć na klucz. Huczało mu w głowie, Jeśli naciśnie kłamek

i tu wejdzie, złapie mnie na gorącym uczynku, zobaczy druk i referencje. Wewnętrzny głos wykrzykujący te słowa był jednak na tyle litościwy, że nie wspomniał nic o konsekwencjach. Podeszedł wolno do stołu, wziął referencje i razem z drukiem schował w pościeli jeszcze nie posłanego łóżka. Potem usiadł i czekał, choć właściwie nie wiedział na co. Po godzinie zaczął się niecierpliwić. Zza ściany nie dochodził żaden odgłos. Rodzice nieznanym już pewnie są zdziwieni tym, że dyżurny urzędnik Archiwum do tej pory się nie zjawiał, wszak szybkie działanie powinno z założenia cechować wszystkie dyżurujące służby, bez względu na to, czy chodzi o wodę, gaz, elektryczność czy samobójstwo. Pan José czekał jeszcze przez kwadrans, nie ruszając się z krzesła, po czym stwierdził, że powziął pewną decyzję. Tym razem nie była to kolejna obsesyjna myśl, lecz prawdziwa decyzja, choć sam nie wiedział, jak do niej doszedł. Co ma być, to będzie, strach tu nic nie pomoże, powiedział głośno i ze spokojem, który już przestał go dziwić, wziął referencje i druk firmowy, usiadł przy stole, postawił przed sobą kałamarz i sporządził nowy dokument, skracając, przerabiając i częściowo przepisując stary, Jako kustosz Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego podaję do wiadomości wszystkim osobom cywilnym i wojskowym, prywatnym i publicznym, którym zostanie okazany niniejszy dokument, że pan iksiński bezpośrednio ode mnie otrzymał polecenie zbadania i sprawdzenia wszystkiego, co się tyczy okoliczności samobójstwa pani igrek, zwłaszcza jego przyczyn, tak bezpośrednich, jak pośrednich, od tego miejsca tekst był mniej więcej taki sam, aż po końcowy rozkaz, Wykonać. Z powodu obecności kustosza pan José niestety nie mógł wycisnąć na papierze urzędowej pieczęci, ale najważniejszy był oficjalny ton i władza emanująca z każdego słowa. Pan José schował pierwotne referencje między papiery biskupa, nowy dokument włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki i popatrzył wyzywająco na wewnętrzne drzwi. Po drugiej stronie wciąż panowała cisza. Pan José szepnął, Wszystko mi jedno, czy jesteś tam czy nie. Podeszedł do drzwi i z hukiem zamknął je na klucz, trach, trach.

Do rodziców nieznanym jej pojechał taksówką. Gdy zadzwonił, otworzyła mu kobieta wyglądająca na sześćdziesiąt parę lat, a więc młodsza od starszej pani z parteru, z którą mąż zdradzał ją przed trzydziestoma laty, To ja dzwoniłem z Archiwum Głównego, powiedział pan José, Proszę wejść, czekamy na pana, Przepraszam, że od razu nie przyjechałem, ale miałem jeszcze jedną pilną sprawę, Nie szkodzi, proszę za mną. Mieszkanie wyglądało ponuro, ciężkie meble, okna i drzwi pozasłaniane kotarami, na

ścianach ciemne pejzaże, których chyba nigdzie na świecie nie ma. Gospodyni zaprowadziła go do pokoju wyglądającego na gabinet, gdzie siedział sporo od niej starszy mężczyzna, To ten pan z Archiwum, powiedziała kobieta, Zechce pan usiąść, rzekł mężczyzna, wskazując krzesło. Pan José wyjął z kieszeni referencje i trzymając papier w ręce, powiedział, Proszę wybaczyć, że zakłócam państwa żałobę, ale wymaga tego moja praca, ten dokument dokładnie państwu wyjaśni, na czym polega moje zadanie. Podał papier mężczyźnie, który podsunął go pod same oczy, a przeczytawszy, powiedział, Sądząc po tonie tego pisma, pana zadanie musi być niesłychanie ważne, To po prostu styl przyjęty przez Archiwum, nawet w tak prostych sprawach jak samobójstwo, Według pana to błahostka, Proszę mnie źle nie zrozumieć, chciałem tylko powiedzieć, że bez względu na polecenie, jakie dostajemy, jeśli zachodzi potrzeba wystawienia referencji, styl jest zawsze ten sam, Retoryka władzy, Można by to tak ująć. Kobieta włączyła się do rozmowy, pytając, jakich informacji oczekuje od nas Archiwum, Przede wszystkim chcemy poznać bezpośrednią przyczynę samobójstwa, A poza tym, spytał mężczyzna, Wcześniejsze fakty, okoliczności, symptomy, wszystko, co pomoże nam lepiej zrozumieć to, co się stało, Czy dla Archiwum nie jest wystarczający fakt, że moja córka się zabiła, Mówiąc, że muszę z państwem porozmawiać ze względów statystycznych, bardzo uprościłem całą sprawę, Teraz ma pan okazję, żeby szerzej to wyjaśnić, Minęły już czasy, gdy wystarczały nam same liczby, obecnie staramy się zbadać, najpełniej jak można, zespół mechanizmów psychicznych warunkujących rozwój procesu samobójczego, Po co, powiedziała kobieta, to nie przywróci życia mojej córce, Chodzi o wypracowanie parametrów interwencyjnych, Nie rozumiem, powiedział mężczyzna. Pan José aż się spocił, nie przewidział, że sprawa tak się skomplikuje, Ale dziś gorąco, powiedział, Może napije się pan wody, spytała kobieta, Nie chciałbym sprawiać kłopotu, To żaden kłopot. Kobieta wstała, wyszła i po chwili wróciła. Podczas gdy pił wodę, postanowił zmienić taktykę. Odstawił szklanekę na tacę, którą kobieta wciąż trzymała, i powiedział, Założmy, że córka państwa jeszcze nie popełniła samobójstwa, założmy, że w wyniku badań, prowadzonych przez Archiwum Główne, udało się zdefiniować pewne zalecenia i rady, które, w porę zastosowane, mogłyby zahamować to, co określiłem jako proces samobójczy, To mają być parametry interwencyjne, spytał mężczyzna, Tak jest, odparł pan José i nie dając mężczyźnie czasu na dalsze komentarze, wymierzył pierwszy cios, Skoro nie mogliśmy zapobiec śmierci waszej córki, to może dzięki dobrej woli państwa

oraz innych osób w podobnej sytuacji zdołamy wielu ludziom zaoszczędzić łez i cierpienia. Kobieta płakała, szepcząc, Moja kochana córeczka, zaś mężczyzna z powściągliwą szorstkością ocierał oczy grzbietem dłoni. Pan José miał nadzieję, że nie będzie musiał uciekać się do ostateczności, czyli do odczytania referencji, głośno i dobitnie, jakby z każdym słowem stopniowo przypierał słuchaczy do muru, nie zostawiając im innego wyjścia, jak natychmiast spełnić obywatelski obowiązek i zacząć mówić. Gdyby i to zawiodło, nie zostałoby mu nic innego, jak wymyślić naprędce jakąś wymówkę, możliwie zręcznie się wycofać i modlić się, żeby ten nieustępliwy mężczyzna nie zadzwonił do Archiwum, żądając wyjaśnień w sprawie wizyty niejakiego pana José, nazwiska nie pamiętam. Obeszło się jednak bez tego. Mężczyzna złożył papier i zwrócił go panu José. Potem powiedział, Jesteśmy do pańskiej dyspozycji. Pan José odetchnął z ulgą, mógł wreszcie przystąpić do rzeczy. Czy córka państwa zostawiła jakiś list, Ani listu, ani jednego słowa, To znaczy, że popełniła samobójstwo ot tak, ni stąd, ni zowąd, To nie stało się ni stąd, ni zowąd, Z pewnością miała jakieś powody, Córka była nieszczęśliwa, powiedziała kobieta, To nie powód, żeby odbierać sobie życie, uciał niecierpliwie mężczyzna, Dlaczego była nieszczęśliwa, spytał pan José, Nie wiem, już jako dziecko była smutna, a kiedy prosiłam, żeby mi powiedziała, co jej jest, zawsze odpowiadała, Nic mi nie jest, mamo, To znaczy, że przyczyną samobójstwa nie był rozwód, Wręcz przeciwnie, była z tego bardzo zadowolona, Źle jej się układało z mężem, Ani źle, ani dobrze, to było małżeństwo jak każde inne, Kto wystąpił o rozwód, Ona, Miała jakiś konkretny powód, O ile mi wiadomo, nie, to wyglądało tak, jakby doszli do kresu jakiejś drogi, Jaki on jest, Normalny, jest osobą raczej normalną, ma dobry charakter, nie możemy o nim powiedzieć złego słowa, Kochał ją, Chyba tak, A ona jego, Chyba tak, A mimo to nie byli szczęśliwi, Nie byli, To bardzo dziwne, Życie jest dziwne, powiedział mężczyzna. Zapadła cisza, kobieta wstała i wyszła. Pan José wahał się, czy czekać na jej powrót, czy kontynuować rozmowę. Obawiał się, że przerwa popsuje mu szyki, atmosfera była bardzo napięta. Zastanawiał się, czy ostatnie słowa mężczyzny, Życie jest dziwne, nie były aluzją do jego dawnego związku ze starszą panią z parteru i czy nie dlatego żona nagle wyszła, że w tej sytuacji nie mogła inaczej zareagować. Pan José, chcąc zyskać na czasie, wziął szklanę, napił się wody i potem zapytał na chybił trafił, Czy pana córka pracowała, Tak, była nauczycielką matematyki, Gdzie, W szkole, którą ukończyła przed pójściem na uniwersytet. Pan José, który znów sięgnął po szklanę, mało jej nie upuścił, wyjąkał,

Przepraszam, przepraszam, i nagle głos uwiązł mu w gardle. Gdy pan José pił wodę, mężczyzna przyglądał mu się z pogardliwą ciekawością, doszedł bowiem do wniosku, że sądząc po tym okazie, Archiwum Główne Akt Stanu Cywilnego nie ma najlepszych urzędników. Po co mu aż takie referencje, skoro zachowuje się jak idiota. Kobieta weszła w chwili, gdy mężczyzna pytał ironicznie, Nie chciałby pan adresu szkoły, może się panu na coś przyda, Bardzo panu dziękuję. Mężczyzna pochylił się nad biurkiem, napisał na kartce nazwę i adres szkoły, po czym z oschłą miną podał ją panu José, który w tej chwili był już innym człowiekiem, odzyskał bowiem spokój, pomyślawszy, iż tych dwoje nie ma zielonego pojęcia o tym, że zna ich starą rodzinną tajemnicę. W tej samej chwili przyszło mu do głowy następne pytanie. Czy córka prowadziła dziennik, Nie sędzę, nic takiego nie znalazłam, powiedziała matka, Ale musiała zostawić jakieś papiery, notatki lub zapiski, każdy ma coś takiego, gdyby państwo pozwolili mi rzucić okiem, może natrafiłbym na coś istotnego, Jeszcze niczego tam nie ruszyliśmy i nie wiem, kiedy to zrobimy, powiedział ojciec, Pańska córka wynajmowała mieszkanie, Nie, miała własne, Rozumiem. Na chwilę zapadła cisza. Pan José rozłożył powoli referencje, przesunął po nich z góry na dół wzrokiem, jakby chciał się upewnić, jakie uprawnienia mu jeszcze przysługują, po czym powiedział, Gdyby państwo pozwolili mi się tam rozejrzeć, oczywiście w waszej obecności, Nie, ostro odparł mężczyzna, Proszę pamiętać o moich referencjach, Pańskie referencje muszą zadowolić się informacjami, które pan już ma, powiedział mężczyzna i dorzucił, Jeśli pan chce, możemy kontynuować tę rozmowę jutro w Archiwum, teraz mam inne sprawy, Nie musi się pan fatygować do Archiwum, to, co usłyszałem na temat okoliczności samobójstwa, wydaje mi się wystarczające, chciałbym tylko jeszcze zapytać o trzy sprawy, Słucham, Wskutek czego nastąpiła śmierć, Nadmiernej dawki środków nasennych, Czy była sama w domu, Tak, Czy na grobie jest już marmurowa płyta, Właśnie to załatwiamy, czemu pan pyta, Tak sobie, z czystej ciekawości. Pan José wstał. Odprowadzę pana, powiedziała kobieta. Gdy znaleźli się w przedpokoju, podniosła palec do ust i pokazując na migi, żeby poczekał, z szufladki stojącej przy ścianie konsolki bezszelestnie wyjęła pęk kluczy. Otwierając drzwi, włożyła je panu José do ręki. To jej klucze, któregoś dnia wstąpię po nie do Archiwum. Potem przysunęła się jeszcze bliżej i jednym tchem wyszeptała adres.

Pan José spał jak kamień. Po powrocie z ryzykownej, lecz owocnej wizyty u rodziców nieznajomej postanowił opisać w zeszycie niezwykle wydarzenia ostatniego weekendu, ale był tak senny, że zdołał zrelacjonować jedynie rozmowę z kancelistą z administracji Cmentarza. Położył się bez kolacji i natychmiast zasnął, a obudziwszy się o świcie, ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że nie pójdzie do pracy, choć poniedziałek był najgorszym dniem na wagary, szczególnie dla kancelistów, gdyż poniedziałkowe usprawiedliwienia, choćby nawet skuteczne w innych okolicznościach, były traktowane z dużą podejrzliwością, jako pretekst do przedłużenia niedzielnego lenistwa na dzień powszedni, prawnie i zwyczajowo poświęcony pracy. Pan José zdaje sobie sprawę z tego, że od chwili, gdy zaczął szukać nieznajomej, popełnił już tyle poważnych wykroczeń, iż przez tę nieusprawiedliwioną nieobecność szef może stracić cierpliwość i dojść do wniosku, że stanowczo przebrał miarękę. Ale nawet ta przykra perspektywa nie jest w stanie zmienić jego decyzji. Ma dwa bardzo istotne powody ku temu, by nie odkładać tego, co zamierza zrobić, do najbliższego wolnego popołudnia. Po pierwsze, matka nieznajomej przyjdzie niebawem po klucze, po drugie szkoła, co dobrze wie z własnego przykrego doświadczenia, jest nieczynna w weekendy.

Mimo że nie szedł do pracy, wstał bardzo wcześnie. Chciał być jak najdalej od domu w chwili otwarcia Archiwum, na wypadek gdyby kierownik wpadł na pomysł wysłania kogoś z zapytaniem, czy znów zachorował. Podczas golenia zastanawiał się, czy lepiej będzie iść najpierw do domu nieznajomej czy też do szkoły, i w końcu zdecydował się na to drugie. No cóż, pan José należy do ogromnej rzeszy ludzi, którzy najważniejsze sprawy zawsze odkładają na później. Zastanawiał się też, czy wziąć referencje, czy może tym razem lepiej nie ryzykować, gdyż dyrektor szkoły z racji swego stanowiska musi być człowiekiem wykształconym, światłym, czytany, nie jest więc wykluczone, że styl referencji mógłby mu się wydać dziwny, ekstrawagancki, przesadny, mógłby też zwrócić uwagę na brak pieczęci. Lepiej więc będzie zostawić tak nowe, jak i stare referencje między niewinnymi papierami biskupa. Legitymacja służbowa powinna całkowicie wystarczyć, uznał w końcu pan José, chodzi przecież tylko o potwierdzenie konkretnego, obiektywnego faktu, że kobieta, która popełniła samobójstwo, była nauczycielką matematyki w tej właśnie szkole. Wyszedł z domu bardzo wcześnie, sklepy były jeszcze na głucho zamknięte, na ulicach prawie nie było ruchu samochodowego,



prawdopodobnie o tej porze najwcześniej wstający urzędnik Archiwum dopiero przeciera zaspane oczy. Obawiając się, że ktoś mógłby go zobaczyć, skrył się w pobliskim parku, dwa kwartały dalej, przy głównej ulicy, którą jechał do starszej pani z parteru owego dnia, gdy z autobusu zobaczył szefa wchodzącego do Archiwum. Gdyby ktoś nie wiedział, że tam jest, z pewnością by go nie zauważył wśród krzewów i ścielących się nisko gałęzi drzew. Z powodu nocnej wilgoci pan José nie usiadł na żadnej z ławek i zabijał czas, przechadzając się alejkami, patrząc na kwiaty i zastanawiając się, jak mogą się nazywać. Nic dziwnego, że jego wiedza botaniczna jest tak skąpa, wszak całe życie spędził w czterech ścianach, wdychając duszący zapach starych papierów, który bywa jeszcze bardziej duszący, gdy w powietrzu unosi się owa woń chryzantemy i róży, o której wspomniano na początku niniejszej opowieści. Kiedy wybiła godzina otwarcia Archiwum dla interesantów, pan José, nie bojąc się już niepożądanych spotkań, ruszył w drogę do szkoły. Postanowił iść pieszo, gdyż nie spieszył się, miał dla siebie cały wolny dzień. Po wyjściu z parku nie bardzo wiedział, w którą stronę się udać, i pomyślał, że gdyby kupił wreszcie plan miasta, nie musiałby teraz pytać o drogę policjanta, choć prawdę mówiąc, poczuł jakąś przewrotną przyjemność na myśl, że oto władza pomaga oszustowi. Sprawa nieznanego kobiety była właściwie zakończona, pozostał tylko wywiad w szkole, obejrzenie mieszkania i ewentualnie, jeżeli starczy czasu, wstąpi na chwilę do starszej pani z parteru, żeby zdać jej sprawę z ostatnich wydarzeń, to wszystko. Zastanawiał się, jak będzie wyglądać jego dalsze życie, czy wróci do kolekcjonowania sławnych ludzi, przez chwilę wyobraził sobie, że znów siedzi przy stole i że ze sterty leżących obok gazet i czasopism wycina artykuły i zdjęcia, starając się przewidzieć, kto jest wschodzącą, a kto zachodzącą sławą, już kilka razy zdarzyło się, że odgadł przyszłość paru osób, które potem stały się sławne, lub też jako pierwszy dostrzegł, że laury jakiejś kobiety lub jakiegoś mężczyzny zaczynają więdnąć, usychać, rozsypywać się w proch. Wszystko w końcu trafia na śmietnik, skonstatował pan José, właściwie nie wiedząc, czy ma na myśli przebrzmiałe sławy czy własną kolekcję. W pełnym słońcu, wśród zielonych drzew i kwitnących rabat, szkolny budynek w niczym nie przypominał ponurego gmaszyska, do którego pan José włamał się pewnej deszczowej nocy. Tym razem wszedł frontowymi drzwiami i powiedział do woźnej, Chciałbym porozmawiać z dyrektorem, Nie, nie jestem kuratorem ani dostawcą pomocy szkolnych, jestem urzędnikiem Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, mam służbową sprawę. Woźna przez wewnętrzny telefon

zaanonsowała pana José, po czym powiedziała, Proszę wejść na górę, pan dyrektor jest w sekretariacie na drugim piętrze, Bardzo dziękuję, odparł pan José i zaczął powoli wchodzić po schodach. O tym, że sekretariat znajduje się na drugim piętrze, nie trzeba mu było mówić. Dyrektor rozmawiał z jakąś kobietą, która wyglądała na kierowniczkę, i gdy pan José stanął w drzwiach, właśnie powiedział, Jutro muszę mieć ten grafik, Może pan być spokojny, panie dyrektorze. Pan José stał w progu, czekając, aż go zauważą. Dyrektor skończył rozmowę, spojrzął na pana José, który powiedział, Dzień dobry, panie dyrektorze, i podszedł do niego z legitymacją służbową w wyciągniętej dłoni, Jak pan widzi, jestem urzędnikiem Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, przychodzę w służbowej sprawie. Dyrektor gestem pokazał, że nie chce oglądać legitymacji, i spytał, O co chodzi, O pewną nauczycielkę, A co Archiwum Główne ma do naszych nauczycieli, Nie chodzi o nauczycieli jako takich, lecz o osoby, którymi są lub byli, Nie bardzo rozumiem, Prowadzimy kompleksowe badania nad zjawiskiem samobójstwa, zarówno w wymiarze psychologicznym, jak i społecznym, i właśnie ja zajmuję się przypadkiem samobójczyni, która pracowała w tej szkole jako nauczycielka matematyki. Dyrektor zrobił zbolalą minę, To bardzo smutna historia, nikt z nas nie jest w stanie tego pojąć, Pierwszą czynnością, jaką muszę wykonać, jest porównanie danych identyfikacyjnych, które mamy w Archiwum, z kartą pracy tej pani, powiedział pan José, siłąc się na maksymalnie oficjalny ton, Pewnie ma pan na myśli nasze szkolne akta personalne, Tak jest. Dyrektor odwrócił się do sekretarki i powiedział, Proszę znaleźć tę kartę, Jeszcze nie wyjęliśmy jej z szufladki, zauważyła przepraszającym tonem sekretarka, szukając jednocześnie w kartotece, Oto ona, dodała. Pana José nagle ścisnęło w dołku, świat zawirował mu przed oczami, na szczęście tylko na chwilę. Doprawdy ten człowiek ma nerwy w oplakanym stanie, co prawda nie bez racji, pamiętajmy bowiem, że miał w zasięgu ręki kartę, którą teraz właśnie ogląda, wystarczyło otworzyć szufladkę z napisem Nauczyciele, ale skąd mógł wiedzieć, że dziewczynka, której wówczas szukał, będzie uczyć matematyki właśnie w szkole, do której uczęszczała. Starając się ukryć wzburzenie, pan José udawał, że porównuje wypis z akt stanu cywilnego ze szkolną kartą, którą trzymał w drżącej ręce. To ta sama osoba, stwierdził po chwili. Dyrektor patrzył na niego z zaciekawieniem. Źle się pan czuje, zapytał, na co pan José odparł po prostu, No cóż, mam swoje lata, Przypuszczam, że chce mi pan zadać kilka pytań, Istotnie, Wobec tego przejdźmy do gabinetu. Pan José uśmiechał się w duchu, idąc za dyrektorem, Ja nie wiedziałem, że jej

karta była w tej szufladce, ale ty z kolei nie wiesz, że spędziłem noc na twojej kanapie. Gdy weszli do gabinetu, dyrektor powiedział, Nie mam zbyt wiele czasu, ale jestem do pańskiej dyspozycji, Proszę siadać, powiedział, wskazując kanapę, na której jego obecny gość kiedyś się przespał. Chciałbym wiedzieć, czy w ostatnich dniach życia można było zauważyć jakieś zmiany w jej zachowaniu, Nie, była jak zawsze powściągliwa i małowówna, Czy była dobrą nauczycielką, Jedną z najlepszych w historii naszej szkoły, Czy przyjaźniła się z jakimś kolegą, W jakim sensie, Chodzi mi o zwykłą przyjaźń, Wobec wszystkich była uprzejma i taktowna, ale nie sądzę, żeby miała tu przyjaciół, Czy uczniowie darzyli ją szacunkiem, Nawet wielkim, Czy była zdrowa, O ile mi wiadomo, tak, To doprawdy dziwne, Co mianowicie, Rozmawiałem już z jej rodzicami i wszystko, co mi powiedzieli, oraz to, co usłyszałem od pana, wskazywałoby na to, że tego samobójstwa nie da się niczym wyjaśnić, Wątpię, czy samobójstwo można wyjaśnić, powiedział dyrektor, Ma pan na myśli ten konkretny przypadek, Nie, chodzi mi o samobójstwo jako takie, Niekiedy samobójcy zostawiają listy, Owszem, ale nie wiem, czy to, co piszą, można uznać za wyjaśnienie, w życiu jest sporo nie wyjaśnionych rzeczy, To prawda, Jedną z nich jest choćby to, co wydarzyło się tu na kilka dni przed samobójstwem, Co takiego się stało, Mieliliśmy włamanie, Tak, Skąd pan wie, Przepraszam za niewłaściwą intonację, to miało być pytanie, w każdym razie włamania są na ogół łatwe do wyjaśnienia, Ale nie w tym przypadku, bo jak wyjaśnić to, że włamywacz wspina się po daszku, dostaje się do środka przez wybite okno, chodzi po całym budynku, śpi na mojej kanapie, wyjada różne zapasy z lodówki, korzysta z apteczki, a potem idzie sobie, nic nie zabrawszy, Czemu sądzi pan, że włamywacz spał na kanapie, Ponieważ koc, którym przykrywam sobie kolana, leżał na ziemi, ja też mam swoje lata, podobnie jak pan, Powiadomił pan policję, Po co, skoro nic nie zginęło, pewnie by mi powiedzieli, że są od ścigania przestępców, a nie od rozwiązywania zagadek, Istotnie, to bardzo dziwne, Sprawdziliśmy każdy kąt, sejf nietknięty, wszystko na swoim miejscu, Prócz koca, Tak jest, prócz koca, niech pan sam powie, jak to wszystko wyjaśnić, Trzeba by spytać włamywacza, on powinien wiedzieć, odparł pan José, wstając, Panie dyrektorze, nie będę zabierać panu więcej czasu, bardzo dziękuję, że zechciał pan poświęcić nieco uwagi smutnej sprawie, która mnie tu sprowadza, Chyba niewiele panu pomogłem, Być może ma pan rację, twierdząc, że żadnego samobójstwa nie da się wyjaśnić, Ma się rozumieć, racjonalnie wyjaśnić, Mam wrażenie, jakby ta pani otworzyła

jakieś drzwi i po prostu wyszła, Albo weszła, Słusznie, zależy od punktu widzenia, To może być świetne wyjaśnienie, Ależ to tylko metafora, Metafora zawsze była i jest najlepszym sposobem wyjaśnienia istoty rzeczy, Do widzenia, panie dyrektorze, dziękuję panu z całego serca, Do widzenia, ta rozmowa była dla mnie prawdziwą przyjemnością, oczywiście nie mam na myśli tej smutnej sprawy, ale pana osobę, Oczywiście, rozumiem, Odprowadzę pana do schodów. Kiedy pan José zszedł piętro niżej, dyrektor przypomniał sobie, że nie spytał go o nazwisko, Nieważne, pomyślał, to skończona sprawa.

Jeśli idzie o pana José, to za wcześnie, by mógł to samo powiedzieć, gdyż został mu jeszcze do zrobienia ostatni krok, musi iść do mieszkania nieznajomej i poszukać jakiegoś listu, dziennika czy świstka papieru, z jakimkolwiek wyznaniem, okrzykiem rozpaczy, choćby nawet stereotypowym, już dłużej nie wytrzymam. Każdy samobójca powinien coś takiego napisać, żeby ci, którzy zostają po tej stronie drzwi, mogli uspokoić wyrzuty sumienia, mówiąc, Biedaczysko, widać miał swoje powody. Ale jak wiadomo dusza ludzka jest siedliskiem sprzeczności, nawiasem mówiąc, ostatnio można zauważyć, że poza nią już właściwie nie istnieją z powodu braku sprzyjających warunków i prawdopodobnie to właśnie one winne są temu, że pan José, zamiast iść prosto do domu nieznajomej, krąży po mieście, jakby zabłądził albo nie wiedział, dokąd iść, a przecież dobrze wie, co powinien zrobić przed końcem dnia, gdyż nazajutrz nastanie inny czas lub też on sam stanie się innym człowiekiem. Kim będę jutro, po tym wszystkim, co mnie spotkało, jaki kancelista teraz ze mnie będzie. Dwa razy przeszedł obok domu nieznajomej i nawet się nie zatrzymał, czegoś się bał, nie warto pytać czego, gdyż jego rozterka jest widoczna gołym okiem, po prostu chce i nie chce, chce, a boi się, całe życie taki był. Teraz też, próbując zyskać na czasie i odwlec decydującą chwilę, doszedł do wniosku, że najpierw powinien zjeść obiad, oczywiście w jakiejś taniej restauracji, dostępnej dla jego pustej kieszeni, wypada bowiem oddalić się na jakiś czas z tego miejsca, żeby przypadkiem jakiś ciekawski sąsiad nie zaczął podejrzewać mężczyzny spacerującego pod domem o złe zamiary. Wprawdzie pan José wygląda na porządnego człowieka, ale wiadomo, że nie należy zbyt ufać temu, co się widzi, gdyż pozory, jak sama nazwa wskazuje, często mylą, co zresztą widać na jego przykładzie, gdyż sądząc po wieku i wątlej posturze, nikt by nie przypuszczał, że nocami wspina się po murach. Przeciągał skromny obiad najdłużej, jak tylko mógł, toteż gdy wreszcie wstał od stołu, było dobrze po trzeciej i dopiero wówczas powoli, noga za nogą, ruszył w stronę ulicy,

przy której mieszkała nieznajoma. Na rogu zatrzymał się i odetchnął głęboko. Nie jestem bojaźliwy, pomyślał, dodając sobie otuchy, choć naprawdę był, podobnie jak wielu innych odważnych ludzi, którzy w pewnych sytuacjach zachowują się dzielnie, a w innych tchórzliwie, toteż fakt, że spędził noc na cmentarzu, nie ma nic wspólnego z tym, że teraz trzęsą mu się nogi. Włożył rękę do kieszeni marynarki i pomacał klucze, najmniejszy, wąski, na pewno jest od skrzynki pocztowej, więc nie będzie mu potrzebny, natomiast dwa pozostałe, jeden od drzwi wejściowych do budynku, a drugi do mieszkania, były prawie identyczne, oby tylko udało mu się od razu utrafić, bo jeśli w budynku jest dozorczyńni, i w dodatku z tych, co to wysuwają nos przy najlżejszym hałasie, będzie musiał się wytłumaczyć, mówiąc, że przyszedł za zgodą rodziców tej pani, która popełniła samobójstwo, Jestem urzędnikiem Archiwum Głównego Akt Stanu Cywilnego, proszę, oto moja legitymacja, Jak pani widzi, powierzono mi klucze od mieszkania w związku z inwentaryzacją dobytku. Udało mu się otworzyć za pierwszym razem i nawet jeśli była tam jakaś dozorczyńni, to nie pojawiła się, żeby zapytać, A pan do kogo. Słusznie powiadają, że najlepszym strażnikiem winnicy jest strach przed strażnikiem, dlatego też zawsze warto najpierw pokonać strach, a dopiero potem martwić się strażnikiem. Na szczęście w tej starej kamienicy była winda, inaczej nie zdołałby chyba wejść na szóste piętro, gdzie mieszkała nauczycielka matematyki, gdyż miał nogi jak z ołowiu. Skrzypienie otwieranych drzwi przstraszyło pana José i natychmiast ogarnęły go wątpliwości, czy wyjaśnienie, jakie sobie wymyślił na wypadek spotkania z dozorczynią, jest dostatecznie przekonujące. Szybko wślizgnął się do mieszkania i gdy ostrożnie zamknął za sobą drzwi, znalazł się w gęstym półmroku, prawie w ciemności. Pomacał ścianę przy ozdobnej framudze drzwi, znalazł wyłącznik, lecz przezornie nie zapalił światła, gdyż uznał, że to zbyt niebezpieczne. Stopniowo jego oczy przyzwyczajały się do półmroku, co wprawdzie jest rzeczą normalną, ale warto zauważyć, o czym mało kto wie, że kanceliści z Archiwum Głównego, z racji regularnych wizyt w archiwum zmarłych, po jakimś czasie osiągają niezwykłą zdolność akomodacji wzroku i gdyby nie to, że w pewnym wieku muszą iść na emeryturę, z pewnością w końcu mieliby koci wzrok.

Podłoga była pokryta wykładziną, lecz mimo to pan José zdjął buty, żeby uniknąć jakiegokolwiek hałasu mogącego zdradzić jego obecność. Zachowując wszelkie środki ostrożności, uchylił okiennicę w jednym z okien wychodzących na ulicę tylko tyle, żeby wpadło trochę światła. Był w sypialni. Stała tam komoda, szafa i nocna szafka. Łóżko było

wąskie, jednoosobowe. Meble odznaczały się lekkością i prostotą formy, w przeciwieństwie do ciężkiego, ciemnego umeblowania w domu rodziców. Pan José zajrzał do pozostałych pomieszczeń, to znaczy do pokoju dziennego, gdzie prócz kanapy i foteli stał regał na książki zajmujący całą ścianę, potem do mniejszego pokoju, służącego za gabinet, następnie do małej kuchni i takiej łazienki. A więc to tu mieszkała kobieta, która z niewiadomych przyczyn popełniła samobójstwo, która była mężatką i rozwódką, która mogła po rozwodzie zamieszkać z rodzicami, ale wolała zostać sama, kobieta, która jak wszystkie inne, była kiedyś dziewczynką i podlotkiem, lecz zarazem w jakiejś mierze była też zawsze późniejszą kobietą, nauczycielką matematyki, której imię za życia znajdowało się w Archiwum Głównym wśród imion innych żyjących mieszkańców miasta, kobieta, której imię po śmierci wróciło do świata żywych, gdyż pan José wyrwał je śmierci, niestety tylko imię, a nie ją samą, ponieważ kancelista nie ma takich możliwości. Pan José pootwierał na oścież wewnętrzne drzwi, dzięki czemu we wszystkich pokojach zrobiło się względnie widno, lecz jeśli chce przeszukać całe mieszkanie za dnia, musi się pospieszyć. Otworzył jedną z szuflad biurka, rzucił okiem na jej zawartość i stwierdził, że są to wyłącznie szkolne prace z matematyki, zadania i równania, czyli nic, co mogłoby wyjaśnić racje życia i śmierci kobiety, która siadywała na tym krześle, zapalała tę lampę, brała do ręki ten ołówek i pisała nim. Pan José powoli zamknął szufladę i wziął się do otwierania następnej, lecz zatrzymał się w pół drogi, zamyślił na parę chwil, a może tylko na parę sekund, które wydały mu się godzinami, potem jednym pchnięciem zamknął szufladę, przeszedł do pokoju dziennego i usiadł w fotelu. Siedząc nieruchomo, patrzył na swoje pocerowane skarpetki, na spodnie bez kantów, na wystające spod podciągniętych nogawek chude, blade, słabo owłosione golenie. Było mu dobrze w łagodnym zagłębieniu wygniecionym przez osobę, która tu siadywała. Już nigdy tu nie usiądzie, szepnął. Ciszę, która wydawała mu się absolutna, zakłócały teraz odgłosy dochodzące z ulicy, zwłaszcza przejeżdżających od czasu do czasu samochodów, a poza tym zauważył, że powietrze w pokoju jakby pulsowało, jakby miarowo oddychało, być może tak właśnie oddychają domy, kiedy zostają same, ten widocznie jeszcze nie spostrzegł, że ktoś jest w środku. Pan José mówi sobie w duchu, że powinien przejrzeć szuflady w komodzie, gdzie zwykle wkłada się bieliznę osobistą, w nocnej szafce, gdzie też chowa się rzeczy osobiste, ale innego rodzaju, powinien też zajrzeć do szafy na ubrania, i czuje, że jeśli otworzy szafę, nie oprze się chęci

pieszczotliwego przesunięcia palcami po sukienkach, niby po klawiszach niemego pianina, niewykluczone też, że weźmie w rękę którąś ze spódnic, by poczuć jej aromat, woń, po prostu zapach. Powinien też zajrzeć do pozostałych szuflad biurka, do szafek regału, gdzieś przecież musi być schowane to, czego szuka, list, dziennik, pożegnalne słowo, ślad ostatniej łyżki. Ale, właściwie, po co, zapytał, założmy, że taki papier istnieje, że go znajdzie i przeczytam, przecież dzięki temu jej sukienki nie przestaną być puste, przecież nigdy więcej nie rozwiąże żadnych zadań ani nie znajdzie niewiadomych w równaniach, nigdy nie odchyli narzuty na łóżku, nigdy pościel nie ułoży się do kształtu jej piersi, nigdy lampka nocna nie oświetli czytanej książki, to się skończyło raz na zawsze. Pan José pochylił się do przodu, oparł głowę na rękach, jakby zamierzał dalej rozmyślać, ale wszelkie myśli uleciały mu z głowy. Nagle w pokoju pociemniało, pewnie po niebie przeszła chmura. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Wcześniej go nie zauważył, stał na małym stoliku, jak coś, co rzadko się używa. Włączyła się automatyczna sekretarka, kobiecy głos podał numer telefonu, po czym dodał, Nie ma mnie w domu, po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość. Osoba, która dzwoniła, wyłączyła się, niektórzy nie cierpią takich rozmów z magnetofonem, lecz równie dobrze mogła to być pomyłka, ktoś usłyszał w słuchawce nieznamy głos i stwierdził, że nie ma sensu dalej rozmawiać. Warto by to wyjaśnić panu José, bo nigdy nie widział z bliska takiego aparatu, ale nie teraz, gdyż jest niesłychanie poruszony tym, co usłyszał, Nie ma mnie w domu, po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość, oczywiście, że nie ma jej w domu, nigdy już nie będzie jej w domu, został tylko jej głos, poważny, przytłumiony i jakby trochę roztargniony, jakby nagrywając te słowa, myślała o czymś innym. Pan José powiedział, Może jeszcze ktoś zadzwoni, i ożywiony tą nadzieją przesiedział w fotelu ponad godzinę. W mieszkaniu robiło się coraz ciemniej, a telefon nie dzwonił. Wreszcie pan José wstał i szepnął, Czas na mnie, ale przed wyjściem obszedł jeszcze raz całe mieszkanie, wszedł do sypialni, gdzie było nieco jaśniej, przysiadł na brzegu łóżka, powoli przesunął ręką po haftowanym brzegu prześcieradła, potem otworzył szafę, gdzie wisały sukienki tej, która definitywnie oznajmiła, Nie ma mnie w domu. Pochylił się i przysunął twarz do sukienek, pachniały czymś, co można by nazwać zapachem nieobecności przypominającym ową wonną kompozycję chryzantemy i róży, wyczuwalną niekiedy w Archiwum Głównym. Nie spotkał żadnej dozorczyń, która by go spytała, u kogo był, w budynku było tak cicho, jakby był nie zamieszkany. Pod wpływem tej ciszy w głowie pana José zrodził się

najbardziej zuchwały pomysł w jego życiu, A gdybym tak został tu na noc, gdybym przespał się w jej łóżku, przecież nikt by się nie dowiedział. No cóż, ze swej strony możemy tylko powiedzieć naszemu kanceliście, że to całkiem proste, wystarczy powtórnie wjechać windą na górę, wejść do mieszkania, zdjąć buty, może znów zadzwoni telefon. W tej sytuacji miałbyś jeszcze raz przyjemność posłuchać przytłumionego głosu nauczycielki matematyki, Nie ma mnie w domu, a jeśli w nocy jakiś miły sen podnieci twoje stare ciało, to przecież wiesz, że rozwiązanie leży w zasięgu ręki, musisz tylko uważać na pościel. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że pan José nie zasługuje na takie sarkastyczne i wulgarne uwagi, gdyż jego zuchwały pomysł był w istocie bardziej romantyczny niż zuchwały i natychmiast zrezygnował, chyba pod wpływem przykrego wspomnienia swoich białych, chudych i słabo owłosionych goleni. Po wyjściu na ulicę szepnął, Cały ten świat jest bez sensu, i ruszył w drogę do starszej pani z parteru. Zbliżał się wieczór, Archiwum Główne było już zamknięte, a więc panu José nie zostało zbyt wiele czasu na wymyślenie wymówki, która by usprawiedliwiła całodzienną nieobecność w pracy. Wszyscy wiedzą, że nie ma bliskich, którym musiałby pomagać w nagłych wypadkach, a gdyby nawet miał, to i tak zachował się w sposób wysoce naganny, gdyż mieszka przez ścianę z Archiwum i mógł chociażby wejść i powiedzieć, Do widzenia, do jutra, moja kuzynka jest umierająca. Pan José doszedł do wniosku, że jest zdecydowany na wszystko, jest mu wszystko jedno, czy go wyrzucą z pracy, a niech tam, może pasterz będzie potrzebował pomocnika do przenoszenia nagrobnych numerów, może ma zamiar rozszerzyć swoją działalność, bo niby dlaczego miałby się ograniczać do samobójców, w końcu wszyscy zmarli są równi, a więc wszystkich można przetasować, wymieszać, przecież to bez znaczenia, cały ten świat jest bez sensu.

Gdy pan José stanął u drzwi starszej pani z parteru, myślał tylko o jednym, a mianowicie o czekającej go filiżance herbaty. Zadzwonił raz i drugi, lecz bez skutku. Zdziwiony i zdenerwowany zadzwonił do sąsiadów po lewej. Drzwi się otworzyły i stojąca w nich kobieta spytała sucho, o co chodzi, Dzwoniłem do pani sąsiadki, ale nikt nie odpowiada, I co z tego, Chciałbym się dowiedzieć, czy coś się stało, Niby co, Nie wiem, jakiś wypadek albo choroba, Możliwe, zabrało ją pogotowie, Kiedy, Trzy dni temu, Może coś więcej pani wie, na przykład dokąd ją zabrali, Nic nie wiem, przepraszam. Kobieta zatrzasnęła drzwi, zostawiając pana José w ciemnościach. Jutro będę musiał obejść



wszystkie szpitale, pomyślał. Czuł się wyczerpany fizycznie i psychicznie, tyle się tego dnia nachodził, przeżył tyle wzruszeń, a tu na koniec jeszcze taka przykra niespodzianka. Wyszedł na ulicę, stanął na chodniku i zastanawiał się, co jeszcze mógłby zrobić. Może powinien zapytać innych lokatorów, wszyscy nie mogą być przecież tak antypatyczni jak kobieta z parteru. Wrócił więc do budynku, wszedł na drugie piętro i zadzwonił do mieszkania młodej matki i jej zazdrosnego męża, który o tej porze pewnie jest w domu, ale to bez znaczenia, gdyż ma zamiar tylko zapytać, czy wiedzą coś o starszej pani z parteru... Na klatce schodowej paliło się światło. Drzwi otworzyły się, tym razem kobieta nie miała dziecka na ręku i nie poznała pana José, Słucham pana, powiedziała, Przepraszam, że panią niepokoję, ale przyszedłem do starszej pani z parteru, po prawej, i nie zastałem jej, sąsiadka z dołu powiedziała, że trzy dni temu zabrało ją pogotowie, Zgadza się, Może wie pani, gdzie ona teraz jest, w szpitalu czy u kogoś z rodziny. Nim młoda matka zdążyła odpowiedzieć, z głębi mieszkania dobiegł męski głos, O co chodzi, na co odwróciła głowę i powiedziała, Ktoś pyta o tę panią z parteru, potem spojrzała na pana José i dodała, Niestety, nic nie wiemy. Pan José spytał cicho, Nie pamięta mnie pani, kobieta zawahała się, Ach, tak, pamiętam, powiedziała prawie szeptem i powoli zamknęła drzwi.

Pan José wyszedł na ulicę i zatrzymał taksówkę. Proszę do Archiwum, powiedział z roztargnieniem do kierowcy. Wolałby iść pieszo, żeby nie uszczuplać swojego skromnego budżetu i zakończyć ten dzień podobnie, jak go rozpoczął, ale czuł, że pada ze zmęczenia i że nie jest w stanie zrobić jednego kroku. Tak przynajmniej mu się zdawało. Gdy kierowca powiedział, Jesteśmy na miejscu, pan José stwierdził, że taksówka nie zatrzymała się przed jego domem, lecz przed wejściem do Archiwum. Nie warto jednak było tłumaczyć kierowcy, żeby objechał plac i skręcił w boczną ulicę, w końcu ma do przejścia jakieś pięćdziesiąt metrów. Wysupłał ostatecznie monety, zapłacił, a gdy wysiadł z taksówki i spojrzał w górę, zobaczył, że w oknach Archiwum pali się światło. Znowu tu jest, pomyślał, i natychmiast przestał się martwić o starszą panią z parteru, zapomniał też o młodej matce, teraz miał ważniejszą sprawę na głowie, musi do jutra znaleźć jakąś wymówkę. Za rogiem ulicy zobaczył swój domek, niziutki, prawie w ruinie, przyklejony do wysokiej ściany budynku, jakby gotowej zwalić się na niego. Nagle coś ścisnęło go za serce. W domu paliło się światło. Był pewien, że wychodząc, zgasił je, choć zważywszy na zamęt, jaki ostatnio ma w głowie, byłby nawet skłonny sądzić, że się myli, gdyby nie

jasno oświetlone okna Archiwum. Włożył klucz do zamka. Dobrze wiedział, kogo niebawem ujrzy, a mimo to zatrzymał się na progu, jakby zgodnie z konwenansem wypadło okazać zdziwienie. Szef siedział przy stole, na którym były starannie ułożone różne papiery. Pan José nie musiał podchodzić bliżej, żeby wiedzieć, co tam jest, fałszywe referencje, szkolne karty nieznajomej, notatnik, teczka z aktami, którą wziął z Archiwum. Proszę wejść, powiedział szef, jest pan u siebie. Kancelista zamknął drzwi, zrobił parę kroków w stronę stołu i zatrzymał się. Nie odezwał się ani słowem, w głowie tak mu huczało, że nie mógł zebrać myśli. Proszę siadać, przecież jest pan u siebie. Pan José zobaczył, że na szkolnych kartach leży klucz, identyczny z tym, którego sam używał. Patrzy pan na klucz, zapytał kustosz i najspokojniej w świecie ciągnął dalej, Niech pan nie myśli, że to nielegalna kopia, dawniej, kiedy były tu jeszcze domy urzędników, zawsze istniały dwa klucze do wewnętrznych drzwi, jeden dla lokatora, a drugi dla władz Archiwum, jak pan widzi, wszystko jest w porządku, Prócz tego, że wszedł tu pan bez mojej zgody, zdołał powiedzieć pan José, To zbyteczne, kto ma klucz, jest panem domu, a zatem obydwaj jesteśmy panami tego domu, podobnie jak szanowny kancelista poczuł się na tyle panem Archiwum, że wykradł urzędowe dokumenty, Mogę to wyjaśnić, Nie trzeba, cały czas obserwuję pańskie poczynania, prócz tego bardzo pomógł mi notatnik, a skoro już o tym mowa, gratuluję zdolności pisarskich i celnych sformułowań, Jutro złożę dymisję, Ale ja jej nie przyjmę. Pan José był zaskoczony, Nie przyjmie pan, Nie, mój panie, Dlaczego, jeśli mogę spytać, Może pan, gdyż jestem gotów stać się współnikiem pańskich nieprzepisowych działań, Nie rozumiem. Kustosz wziął do ręki teczkę nieznajomej kobiety i powiedział, Zaraz pan zrozumie, lecz przedtem musi mi pan opowiedzieć, co się zdarzyło na Cmentarzu, pana opis urywa się na rozmowie z tamtejszym kancelistą, To długa historia, Niech pan opowie w paru słowach, chcę mieć pełny obraz, Przeszedłem pieszo cały Cmentarz Główny aż do kwatery samobójców, przespałem się pod drzewem oliwnym, a kiedy obudziłem się rano, wokół mnie pasło się stado owiec, potem dowiedziałem się, że pasterz zabawia się, zamieniając tabliczki z numerami, które znajdują się na grobach przed postawieniem nagrobków, Po co, To trudno wytłumaczyć, z grubsza chodzi o to, czy istotnie wiemy, gdzie znajdują się osoby, których szukamy, według niego nigdy się tego nie dowiemy, podobnie jak ta, którą pan nazwał nieznajomą, tak jest, Co pan dziś robił, Byłem w szkole, w której pracowała, potem w jej mieszkaniu, Odkrył pan coś nowego, Nie, doszedłem do wniosku, że nie

warto. Kustosz otworzył teczkę, wyjął kartę, do której przyczepiły się fiszki pięciu sławnych ludzi, którymi pan José się zajmował. Wie pan, co bym zrobił na pana miejscu, Nie, proszę pana, Wie pan, jaki jest jedyny logiczny wniosek płynący z tego wszystkiego, co zaszło do tej pory, Nie, proszę pana, Trzeba dla tej kobiety sporządzić nową kartę, identyczną z poprzednią, tyle że bez daty śmierci, I co potem, Potem umieści ją pan w kartotece żywych, jakby wcale nie umarła, To byłoby oszustwo, Zgadza się, lecz jeśli go nie popełnimy, wszystko, co do tej pory zostało powiedziane i zrobione, zarówno przez pana, jak i przeze mnie, straci sens, Nic z tego nie rozumiem. Kustosz oparł się na krześle, powoli przesunął rękami po twarzy i zapytał, Pamięta pan, co powiedziałem w Archiwum w ostatni piątek, kiedy przyszedł pan nieogolony do pracy, Tak jest, proszę pana, wszystko, Tak, wszystko, A zatem przypomina pan sobie, że wspomniałem o pewnych faktach, bez których nigdy bym nie zrozumiał, jakim absurdem jest rozdzielanie żywych i umarłych, Tak jest, proszę pana, Czy muszę mówić, jakie fakty miałem na myśli, Nie, proszę pana.

Kustosz wstał. Zostawiam panu ten klucz, nie zamierzam go więcej używać, oznajmił i nim pan José zdążył cokolwiek powiedzieć, ciągnął dalej, Jest jeszcze jedna sprawa do załatwienia, A mianowicie w aktach pańskiej nieznajomej brakuje świadectwa zgonu, Nie znalazłem go, musiało zostać w głębi Archiwum albo zagubiłem je po drodze, Dopóki go pan nie znajdzie, ta kobieta pozostanie martwa, Tak czy siak pozostanie martwa, Jeżeli go pan nie zniszczy, powiedział kustosz, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Po chwili pan José usłyszał, że zamyka drzwi Archiwum. Pan José stał nieruchomo na środku pokoju. Nie musiał wypełniać nowej karty, gdyż miał jej kopie. Trzeba było jedynie podrzeć lub spalić oryginał z wpisaną datą śmierci. No i jeszcze to świadectwo zgonu. Wszedł do Archiwum, w biurku szefa czekała na niego latarka i nić Ariadny. Przywiązał koniec nici do kostki i ruszył w ciemność.